

Joseph Conrad
Ford Madox Hueffer

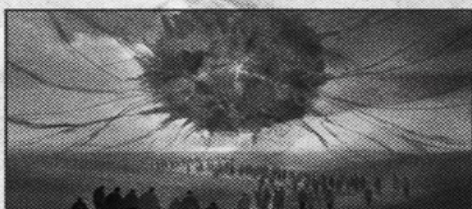
NASTĘPCY

Przełożyła Katarzyna Koćma

WOL. 127 - NO. 26

Ut enim mihi dolor sit amet, cetero adipiscing elit, sed do eiusmod tempor incididunt ut labor et dolore SHE talibus. Ut enim mihi veniam, quis nostrud exercitation ullamco laboris nisi ut aliquip ex ea commodo consequat.

Duis aute irure dolor in reprehenderit in voluptate velit esse cillum dolore eu fugiat nulla pariatur. Excepteur sint occaecat cupidatat non proident, sunt in culpa qui officia deserunt mollit anim id est laborum.



Ut enim alio dolor sit amet, consectetur adipiscing elit, sed do eiusmod tempor incididunt ut labore et dolore magna aliqua. Ut enim ad minim veniam, quis nostrud exercitation ullamco laboris nisi ut aliquip ex ea commodo consequat.

Duis aute irure dolor **FOURTH DIMENSION** esse cillum dolore eu fugiat nulla pariatur. Excepteur sint occaecat cupidatat non proident, sunt in culpa qui officia deserunt mollit anim id est laborum.

Lorem ipsum dolor sit amet, consectetur adipiscing elit, sed do eiusmod tempor incididunt ut labore et dolore magna aliqua. Ut enim ad minim veniam, quis nostrud exercitation ullamco laboris nisi ut aliquip ex ea commodo consequat.

Ut enim alio dolor sit amet, consectetur adipiscing elit, sed do eiusmod tempor incididunt ut labore et dolore magna aliqua. Ut enim ad minim veniam, quis nostrud exercitation ullamco laboris nisi ut aliquip ex ea commodo consequat.

Ut enim alio dolor sit amet, consetetur sadipscing elit, sed do eiusmod tempor incididunt ut labore et dolore magna aliqua. Ut enim ad minim veniam, quis nostrud exercitation ullamco laboris nisi ut aliquip ex ea commodo consequat.



Duis aute irure dolor in reprehenderit in voluptate velit esse cillum dolore **LONELINESS** atis. Excepteur sint occaecat cupidatat non proident, sunt in culpa qui officia deserunt mollit anim id est laborum.



Excepteur in dolor sit amet, consectetur adipiscing elit, sed do eiusmod tempor incididunt ut labore et dolore magna aliqua. Ut enim ad minim veniam, quis nostrud exercitation ullamco laboris nisi ut aliquip ex ea commodo consequat.

Duis aute irure dolor in **HERITAGE** voluptate velit esse cillum dolore eu fugiat nulla pariatur. Excepteur sint occaecat cupidatat non proident, sunt in culpa qui officia deserunt mollit anim id est laborum.

Ut enim alio dolor sit amet, cetero **AMBITION** elit, sed do eiusmod tempor incididunt ut labor et dolore magna aliqua. Ut enim ad minim veniam, quis nostrud exercitation ullamco laboris nisi ut aliquip ex ea commodo consequat.

Duis aute irure **HUMAN** reprehenderit in **NATURE** velit esse cillum dolore eu fugiat nulla pariatur. Excepteur sint occaecat cupidatat non proident, sunt in culpa qui officia deserunt mollit anim.





Joseph Conrad
Ford Madox Hueffer



NASTĘPCY

Przełożyła Katarzyna Koźma

WYDAWNICTWO
IX
Kraków 2023

Tytuł: *Następcy*

Tytuł oryginału: *The Inheritors: An Extravagant Story*

Autorzy: Joseph Conrad, Ford Madox Hueffer

Copyright

© 1901 by Joseph Conrad, Ford Madox Hueffer

© 2023 by Wydawnictwo IX

Copyright for the cover art

© 2023 Joanna Widomska & Wydawnictwo IX

All rights reserved.

Wydawca: Krzysztof Biliński, Wydawnictwo IX

Przekład, opracowanie tekstu oraz posłowie: Katarzyna Koćma

Redakcja: Ksenia Olkusz

Korekta: Krzysztof Biliński

Skład, łamanie i przygotowanie do druku: Krzysztof Biliński

Ilustracja na okładce: Joanna Widomska

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być w jakikolwiek sposób powielana bez zgody wydawcy, za wyjątkiem krótkich fragmentów użytych na potrzeby recenzji oraz artykułów.

Wydawnictwo IX

biuro@wydawnictwoix.pl

wydawnictwoix.pl

Kraków 2023

Wydanie I

ISBN 978-83-67482-53-0

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Następcy— sequel do Jądra ciemności

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Idee... — zaczęła. — Jeśli chodzi o idee...

— Co z nimi? — Postawiłem wszystko na jedną kartę. — Jeśli chodzi o idee, to?

Przeszliśmy przez starą bramę. Obejrzałem się. Południowe słońce świeciło wysoko nad murem, nad wizerunkami świętych, nad zdobionymi markizami, nad brudem i białymi smugami pozostawionymi przez ptaki.

— A tamto? — Wskazałem. — Czy coś ci to przypomina?

Wykonała głową ruch przeczący i jednocześnie wyrażający pogardę.

— Przecież... — wyjąkałem — ...powiązania... idee... historyczne idee...

Nie skomentowała.

— Wy, Amerykanie... — zacząłem, lecz jej uśmiech mnie powstrzymał. Zupełnie jakby rozbawiła ją wypowiedź starszej pani zaszokowanej tym, w jaki sposób jej własne córki spędzają czas wolny. Był to uśmiech osoby przekonanej, że raz na zawsze może zepchnąć kogoś z piedestału.

We wszystkich rozmowach jedna ze stron zawsze zakłada swą wyższość – wyższość statusu społecznego bądź intelektualnego. Nawet jeśli dziewczyna nie uzyskała naturalnej przewagi milczącym przyzwoleniem, w naszej wymianie zdań to ona zdawała się potwierdzać, że nie ma najmniejszej wątpliwości, kto tu jest górą. Nie byłem do tego przyzwyczajony. Jestem człowiekiem gadatliwym, szczącym się łatwością podtrzymywania konwersacji.

Już wcześniej przyglądałem się niezna mej, ale teraz otaksowałem ją krytycznym spojrzeniem, zastanawiając się, jaka jest. Bujne włosy, ładne oczy i sporo uroku. Owszem. Ale i coś jeszcze. Coś takiego... co nie stanowi atrybutu fizycznego piękna. Rysy twarzy miała tak doskonale i delikatne, że zdawała się przezroczysta. A mimo to nie sposób było podejrzewać ją o jakąkolwiek kruchość. Jej spojrzenie odznaczało się niezwykłą siłą wyrazu. Włosy jasne i lśniące, a policzki zaróżowione, jakby padał na nie ciepły blask. Zdawało mi się, że skądś ją znam, dopóki nie uświadomiłem sobie, że obcość wprost od niej bije.

— Dokąd idziesz? — zapytała.

— Wybieram się do Dover.

— Mogę pójść z tobą?

Znów omiotłem ją wzrokiem. Chciałem tym jednym spojrzeniem pojąć istotę owej nietypowości. Oczywiście okazało się to niemożliwe. Na analizy przyjdzie jeszcze czas.

— Drogi są dostępne dla wszystkich — odparłem. — Nie jesteś przypadkiem Amerykanką?

Potrząsnęła głową. Nie. Nie była również Australijką ani nie pochodziła z żadnej z brytyjskich kolonii.

— Nie jesteś też Angielką. Za dobrze mówisz po angielsku.

Poczułem się zirytowany. Nie odpowiedziała, tylko znów uśmiechnęła się, a ja zdenerwowałem. W katedrze zareagowała chichotem na pochwałę kościelnego wobec tej wyjątkowo paskudnie odrestaurowanej budowli, a jej śmiech, który tak mnie pociągał, zmusił do wygłoszenia potępiających uwag na temat paryskiego tynku.

Wicie zapewne, w jaki sposób należy się zwracać do młodej damy, która potrafi sama o siebie zadbać. Ja tak właśnie czyniłem. Rozśmieszyło ją mamrotanie przewodnika przejawiającego niezdrową fascynację żołnierzami, którzy tworzyli oddziały w miejscu męczeństwa błogosławionego Tomasza. Wyrażała taką pogardę dla jego zwolenników. Cieszyło mnie to wówczas, ale teraz, w krętych uliczkach miasta, gdy jej uśmiech zdawał się przeznaczony dla kogoś innego niż mnie, poczułem się oszukany. W końcu byłem kimś więcej niż kościelnym przewodnikiem. W tamtych czasach uważałem się za ważną osobistość – człowieka, którego umysł ukształtowały refleksja i samotność. Byłem pisarzem z ideami największymi z największych. Wycofałem się ze świata, żyłem w izolacji, ukryłem się na wsi niczym pustelnik, mając nadzieję, że któregoś dnia uwiecznię piórem coś wielkiego.

Nieznajoma odgadła moje myśli.

— Piszesz — oznajmiła.

Zapytałem, skąd wie, zastanawiając się, który z moich utworów mogła czytać. Było tego tak niewiele.

— Jesteś popularnym autorem? — zapytała.

— A skąd. Nie! Przecież wiesz.

— A chciałbyś być?

— Jak każdy. Chociaż tak po prawdzie, niektórzy zapierają się, że zostali stworzeni do wyższych celów.

— Rozumiem — powiedziała z rozważą. Zdawało mi się, że podjęła jakąś decyzję. Instynktownie niechętny takiemu obrotowi rzeczy, usiłowałem się przebić przez skorupę jej myśli.

— Ale tak naprawdę jestem dość pospolity. Porozmawiajmy lepiej o tobie. Skąd pochodzisz?

Ponownie przyszło mi do głowy, że nie znam za dobrze tego typu kobiet. Identyczny uśmiech, dokładnie taki sam. Ale uśmiechy mają różne odcienie, podobnie jak śmiech czy modulacja głosu.

Nie umiałem utrzymać języka za zębami.

— Skąd pochodzisz? Musisz należeć do jednego z tych nowych narodów. Jesteś cudzoziemką, dam sobie rękę uciąć. Żywisz dla nas taką pogardę. Drażnisz mnie tak, że z powodzeniem mogłabyś być Prusaczką. Ale to oczywiste, że pochodzisz z jakiegoś młodego narodu, który dopiero zaczyna kształtować swą tożsamość.

— Och, mamy odziedziczyć Ziemię, jeśli o to ci chodzi — odparła nonszalancko.

— To wszystko wyjaśnia. — Byłem zdeterminowany, by się nie poddawać. — Z jakiego zakątka świata pochodzisz? — Pytanie zadałem celowo. Miałem nadzieję, że wystarczyło, by pokazać mi intelektualną wyższość. — Wiesz, uczciwość to prawdziwy skarb. Ja na przykład jestem w pełni gotów udzielić ci informacji o sobie. Powiedziałem już o tym, co najważniejsze, teraz ty powinnaś coś powiedzieć. To byłoby uczciwe.

— Dlaczego miałabym grać uczciwie?

— A dlaczego nie? Czy to twoja cecha narodowa?

— Naprawdę chciałbyś wiedzieć, skąd pochodzę?

Ostrożnie przytaknąłem.

— Słuchaj — zaczęła, wydając z siebie kilka dźwięków. Nagle, cicho, intensywnie. Poczułem w tym swoistą niestosowność. Jak podmuch wiatru, gdy pozbawia tchu.

— C... co?! — wykrzyknąłem.

— Powiedziałam, że mieszkam w Czwartym Wymiarze.

Odzyskałem równowagę, nie przestając myśleć, że właśnie doświadczyłem chwilowo fizycznej niedyspozycji.

— Chyba zbyt szybko wspieliśmy się na wzgórze — wyjaśniłem. — Nie czuję się najlepiej. Umknęło mi, co powiedziałaś. — Nie mogłem oddychać.

— Powiedziałaś, że mieszkam w Czwartym Wymiarze — powtórzyła z godną podziwu powagą.

— Och, daj spokój — wyrzuciłem z siebie. — To cios poniżej pasa. Najpierw pozbawiasz chorego tchu, a potem zasypujesz zagadkami.

Odzyskałem oddech, a wraz z nim gotowość, by drażnić temat. Zaczynałem rozumieć. Oczywiście, że była obcą w obcym kraju. Kraju, który obnażył jej cechy narodowe. Musi należeć do jakiejś odmiennej rasy. Może semickiej albo słowiańskiej, w każdym razie – innej. Nigdy wcześniej nie spotkałem Czerkiesów, ale mówi się, że ich kobiety są piękne, mają jasną karnację i tak dalej. To, co było w niej odpychające, wynikało z odmienności perspektywy. Człowiek nie różni się zbyt od konia. Jak czegoś nie rozumie, to się tego boi i postrzega jako złowrogą siłę. I taką właśnie jawiła mi się dziewczyna.

— Czyli nie powiesz mi, kim jesteś?

— Przecież to zrobiłam.

— Jeśli sądzisz, że uwierzę, że zamieszkujesz jakieś matematyczne okropieństwa, bardzo się mylisz. Jesteś prawdziwa.

Odwróciła się i wskazała na miasto.

— Patrz! — zawołała.

Wspieliśmy się na zachodnie wzgórze. Pod naszymi stopami, pod niebem, które wiatr ogołocił z chmur, rozpościerała się dolina. Rozległa niczym szeroka misa, wypełniona fioletem kłębow dymu. A nad taflą czerwonych dachów górowała złota kamienna wieża katedry. Niczym wizja, ostatnie słowo wielkiej sztuki.

Spojrzałem na dziewczynę. Byłem wzruszony i wiedziałem, że majestat tego widoku ją także musiał poruszyć. Uśmiechnęła się.

— Popatrz! — powtórzyła, a ja popatrzyłem.

Fiolet i czerwień, i złota wieża. Wizja. Ostatnie słowo...

Nieznamoma powiedziała coś, wydała dźwięk. Co to było? Nie wiem. Wszystko straciło znaczenie. Zdawało mi się, że widzę coś jeszcze. Coś

większego od samej katedry, a nawet wyobrażeń bogów, dla których wzniesiono świątynię. Wieża zakolysała się. Poza prostopadłościennym gmachem nie można było dostrzec dachów, dymu, wzgórze, ale fantastyczny, nierealny, nieskończenie rozległy krajobraz.

Trwało to tylko przez chwilę. Zarysy wieży ponownie wypełniły przestrzeń.

— Cholerne... — zacząłem histerycznie. — Do diabła, w co ty ze mną pogrywasz?

— Widzisz, to są właśnie filary rozumu.

— Musisz mi wybaczyć, jeśli nie rozumiem — powiedziałem, chwytając się okruchów roztrzaskanej godności. — Kręci mi się w głowie. — Czułem potrzebę usprawiedliwienia wybuchu. — Przepraszam za te przekleństwa — dodałem na dowód, że odzyskałem spokój.

Wracaliśmy w milczeniu. Byłem zdruzgotany fizycznie i psychicznie. Sam siebie oszukiwałem, usiłując znaleźć przyczynę rozstroju. Po jakimś czasie powiedziałem:

— Upierasz się przy zachowaniu swojego *incognito*.

— Nie mam żadnych tajemnic.

— Powiedziałaś, że pochodzisz z Czwartego Wymiaru — zauważyłem ironicznie.

— Ponieważ pochodzę z Czwartego Wymiaru — odparła cierpliwie.

Zdawało się, że ma trudny charakter. Była tego świadoma, ale lekceważyła to. Przejawiała rodzaj apatii właściwy osobie oświeconej, która bez końca tłumaczy głupim dzieciakom coś tak oczywistego jak tabliczka mnożenia.

Chyba odgadła me myśli. Powiedziała nawet „tak”, nim zdążyłem zadać kolejne pytanie.

— Tak — zgodziła się. — To tak, jakby próbować wyjaśnić cuda przyszłego wieku osobie żyjącej w poprzedniej epoce. — Przerwała, szukając dosadnej analogii, która by do mnie przemówiła. — Jakbym wyjaśniała doktorowi Johnsonowi warsztat i cechy poezji w dialekcie *cockney*.

— Rozumiem, że chcesz, abym uważał się za dzikusa niczym jakiś Komacz. Nie rozumiem jednak, czemu pleciesz o Czwartym Wymiarze.

— Zaraz wyjaśnię.

— Ale musisz wyjaśnić tak, jakbyś tłumaczyła Komaczowi. Zwięźle i przekonująco.

— Taki mam zamiar.

Wygłosiła długą przemowę, której poszczególne zdania zlewały się w jedno. Nie pamiętam dokładnie każdego słowa – było ich tak wiele, ale mówiła, jakby czytała książkę. W doborze wyrazów zdawało się coś niesamowicie ekscytującego, co kontrastowało z jej pozbawionym modulacji głosem. Odniosłem wrażenie, że słucham płyty gramofonowej odtwarzającej pracę z dziedziny techniki. I znów ogarnęło mnie jakieś nieprzystojne uczucie szaleństwa, które mi się spodobało. Widziałem zwyczajny krajobraz, białą pofałdowaną drogę, która wiedzie z wierzchołka wzgórza. Biegła milami prosto przed siebie, z bieli do bieli. Prześwitywała przez majestatyczny błękit nieba, po którym pikowały niezliczone stada skowronków. Słuchałem parodii dzieła naukowego recytowanego przez gramofon.

Dowiedziałem się o naturze Czwartego Wymiaru. Jest to zamieszkała przestrzeń, niewidzialna dla naszych oczu, lecz wszechobecna. Ujrzałem ją, gdy wieża katedry zakołysała się przede mną. Poznałem charakter Czwartowymiarowców – istot prostych, nadzwyczaj praktycznych, niesamowitych: bez ideałów, uprzedzeń i wyrzutów sumienia, bez rozumienia sztuki i szacunku dla życia, wolnych od tradycji etycznych, nieczułych na ból, słabość, cierpienie i śmierć, jak gdyby były nietykalne i nieśmiertelne. Nieznajoma nie powiedziała jednak, że jej rasa jest wieczna.

— Mógłbyś... Znienawidzisz nas – podsumowała.

Dopiero co doszedłem do siebie. Siła jej wyobraźni była tak wielka, że zdawało mi się, że oto stanąłem twarzą w twarz z najwyższą prawdą. Przypuszczam, że bawiło ją to, ale jej pragnienie, by mnie przestraszyć, było niedopuszczalne. Nie czułem się jeszcze do końca sobą, lecz uprzejmie oзнакомиłem:

— Nie ulega wątpliwości, że udało ci się rozbudzić we mnie nienawiść względem tych istot.

— Przecież nic nie zrobiłam. — Broniła się z lekkim uśmiechem i dalej zabawiała mym kosztem, wyjaśniając kwestie pochodzenia. — Wasi... — użyła tego słowa jako oznaczającego, jak przypuszczam, mieszkańców

kraju lub ziemskiej populacji — ...wasi przodkowie byli moimi, ale dawno temu zostaliście wypchnięci z Czwartego Wymiaru i rozpleniliście się po Ziemi. Mu także uczynimy to niebawem. Zapadliście jednak na pewne choroby, które i nas złączą nękać — wierzenia, tradycje, lęki, idee współczucia oraz... miłości. Znaleźliście szczęście w kulcie własnych ideałów oraz smutku. Uśmierzyliście tęsknotę wiarą i sztuką. Zapomnieliście!

Mówiła z niezachwianą pewnością, przytłaczającym, beznamiętnym przekonaniem własnych racji. To nie była kwestia wiary — przytaczała fakty.

Zbliżaliśmy się do małego przydrożnego zajazdu. Na ławce przed drzwiami, z głową spoczywającą na stole, spał ubrany w łachmany wieśniak.

— Zatkaj sobie uszy! — rozkazała moja towarzyszka, a ja posłuchałem.

Widziałem, jak poruszają się jej wargi. Mężczyzna ocknął się, wzdrygnął i niezdarnym, konwulsyjnym ruchem strącił kufel. Przetarł oczy. Zanim zdążył wyrazić wściekłość, poszliśmy już dalej.

— Kiedyś widziałem, jak ujeżdżano w ten sposób konia — skomentowałem. — Wiem, że istnieją słowa, które wywierają określony efekt. Ale nie powinnaś robić psikusów niczym diabeł w *Fauscie*.

— Przypuszczam, że to nie na miejscu — zadrwiła.

— To kwestia przyzwoitości. Biedak stracił piwo.

— A co mnie to obchodzi?

— Jego to bardzo obchodzi.

— Ale mnie?

Nie skomentowałem. Natychmiast zaprzestała wywnętrzania się, a narastająca cisza stawała się destrukcyjna. Wyglądało to tak, jakby nauczyła się jakiejś przemowy na pamięć i właśnie dotarła do końca. Nie wiedziałem, do czego to doprowadzi. Była w niej jakaś nowość, dziwność. Czasami robiła wrażenie szalonej, innym znów razem porażało mnie, jak bardzo pozostawała przy zdrowych zmysłach.

Gdzieś po drodze zjedliśmy posiłek, który zatrzymał falę jej słów, zaś późnym popołudniem wyruszyliśmy w drogę, wędrując po ustronnych dolinach. Byłem chory, a moje nerwy znajdowały się w ruinie. Efekt refleksji i jałowego życia w cieniu niepowodzeń. Znałem te okolice i

spacerowałem po nich, szukając normalności w cichych zaułkach, usiłując zespolić się z własnym umysłem. Nie chciałem się zastanawiać, jak przeżyję kolejny rok, dumać nad tysiącami drobiazgów, które są istotne. Więc z nią rozmawiałem. Słuchała wspaniale. Ale tematy wyczerpały się i w końcu sam skierowałem konwersację na Czwarty Wymiar.

Szliśmy po zapomnianej dolinie pomiędzy Hardves a Stelling Minnis. Milczeliśmy od kilku minut. Cisza rodziła we mnie nieokreślone emocje, które czasami, niczym elektryczne wyładowania, przebiegają między mężczyzną a kobietą. Słońce świeciło coraz słabiej, w dolinie było już ciemno. Roześmiałem się, sam już nie wiem, z jakiego powodu, a potem zacząłem ją nękać pytaniami. Próbowałem sprowadzić kwestię Czwartowymiarowców do absurdu. Czyniłem groteskowe konkluzje. Powiedziałem coś w stylu: „A kiedy zbyt wielu z was zostanie wypchniętych z Czwartego Wymiaru i zrobicie najazd na Ziemię, uczynicie to i tamto”. To miało być coś niedorzecznego i ironicznego. Chłodno zaprotestowała, a jej sarkazm wydawał się wręcz groteskowy, jak żarty włóczęgi. Czasami mówiła na przykład: „Tak, właśnie to powinniśmy zrobić” – i podkreślała zdanie nie słowami, lecz jakimś nieznanym gestem. Było w nim coś imponującego, niemal królewskiego, ale w takich mrocznych, opuszczonych miejscach, jak to, wydawał się złowrogi. W otaczających nas lasach kryło się widmo minionego świata, małe zasłony nieruchomej mgły, jakby w brzdach nieskalanych rzeczywistością czas w ogóle nie istniał. Wszystko mogło się zdarzyć. Znudziło mi się brzmienie własnego głosu. Ale kiedy chciałem przestać, odkryłem, że nieznaną wywiera na mnie niewiarygodny wpływ, jakby czymś odurzająca.

Dotarliśmy do krańca doliny, gdzie droga zaczynała się wic na południowe wzgórze. Udało się utrzymać niezmaconą ciszę. Z ponurych, beznamiętnych opowieści potrafiłem wysnuć jasną koncepcję, zwizualizować sobie fantastyczny pomysł – alegorię, marę, cokolwiek to było.

Czwartowymiarowcy przylecieć mieli w rojach, zmaterializować się i pożerać wszystko niczym szarańcza. Nie można było z nimi walczyć, ponieważ nie dało się ich rozpoznać. Mieli spaść niczym śnieg w nocy: gdy rano podziwiamy, że nagle świat zrobił się biały. Mieli przybyć

niespostrzeżenie jak siwizna na głowie, by wyssać z nas siłę ducha niby czas pozbawia siłę mięśni. Jeśli chodzi o metody, powinniśmy zostać potraktowani tak, jak sami traktujemy niższe rasy. Nie będzie walki, zabijania. My, cały nasz system społeczny, złamiemy się jak gałązka, ponieważ jesteśmy toczeni przez robaki zwane altruizmem i etyką. W najgorszym razie przeslibyśmy przez pewną granicę, pewien etap, w którym wykrzykiwalibyśmy: „Nie, to zbyt okrutne”, ponieważ mieliśmy skrupuły, które ciążyły jak kamienie.

Nieznamoma wypowiedziała zaledwie dwa zdania: „Będziemy was ścigać, ale my nie będziemy niczym obciążeni” oraz „My po prostu przygnieciemy was naszym ciężarem”. Reszta rozmowy wyglądała mniej więcej tak: „Ale wtedy” – mawiałem – „nie będziemy mogli zaufać nikomu. Każdy może być jednym z was...”. A ona potwierdzała: „Każdy”. Przepowiedziała panowanie terroru. Gdy ktoś będzie mijał na ulicy sąsiada, obrzuci go nienawistnym, podejrzliwym spojrzeniem.

Milczałem. Ptaki śpiewały pod zachodzącym słońcem. Między gałęziami było bardzo ciemno, kolory świata gasły z minuty na minutę. Ogarnęło mnie uczucie niepokoju.

— Ale... — zacząłem — ...ale dlaczego mi to wszystko mówisz? Myślisz, że do was przystanę?

— W końcu będziesz musiał, a ja nie chcę tracić sił. Gdybyś musiał współpracować z nami nieświadomie, stawiałbyś opór i się buntował. Powinnaś wykorzystać całą władzę nad tobą. Będziesz opierał się tylko na początku, a potem zaczniesz rozumieć. Zobaczysz, jak ponizymy człowieka. Człowieka z wielkim nazwiskiem, z wartościami, honorowego. Zobaczysz, jak sieci płaczą się coraz bardziej i zaczniesz rozumieć. Wtedy przestaniesz się opierać. To wszystko.

Milczałem. Czerwcowy słowik zaczął chrapliwie trele. Wydawało się, że czekamy na jakiś sygnał. Nocne stworzenia przychodziły i odchodziły, szeleściły w trawie i liściach. W końcu nie zdołałem nawet dojrzeć białego blasku jej oblicza. Wyciągnąłem rękę i bez wahania dotknąłem jej policzka.

— Jak mógłbym ci się oprzeć? — wyszeptąłem.

Zdziwiłem się, słysząc własny głos targany emocjami. Ująłem jej dłoń. Była bardzo zimna i wydawało się, że dziewczyna nie myśli o oporze, ale

zanim moje usta dosięgły jej ręki, napadło mnie coś na kształt paniki. Pojęcia nie miałem, do czego może dojść. Przypomniałem sobie, że nawet nie wiem, kim ona jest. Od początku uderzyła mnie jakaś groza, ale teraz, w ciemnościach, milczenie i chłód zdawały się stanowić niemą zapowiedź dziwnego splątania.

— Musimy iść dalej — wyszeptalem.

Droga wiodła przez gęstwinę lasu. Między gałęziami prześwitywało iluzoryczne światło, wystarczające jednak, by oświetlić jej twarz. Ale nie spuszczałem wzroku z ziemi. Byłem rozdrażniony. Teraz, kiedy tamta chwila minęła, okazało się, że straciłem swą szansę. Mieliliśmy się rozstać, a jej rzadkie talenty umysłu i obce, lecz bardzo żywe piękno sprawiły, że pomysł rozstania jawił mi się jako okropnie nieprzyjemny. Wypełniła mnie ciekawością, lecz nie zrobiła nic, co by mogło ją zaspokoić, oraz fascynacją, która przekształciła się w lęk.

Wspięliśmy się na wzgórze i wyszliśmy na polanę. Wtedy odgłos naszych kroków ustał, a świat stał się cichszy. Księżyc rzucał słaby blask, lśniąca mgła wisiała na rozrośniętych żywopłotach. Szerokie drogi biegnęły w świat z każdej strony.

— Czy jeszcze... — zapytałem w końcu — ...czy jeszcze kiedyś się spotkamy? — Mój głos brzmiał ochryple, jakbym nie odzywał się przez lata.

— Och, bardzo często będziemy się spotykać — odpowiedziała.

— Bardzo często?

Nie wiedziałem, czy jestem zadowolony czy przerażony. Przez szczelinę w żywopłocie dostrzegłem błysk białej ściany domu. Zdawało się, że należy do innego świata, innej rzeczywistości.

— Przecież to dom Callana. To tam szedłem...

— Wiem. Tutaj się rozstaniemy.

— Ale spotkamy jeszcze? — upewniłem się.

— Spotkamy, spotkamy. Pewnie, że jeszcze się spotkamy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jej postać rozplynęła się w ciemnościach jak blada poświata tonąca w głębinach wód, a gdy zniknęła, mój dobry nastrój powrócił. Epizod ten postrzegałem jako flirt z przypadkową, lecz zdecydowanie uroczą towarzyszką podróży. Dziewczyna była zagadką, a zagadka rozwiązana staje się trywialną. I ona również taką by się okazała, gdybym tylko znalazł do niej klucz. Przyszło mi do głowy, że chciała, bym uważał ją za symbol przyszłości – przedstawicielkę pokolenia, które odziedziczy Ziemię. Bawiła się ze mną w ciuciubabkę w tej swojej natarczywej nowoczesności. Pragnęła uświadomić mi, jaki jestem niedzisiejszy – że sposób myślenia zarówno mój, jak i moich rówieśników nieodwołalnie przeminął. Musimy zostać zepchnięci na margines, odsunąć od siebie staroświeckie zwyczaje. Oczywiście było, że to ona lepiej przystosowała się do tempa współczesnego życia. Miała w sobie coś takiego – nie tylko spryt, nie tylko bezlitosną determinację, ale coś zupełnie innego. Coś, czym mogła zaimponować znacznie bardziej. Może była to jedynie pewność spadkobierczyni, ta szczególna cecha, którą posiadają przedstawiciele imperium Zachodu. Ale ja nie byłem Murzynem ani nawet Hindusem. Do diabła, przecież byłem kimś! Kimś przecież byłem...

Jako autor cieszyłem się tak przytłaczającym niepowodzeniem, byłem tak absolutnie nierozpoznawalny, że uznałem, iż wyprzedzam swe czasy, uważając się za wojownika jutra. Taki nawyk umysłu – jedyna zemsta, którą mogłem poprzysiąc okrutnemu losowi. Ta dziewczyna wprowadziła mnie w zakłopotanie prostą konkluzją: oświadczyła, że jest potomkinią, mieszka w przyszłości, o którą walczyłem. Prawdopodobnie należała do jakiejś kliky, która nazywała siebie Czwartowymiarowcami, tak jak niegdyś istnieli prerafaelici. Oczywiście w sensie metaforycznym. Zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że nigdy o nich nie słyszałem. I jakim cudem oni usłyszeli akurat o mnie?

Musiała przeczytać jakiś mój utwór, pomyślałem. Pewnie opowiadanie o Jenkinsie. O tak, na pewno opowiadanie o Jenkinsie. Umieścili je na

eksponowanym miejscu w tym przebrzydłym magazynie. Musiała zauważyć, że to prawdziwa literatura i...

Wiecie, gdy jest się autorem, tak właśnie postrzega się rzeczywistość.

I tak oto, rozmyślając, szykowałem się, by zapukać do drzwi słynnego Callana. Wydawało mi się, że jestem uwikłany w sieć powiązań wielkiego, wspaniałego, nieskończenie cudownego pisarza, że należę niemal do domowników.

Zaprowadzono mnie do dobrze oświetlonego salonu, gdzie powitała mnie żona tego niezwykłego mężczyzny, łagodnie wepchnięto do sypialni umeblowanej na podobieństwo sanktuarium, jak mi się zdawało, przynajmniej póki oczy nie przywykły do blasku lamp.

Callan siedział na sofie w otoczeniu podziwiającej go śmietanki lokalnej socjety. Zapomniałem już nawet, jak wyglądali. Zdaje mi się, że widziałem człowieka, któremu rudawa broda zupełnie nie pasowała i innego, który z kolei zyskałby tylko, gdyby obdarzyć go takową. Był tam również wyjątkowo posępny, czarno odziany mężczyzna, niejasno przypominam sobie też jakąś sepleniącą postać.

Nie mówiono za wiele, właściwie nie toczono żadnych rozmów. Tylko Callan móóówiiiił baaardzooo pooowooliii i baaaardzooo aaauutooraaatyyyywnyyym tooneeeem. Niczym wybitny aktor, który chce pozostać na scenie jak najdłużej.

Otwierając drzwi, uniósł ciężkie powieki, co wzbudziło wrażenie psychicznego znużenia. Białe nos wydawał się jeszcze dłuższy. Pomyślałem, że jego krótka brązowa broda siwieje. Dobrze znałem to wyniosłe czoło i przyklejony do twarzy pobłażliwy uśmiezek. Widziałem go na afiszach umieszczonych na murach.

Notable nie chcieli rozmawiać. Pragnęli zostać oczarowani – i tak właśnie się stało. Callan siedział z odpowiednią pozą, tą, w której zawsze był fotografowany. Jedna ręka wspierała głowę, druga bawiła się łańcuszkiem od zegarka. Twarz pełna powagi, ale oczy niepokojąco rozbiegane. Zapytał mnie o wrażenia z Canterbury. Powiedział, że katedra jest wspaniałym pomnikiem gotyku i podsunął właściwe tropy. Wydawał się zadowolony, gdy skonstatowałem, że niewiele pamiętam z tego, co powinienem był zauważyć po drodze. Dało mu to szansę zmanifestowania erudycji.

— Zaaa moooiich czaaasów w doomkuuu kooooloo mlyyynaaa w Steelliing miiieeszkaaalaaa nieezwyyykłaaa kooobieetaaa. Piiieerwoowzóóor Kaaateee Wiiingfiiieeld.

— Z pańskiego *Boldero*? — wtórował chór.

Wspomnienie łąki w Stelling i migoczących w mroku białych ścian oblepiło mnie niczym fala klejącej mgły. Zapomniałem nawet zawołać: „Faktycznie!”

— Oonaaa byyylaaa... baaardzoo nieezwyyykłaą kooobiiieetaą... Oonaaa...

Zastanawiałem się, co jest prawdziwe: pospolity krajobraz ze skąpanymi we mgle żywopłotami i widmowym księżycem czy może ten pokój z szeregami równo ułożonych książek i popiersiem wielkiego człowieka, które rzucało złowieszczy cień z cokołu za lampą.

Zanim doszedłem do siebie, notable żegnali się, by zdążyć na ostatni pociąg.

Zostałem z Callanem sam. Nie zadał sobie trudu, aby powrócić do udawanej pozy. Nawet mówił szybciej.

— Prawda, że interesujący człowiek z tego pana Jinksa? — zagaił. — Rozpoznałeś go?

— Nie — odparłem. — Nie sądzę, żebym wcześniej go spotkał.

Callan wyglądał na zirytowanego.

— Myślałem, że dobrze go opisałem. To Hector Steele z mojej *Blanfield*.

— Jasne! — zapewniłem. Nigdy nie byłem w stanie przeczytać *Blanfield*. — Faktycznie. No tak, oczywiście.

Nastąpiła niezręczna przerwa.

— Whisky podadzą za chwilę. — Nagle oprzytomniał. — Nie podają jej, kiedy przychodzi pastor. Jest zagorzałym zwolennikiem abstynencji. Najpierw się napijemy, a potem przejdziemy do interesów.

— Och, czyli twoje listy naprawdę...

— Oczywiście — odpowiedział. — A oto i whisky... No cóż, Fox był tu wczorajszego wieczoru. Rzecz jasna, znasz Foxa?

— Czy to jego szmatławiec...

— Tak, tak. Odnosił wielki sukces w prasie, teraz próbuje swoich sił z czymś nowym. Ma sporo zwolenników, wielkie nazwiska, rozumiesz.

Będzie drukował moją nową powieść w odcinkach. To przedsięwzięcie o wiele poważniejsze niż wszystkie dotychczasowe, rozumiesz?

— Rozumiem, ale nie wiem, do czego zmierzasz...

Zamyślony Callan nalał nieco whisky, dodał trochę wody i jeszcze odrobinę whisky, aż mieszanka przypadła mu do gustu.

— Widzisz, Fox dostał list, że Wilkinson zmarł nagle, coś z sercem. Wilkinson miał napisać serię artykułów na temat wybitnych ludzi. Cóż, Fox znalazł się w trudnej sytuacji, więc szepnąłem mu o tobie słówko.

— Naprawdę jestem ci bardzo... — zacząłem.

— Ależ nie ma za co, nie ma za co — przerwał uprzejmie Callan. — Znamy się od tylu lat.

Nagle pewien obraz zatańczył mi przed oczyma – widok Callana z dawnych czasów – płochliwego, wątego osobnika w łachmanach, z błędnym wzrokiem i udawanymi manierami.

— No tak — powiedziałem — ale nie rozumiem, dlaczego miałoby mi to dać prawo...

Callan odchrząknął.

— Upływ czasu — powiedział wzniosłe — wzmacnia to, co możemy nazwać więzami znajomości.

Przerwał, by zanotować sentencję w kartach swej pamięci. Z pewnością zostanie włączona do nowej powieści na zaszczytnym miejscu.

— Widzisz — kontynuował — napisałem dużo rzeczy autobiograficznych i jeszcze trochę, a wyglądałoby to na autoreklamę, a wiesz, jak bardzo tego nie lubię, więc pokazałem Foxowi twój szkic w „Kensington”.

— Historię Jenkinsa? Gdzie ją w ogóle zauważyłeś?

— Przysyła ją mi „Kensington” — odpowiedział. W jego głosie zabrzmiała nuta zgryźliwości i przypomniałem sobie, że w „Kensington” wydrukowano przecież Callanowi siedem stron powieści w odcinkach. Siedem bitych, nieczytelnych stron...

— Jak już mówiłem — Callan zaczął od nowa — znasz mnie bardzo dobrze i przypuszczam, że zapoznałeś się też z moimi książkami, a co do reszty, dostarczę ci wszelkich materiałów, jakich tylko zechcesz.

— Ależ, mój drogi, ja nigdy nie próbowałem swoich sił w tego typu sprawach.

Uciszył mnie machnięciem ręki.

— Zarówno Foxa, jak i mnie uderzył fakt, że twoje... twój Jenkins jest dokładnie tym, czego potrzebujemy. Oczywiście to był portret jakiegoś upadłego malarza, ale praca została wykonana porządnie.

Skinąłem głową. Pochwały Callana najlepiej przyjmować w milczeniu.

— Widzisz, to, czego chcemy, a raczej to, czego chce Fox, to coś na kształt serii szkiców o słynnych osobistościach. Oczywiście nie tak zdegenerowanych, ale jeśli potrafiłbyś je uchwycić tak jak Jenkinsa... W ich pracowniach, na tle tego, co stanowiłoby odpowiednik połamanych modeli i kotar z pluszu... Tak właśnie należy zrobić, nowe podejście, a raczej – co jest o wiele lepsze dzięki twemu talentowi – stare podejście potraktowane nieco, bardzo nieznacznie, w odmienny sposób. Tego domaga się publiczność.

— Może właśnie tego domaga się publiczność, robiono to przecież od niepamiętnych czasów. Widziałem już z pół tuzina zdjęć i ciebie, i twojego fotela, i twojej wycieraczki w tanich szmatławcach.

Callan ponownie okazał łagodną wyższość machnięciem ręki.

— Nie doceniasz siebie.

— Dzięki – wymamrotałem.

— Nie chodzi o zwykłe rozbudzenie ciekawości, ale próbę dotarcia do istoty rzeczy, abyście, że tak powiem, odmalować „aurę” danej osoby. To nie katalog mebli. — Cytował z prospektu nowej gazety, a potem odchrząknął, by oznajmić prawdę objawioną. — Fooootooograaaafiaaaa nieee jeeest sztuuukaąą.

Fantastyczny aspekt naszej rozmowy zaczął mnie uwierać. W końcu, pomyślałem sobie, dlaczego ta dziewczyna nie może być mieszkanką innej sfery. Robiła to o wiele lepiej niż Callan. Robiła to nawet zbyt dobrze.

— Wynagrodzenie jest bardzo przyzwoite – wtrącił mój rozmówca. — Nie wiem dokładnie, ile za tysiąc słów, ale...

Stwierdziłem, że jednak – wbrew własnej woli – rozważam tę możliwość.

— Spodziewam się, że przyjmiesz zlecenie? — zapytał.

Pomyślałem o swoich długach.

— Tak, tak, przypuszczam, że tak. Ale kim są ci ludzie, których „aureę” mam oddać?

Callan wzruszył ramionami.

— Och, różnego rodzaju wybitne jednostki: żołnierze, mężowie stanu, pan Churchill, minister spraw zagranicznych, artyści, kaznodzieje wszelkiej maści.

Sławne rozmaitości – przyszło mi do głowy.

— Gazeta pokryje wydatki, oczywiście w rozsądnych granicach – uspokoił mnie Callan.

— To będzie nawet niezła zabawa – powiedziałem. — Jestem ci nieskończenie zobowiązany.

Zasłonił się obiema rękami przed podziękowaniem.

— Zaraz wyślę do Foxa depeszę, że akceptujesz zlecenie.

Usiadł przy biurku w odpowiedniej pozie. Miał właściwą pozę na każdą okazję. Tę przybierał już przed tak wieloma ludźmi, że nawet teraz, nad ranem, był gotów stanąć przed obiektywem aparatu fotograficznego. Pod ręką miał wszelkie drobiazgi niezbędne w pracy, każdy możliwy rodzaj literackiego bibelotu. Stały tu zatem podpórki do książek, które można było odpowiednio ustawić, stosy małych zielonych pudełek oznaczonych dużymi czerwonymi literami i wielkie czerwone pudła z małymi czarnymi literkami. Była też lampa do pisania, która rzuciła stosowną poświatę na właściwą pozę i jedna maszyna do pisania z założoną ryzą brudnopisu, a druga z papierem na czystopis.

Mój Boże! – pomyślałem. Na jakie szczyty wspina się Muza!

Gdy spojrzałem na lśniąca bryłę maszyny do pisania, przed oczyma zjawił mi się obraz mojego własnego biurka: zagraconego, poplamionego atramentem, nieprzyzwoicie zakurzonego. Pomyślałem, że kiedy znów zapalę starą, poobijaną blaszaną lampę, zobaczę popiół i pety, pudełko tytoniu, pogniecioną podstawkę na pióra, kawałki różowej bibuły, pudełka zapalek, stare listy, wszechobecny kurz. I wiedziałem, że moja poza, kiedy przy nim zasiadałem, z pewnością była niewłaściwa.

Callan układał telegram.

— Pójdzie o ósmej rano – powiedział.

ROZDZIAŁ TRZECI

Aby mnie, jak przypuszczam, zachęcić, Callan dał mi kolejny rękopis, bym poczytał sobie do poduszki. Rzecz była tak zła, że zarówno on, jak i jego dzieło niemal mi obmierzli. Próbowałem czytać: czytać sumiennie, czytać na spokojnie, a potem się z tym przespać. Miałem wobec starego Callana zobowiązania i chciałem być uczciwy, ale w tym przypadku okazało się to niemożliwe. Rozszyfrowałem coś, co od biedy można by nazwać fabułą. Opierała się na motywie bratobójstwa z subtelnym muśnięciem cudzołóstwa, zaś Wielki Cel Moralny majaczył w tle. Bez niego mogłaby to być całkiem znośna powieść, ale w obecnym kształcie była wprost nie do przebrnięcia. Zdumiewające, że Call pisywał takie rzeczy, że w ogóle się odważył. Nie był przecież głupcem. Oburzyło mnie to niezmiernie.

Zmieniłem podejście. Może wtedy nie umiałem jeszcze pisać, albo i umiałem, lecz czytałem wystarczająco dużo, aby rozpoznać poziom nieprzyzwoicie zły, wprost rażący. W mojej duszy zaległa się myśl, że muszę jak ostatni cynik oferować czytelnikom podobną miernotę, jeśli chcę osiągać nakłady w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Prawie wpędziło mnie to z powrotem w objęcia samotności. Niegdyś i Callan zaczynał jak ja obecnie. Zapewne w młodości posiadał nawet ideały i trochę głodował. Chodziło raczej o to, że może tak naprawdę nie byłem nikim lepszym, tylko takim drugim Callanem, a kiedy w końcu przyjdzie mi dokonać rozrachunku z życiem, wypadnę podobnie. Trochę mnie to zniesmaczyło. Kiedy zgasilem światło, ogarnął mnie lęk.

Obudziłem się roztrzęsiony, wstydząc się spojrzeć Callanowi w oczy. Zupełnie jakby miało się okazać, że zdaje sobie sprawę z mych nocnych rozważań i uważa mnie za głupca, który podcina własne skrzydła. Nie zademonstrował jednak najmniejszych śladów takiej wiedzy – taktowny i serdeczny, przy śniadaniu rozmawiał jak gdyby nigdy nic, czytając listy, podczas gdy anemiczna sekretarka sporządzała notatki. Jak mogłem mu zakomunikować, że nie przyjmę tej pracy, że jestem zbyt dumny i tak

dalej? Uznałby mnie za idiotę, pogniewałby się i straciłbym ostatnią szansę. W świetle dnia nie chciałem tego robić.

Zaczął mówić o rzeczach neutralnych. Wpadliśmy w wir błahej rozmowy. Psychiczne napięcie, jeśli nawet wcześniej istniało, teraz znikło na dobre. Ktoś noszący moje nazwisko napisał, że dzisiejszego popołudnia zamierza złożyć mu wizytę. Ta perspektywa zdawała się schlebiać wielkiemu Callowi. Był przyzwyczajony do takich rzeczy, zdaje się, że uznawał je za opłacalne. Zaczęliśmy gorączkowo zastanawiać się, czy autor listu jest ze mną spokrewniony. Wątpiłem w to. Nie miałem rodziny, o której bym wiedział. Żyła co prawda moja pewna bardzo zacna stara ciotka, która odziedziczyła posiadłość i cieszyła się szacunkiem Grangerów z Etchingham, ale nie należała do osób, które darzą czcią powieściopisarzy. Ja, czarna owca w rodzinie, byłem bez grosza przy duszy właśnie dlatego, że zostałem autorem. Wyjaśniłem to Callanowi, a on skwitował me słowa konkluzją, że świat jest dziwny, zbyt mały lub zbyt duży, już nawet zapomniałem. Odkąd osiągnął szczyt sławy, całe chmary rozmaitych Callanów przyznawały się do powinowactwa z nim.

Zjadłem śniadanie. Później przystąpiliśmy do wykluwania artykułu. Na myśl o tym do dziś robi mi się niedobrze. Znajdziecie go w książce razem z innymi. Widać, jak tułałem się po domu Callana, jego pokoju do pisania, jadalni, romantycznej altance, w której łatwo płodzić scenki miłosne, gdyż rosły tam drzewa przycięte w kształt pawy i niedźwiedzi. Był zadowolony z każdego słowa, które zdradzało łagodny podziw ze strony piszącego.

— Tak, tak — odezwał się raz czy dwa — to właściwe podejście, jak najbardziej, ale czy nie sądzisz...

Po pewnym czasie podano obiad.

Byłem taki szczęśliwy, jakbym dostał skrzydeł. Wszystko okazało się nadzwyczaj łatwe. Wątpiłem w moje zdolności, ale słowa przychodziły tak lekko, jak lekko wydaje się pieniądze, a ja miałem przecież właśnie w ten sposób zarabiać. Nagle cała przeszłość wydała się błędem. Jednym słowem – dziecinada. Dawniej stroniłem od tego typu zajęć, gdyż mierzyłem wyżej. Wzbraniałem się przed nimi i głodowałem, zamęczając ciało i umysł. Być może nawet przez tę izolację zniszczyłem własną twórczość. Aby zrozumieć życie, trzeba żyć, a ja tylko rozmyślałem. Teraz jednak, na Jowisza, spróbuję żyć!

Callan udał się na poobiednią drzemkę, jak to miał w zwyczaju, a ja paliłem fajkę przy nieprzyzwoicie kiepskiej powieści francuskiej, którą znalazłem na półce. Też musiałem przysnąć, gdy głos zza pleców odezwał się:

— Panna Granger z Etchingham! Pan Callan zejdzie za chwilkę.

Odłożyłem fajkę, zastanawiając się, czy powinienem palić, gdy Call oczekuje gości.

Wstałem.

— Ty! — powiedziałem ostro.

A ona odpowiedziała:

— No widzisz.

Uśmiechnęła się. Do tego stopnia zawładnęła moimi myślami, że nie byłem nawet zaskoczony. To spotkanie niesło za sobą przyjemną konieczność.

— Musisz być moją kuzynką, na imię ci...

— Och, po prostu uznajmy, że jestem siostrą — odparła.

Byłem skłonny do odgrywania farsy, jeśli błogosławieństwo losu rzuciło mi pod nogi taką kłodę. Widzicie, w końcu miałem zacząć żyć, a życie oznaczało dla mnie nieodpowiedzialność.

— Ach! — zawołałem z ironią. — Jeśli chcesz, bądź sobie i siostrą.

Być może wczoraj w świetle księżyca jawiła mi się jako przerażająca, ale teraz... Istniało co prawda pewne niebezpieczeństwo, czaiło się gdzieś. Ale przecież była urodziwa i zgrabna, co mogło mi grozić? A nawet jeśli, nawet gdybym się w coś wplątał, nie mam przecież krewnych ani nawet przyjaciół, którzy mogliby się o mnie martwić. Zostałem zupełnie sam i wpadłem na osobliwy pomysł, że poszukam kłopotów – to też jakiś sposób brnięcia przez życie. Wkrótce będę miał trochę pieniędzy, a ona wzbudziła mą ciekawość. Aż korciło mnie, by dowiedzieć się, kim naprawdę jest.

— Jeśli można zapytać, co robisz w tym... w tym...

Nie znalazłem właściwego słowa, żeby opisać pokój – sztuczny porządek stylizowany na lokal zawodowej bohemy.

— Chodzi o sprawy osobiste — odparła. — A kim jestem, powiedziałaś ci wczoraj wieczorem. Już zapomniałeś?

— Ostatniej nocy miałś odziedziczyć Ziemię — przypomniałem jej — ale nie zaczyna się tego w takim miejscu. Powinnaś udać się do domu jakiegoś polityka, na przykład ministra Gurnarda. To wschodząca gwiazda, prawda?

— O tak — zgodziła się. — Wschodząca gwiazda.

Musicie pamiętać, że w tamtych czasach Gurnard był wielką niewiadomą. Niewiele znałem się na tych sprawach, w ogóle pogardzałem polityką, ona po prostu mnie nie interesowała. Gurnard nie spodobał mi się od pierwszego wejrzenia, być może dlatego, że jego twarz była trochę tajemnicza, a trochę odrażająca. Wówczas w kraju opozycja nie istniała, a w rządzie występowały dwa odrębne nurty. Jeden reprezentował Churchill, drugi Gurnard, z tym że właśnie Gurnard stanowił niewiadomą.

— Och, płaczesz się w zeznaniach — zauważyłem uprzejmie. — Jeśli on jest wschodzącą gwiazdą, to kim ty jesteś? Chyba że on też należy do Czwartowymiarowców.

— Też.

Podziwiałem spokój, z jakim odbijała me ciosy. Byłem bardzo szczęśliwy, uderzyło mnie, że to taki przyjemny rodzaj błazeństwa.

— Przypuszczam, że pewnego dnia wyjawisz mi, kim jesteś?

— Mówiłam już kilka razy.

— Nie przestraszysz mnie dzisiaj. A właściwie to dlaczego chcesz mnie przestraszyć?

— Powiedziałam ci — upierała się.

— Powiedziałaś, że jesteś moją siostrą, tyle że moja siostra umarła dawno temu. Ale jeśli taki układ ci pasuje, jeśli chcesz być czyjąś siostrą...

— Pasuje. Chcę zdobyć pozycję, sam rozumiesz.

Wiedziałem, że moje nazwisko jest wystarczająco dobre, aby kogoś przysposobić do rodziny. Byliśmy Grangerami z Etchingham od... czasu potopu. A jeśli dziewczyna chciała być moją siostrą i Grangerówną, to, do diabła, ja nie mam nic przeciwko tak długo, jak pozwoli, byśmy byli ze sobą blisko. Od wieków nie rozmawiałem z kobietą, a przynajmniej nie z tak dobrze wyposażoną fizycznie. Czułem się, jakbym powrócił z dobrowolnego wygnania. A może to normalne dla dziewcząt, że wybierają sobie braci w tym czy innym towarzystwie.

— Powiedz mi coś więcej — prosiłem. — Chciałbym się dowiedzieć czegoś o swojej siostrze. Ty i szanowny pan Charles Gurnard jesteście Czwartowymiarowcami, tak? Kto jeszcze należy do tej grupy?

— Tylko jeden człowiek.

Wielkie nieba! Okazało się, że jest nim Fox, redaktor naczelny mojego nowego pisma.

— Wybieracie sobie ludzi z czarującą obojętnością. Fox to zwykła ropucha. Nie zajdzie daleko.

— Ależ zajdzie, lecz nie dojdzie do celu. Fox walczy przeciwko nam.

— Więc nie łączycie sił? Każdy walczy samotnie?

— Każdy na własną rękę. Pokonam Gurnarda, kiedy wyciągnie kasztany z ognia.

Zaczynałem się tym trochę męczyć. Widzicie, dla mnie ta scena była zawoalowanym flirtem i chciałem posunąć się dalej. A tymczasem musiałem słuchać jej fantastycznego konceptu. To był naprawdę pojedynek pomiędzy Foxem, założycielem czasopisma, a Gurnardem, ministrem skarbu. Fox wraz z Churchillem, ministrem spraw zagranicznych i jego zwolennikami odgrywali sztukę pod tytułem „Powrót Dawnej Moralności w Interesach” przeciwko Gurnardowi, który uchodził za polityka do cna niemoralnego.

Niecierpliwiełem się coraz bardziej. Chciałem przejść na poziom bardziej intymny. Sądziłem, że wymyśla podobnego rodzaju bzdury, żeby odwrócić moją uwagę od spraw, które miała załatwić z Callanem. Ale nie chciałem znać jej misji, chciałem jedynie flirtować. Jeśli chodzi o Foxa, Gurnarda i Churchilla, ministra spraw zagranicznych, który naprawdę był sympatyczny i reprezentował polityczną uczciwość, mogła wypowiadać jakieś alegoryczne prawdy, którymi nie byłem w ogóle zainteresowany. Chciałem rozmawiać o czymś, co oderwie nas od tej farsy z Czwartowymiarowcami.

— Moja droga siostrze... — zacząłem.

Callan zawsze zachowywał się jak rasowy podsłuchiwaniec. Nosił pantofle i wyłaniał się zza parawanów. Spodziewam się, że tak właśnie zbierał swe materiały.

— Więc to jest twoja siostra? — zapytał nagle, wyrastając za mną. — Dziwne, że nie rozpoznałaś charakteru jej pisma...

— Nie korespondujemy ze sobą — odparłem beztrąsko. Tak bardzo się różnimy. Chciałem trochę podręczyć tego pełzającego gada. Przyglądał się jej uważnie.

— Pani musi być tą małą dziewczynką, którą zapamiętałem — powiedział. Znał przed laty moich rodziców. Ja sam nigdy nie wybrałbym takiego przyjaciela. — Zdawało mi się, że Granger powiedział kiedyś, że pani nie żyje... Ale coś mi się musiało pomylić.

— Widujemy się tak rzadko, że Arthur mógł powiedzieć, że nie żyję. Wie pan, on jest zdolny do wszystkiego.

Mówiła z nutą siostrzanej obojętności, która była absolutnie urzekająca. Zacząłem myśleć, że musi być genialną aktorką, wyszło jej tak świetnie. Była prawdziwą siostrą, stateczną osobą, ja zaś obdartusem i zakałą rodziny. Konsekwentnie trzymała się tego tonu. Nie wiedziałem, do czego zmierza i nie obchodziło mnie to. Owa scena z odrobiną szaleństwa podobała mi się. Zamierzałem żyć pełnią życia, a tu okazało się, że zjawiała się przede mną kobieta idealna. Poza tym drwiła z Callana, co mi wcale nie przeszkadzało. Jego opiekuńcza poza irytowała mnie.

Milcząco jej pomagałem. Zaczęli mówić o wspólnych znajomych. Oboje wydawali się znać każdego. Sprawiała wrażenie osoby, która należy do najściślejszej elity. Twierdziła, że jest w doskonałej komitywie ze wszystkimi najważniejszymi osobistościami: od mojej ciotki po ministrów. Rozmawiali – ona tak, jakby żyła wśród tego towarzystwa, on, jakby bardzo się starał doń przeniknąć.

Udawała szacunek, obdarzając Callana fałszywymi komplementami, które łykał niezwykle gładko. Aż się wzdrygnąłem. Tragedią było zobaczyć tego małego wielkiego człowieka stojącego twarzą w twarz z taką kobietą. Szokowała mnie myśl, jak niewyraźnie musiałem wczoraj wyglądać i pewnie zdradzałem jakieś tajemnice o „Godzinie”, nowej gazecie, w której byłem zatrudniony. Wydawało się, że jest sterowana przez niewielką grupkę osób, które w ten sposób załatwiają własne interesy. Należał do niej pewien zagraniczny finansista – osoba wpływowa (szlachetny człowiek w najlepszym tego słowa znaczeniu, jak to ujął Callan), jakiś polityk (też go znała, równie znakomity, jak powiedział Callan), sam Churchill wreszcie, jakiś artysta i jakiś aktor. No i oczywiście Callan. Wszyscy potrzebowali odrobiny wsparcia. Rzecz jasna Callan ujął to w

inny sposób. W rozmowie pojawił się Wielki Cel Moralny, sam nie wiem, po co. Nie sądził chyba, że mnie oszuka, a o wspomnianych ludziach dziewczyna najwyraźniej wiedziała więcej niż on. Zagraniczny finansista, zwany księciem de Mersch, był kimś na kształt filantropa-megalomana. Międzynarodowe powiązania sprawiły, że został właścicielem miłego kraju o nazwie Grenlandia, który obfitował w złoto, tran i inne bogactwa, ale de Mersch o nich nie myślał. Został przede wszystkim Założycielem Państwa, stając się tytularnym władcą niewielkiego zakątka o statusie księstwa. Żadne z wielkich mocarstw nie chciało się zgodzić na posiadanie wyspy, więc przekazano ją księciu de Mersch, który, jak powiedział Call, w głębi serca żywił wspaniałą wizję stworzenia modelu wzorcowego państwa, w którym wymyć i ubrać na modłę europejską Eskimosi będą wiedli wolne, wspaniałe życie, nie ustępując najlepszym potomkom zachodnich ras. Tak to mniej więcej miało wyglądać. Byłem pod wrażeniem, pomimo że to Callan stał się heroldem całej sprawy. W owej koncepcji było coś szlachetnego, a przyzwolenie Churchilla zdawało się gwarantować uczciwość realizacji przedsięwzięcia.

Książę de Mersch potrzebował pieniędzy, by zbudować na Grenlandii kolej. Jego pomysł zasadał się na tym, że uznał, iż brytyjskie społeczeństwo powinno przekazać na ten cel pieniądze, a rząd udzielić inicjatywie poparcia, jak to miało miejsce w przypadku mniej filantropijnego Kanału Sueskiego. W zamian zaoferował port i pas wybrzeża na jednym końcu linii kolejowej. Brytyjczycy mieli zostać spłaceni tranem w beczkach z wizerunkiem złocistego pociągu, złotem oraz świadomością pomocy w doprowadzenia światła cywilizacji do ciemnego zakątka ziemi. Tak oto książę de Mersch zainaugurował „Godzinę”. Służyła ona wychwalaniu moralnego celu de Merscha, poklepywaniu po plecach rządu, wpływaniu na opinię publiczną i ogólnie przyczynianiu się do rozwoju Systemu Regeneracji Regionów Arktycznych.

Opowiadam tę historię tak beztrósco, gdyż usłyszałem ją od Callana, a jego nie można brać na serio. Poza tym niezbyt mnie to interesowało, za to niezwykle ciekawiła mnie obserwacja dziewczyny, która wyciska go jak cytrynę.

Trochę nawet martwiłem się o starego biednego Calla. W końcu ten człowiek wyświadczył mi przysługę – załatwił pracę. Jeśli chodzi natomiast o „siostrę”, jawiła mi się jako osoba potencjalnie niebezpieczna. Może była tylko żądna przygód, a może to zwykła spekulanka, która pragnęła pokrzyżować Callowi szyki. Powiedziałem jej to otwarcie, a nawet się z nią pokłóciłem, odwożąc na stację. Bez wątpienia wywarła na Callanie duże wrażenie, skoro użyczył jej swego powozu.

— Wiesz — zacząłem — nie pozwolę ci zabawiać się kosztem Callana, kiedy używasz mojego nazwiska. Jeśli o mnie chodzi, rób sobie, co chcesz, ale jeśli wyrządzisz mu jakąś krzywdę, wyjawię całą prawdę.

— Wiesz, że nie możesz tego zrobić — odparła zupełnie spokojnie. — Sam w tym tkwisz po uszy. Nie byłby zadowolony, gdyby okazało się, że sprawy zaszły tak daleko. Straciłbyś pracę, a przecież wreszcie chcesz zacząć normalnie żyć.

Byłem zaskoczony tą zawoalowaną groźbą skrytą pod płaszczykiem żartów. To nie było porządku, zupełnie nie w stylu *fair play*. Powróciły dawne obawy i zrozumiałem, że naprawdę była niebezpieczna...

— Ale nie skrzywdzę Callana — oznajmiła nagle. — Możesz być o to spokojny.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Odetchnąłem z ulgą, wierząc jej. Nie chciałem się z nią spierać. Widzicie, ona mnie fascynowała, podniecała jak narkotyk, wywołując dreszcze. Czułem się zbity z tropu. W tym, co powiedziała, kryła się prawda. Pogubiłem się, ale nie chciałem stracić pracy, którą załatwił Callan, mówiąc mu, jak bardzo z niego zadrwiła.

— Tylko o to mi chodzi — powiedziałem, a ona uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Poszedłem do miasta z artykułem o Callanie i utrzymanym w ciepłym tonie liście polecającym od Callana do Foxa. Byłem bardzo uległy, zgadzałem się z poprawkami, chwaliłem, jak mogłem, a na dodatek udało mi się zachować powagę artykułu wstępnego. Sam Call nie mógłby mi nic zarzucić.

Otrzymałem polecenie natychmiastowego skontaktowania się z Foxem. Sprawa była pilna. Naczelnego nie zastałem w biurze – nowym biurze, które na mych oczach przechodziło kolejne stadia: od siedziby komfortowej do pokrytej kurzem zaniedbania. Skierowano mnie za kuliszy teatru Buckingham.

Czekałem przy oszklonej łoży portiera. Podejrzliwy pracownik przyglądał mi się z pogardą przeznaczoną dla bezrobotnych aktorów. Aktor, który nie gra, zazwyczaj głoduje. Przez cały ten czas gońcy szukali pana Foxa. „Ktoś widział pana Foxa?” – pytano. „Wyszedł na obiad” – brzmiała odpowiedź.

— Pan Fox wyszedł — powiedział i mnie portier.

Wyjaśniłem, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Kolejni gońcy znikali za wahadłowymi drzwiami. Osobistości niekoniecznie znamienite mijały oszkloną łożę, rzucając wrogie spojrzenia w mój kierunek. W końcu nadeszła wiadomość.

— Jeśli to pan Granger z Etchingham, proszę natychmiast iść za panem Foxem do pani Hartly.

Podążyłem za panem Foxem do małego mieszkanka w sąsiedztwie, którego wolę nie opisywać. Wybitny dziennikarz spożywał właśnie posiłek z równie wybitną aktorką. Towarzyszył im jej mąż, zupełne zero z wielkim żółtym wąsem, który mruczał coś pod nosem i bez przerwy spoglądał na zegarek.

Pan Fox zarówno twarz, jak i maniery miał gładkie. Pani Hartly była... cóż, była po prostu sobą. Pamiętacie, jak wszyscy kochali się w jej figurze, pozach, głosie i gestykulacji? Tymi właśnie rękami łamała teraz chleb, rozmawiała z mężem tym samym głosem i wstawiała od stołu z tym

samym wdzięcznym trzepotem spódnicy. Tak mnie, jak i własnemu mężowi, małemu Foxowi czy kelnerowi, który podawał szparagi, rzucała spojrzenia wielkimi, okrągłymi, szarymi oczami. Ta wieczna próba generalna zdawała się trwać bez końca. Nie dziwię się, że jej mąż nieustannie spoglądał na zegarek.

Pan Fox był przyjacielem domu. Bez ceremonii zaczął czytać mój rękopis, spożywając swego Roqueforta, któremu lektura zdawała się dodawać smaku.

— To pan ma pisać o mnie dla pana Focha — stwierdziła pani Hartly, obrzucając mnie spojrzeniem swych wielkich szarych oczu. Były bardzo łagodne, zdawało się, że wysyłają fale współczucia. Pomyślałem o innej parze oczu miotające promienie niczym miecze.

— Właściwie — odpowiedziałem — powiedziano mi po prostu, że mam napisać o kimś dla „Godziny”.

Fox podłożył mój rękopis pod pustą szklanę.

— Tak — odparł szorstko. — On to zrobi, tak myślę, tak, tak, w sumie to czemu nie.

— Pan jest przyjacielem pana Callana, prawda? — kontynuowała aktorka. — Cóż za miły, uroczy człowiek! Powinien go pan zobaczyć na próbach. Wie pan, gram w jego *Boldero*. Dał mi naprawdę świetną rolę, idealną wprost. A jak się stara! Próbuje sam każdego krzesła na scenie.

— Tak, tak — wtrącił Fox. — Lubi robić wszystko po swojemu.

— Wszyscy to lubimy — odparła pani Hardly. Przygotowywała swą wielką rolę. Pomyślałem, choć może się myliłem, że wszystkie jej wypowiedzi były cytatami właśnie z niej.

Mąż znów spojrział na zegarek.

— Czy masz zamiar się wybrać na tę przeklętą wystawę kwiatów? — zapytał.

— Tak — powiedziała, zwracając ku niemu swe tajemnicze oczy. — Pójdę się przygotować.

Zniknęła w drzwiach wewnętrznych. Spodziewałem się usłyszeć strzał z pistoletu i odgłos upadającego ciała. Zapomniałem, że to nie koniec piątego aktu.

Fox włożył rękopis do kieszeni marynarki.

— Chodźmy, panie Granger — zwrócił się do mnie. — Chcę z panem porozmawiać. Będzie miał pan jeszcze mnóstwo okazji, by zobaczyć się z panią Hartly. Jest dziesiąta na pańskiej liście. Do widzenia, drogi Hartly.

Ręka Hartly'ego zatrzymała się gdzieś między wąsem a kieszonką zegarka.

— Musi pan przyjść i mnie zobaczyć, panie Granger! — zawołała aktorka zza drzwi.

— Niech pan przyjdzie do Buckingham i sam zobaczy, jak poczynamy sobie z dziełem pańskiego przyjaciela. Będziemy musieli dłużej porozmawiać, jeśli chce pan oddać moją „aureę”, jak to mawia pan Fox,

— *By złocić złoto, lilię malować*

Pryskać perfumą fiołek... — zacytowałem banalnie.

— Właśnie — odparła z czułym uśmiechem, zapinając guzik w rękawiczce. Wątpię, by rozpoznała wersy.

Kiedy znaleźliśmy się w powozie, Fox zaczął:

— Odczułem ulgę, gdy zobaczyłem pana artykuł. Nie spodziewałem się po panu tego typu rzeczy. Pan pewnie uważa, że to poniżej pańskiej godności, czyż nie? Wiem, wiem, literaci zwykle są tacy niepraktyczni, wie pan, co mam na myśli. Callan powiedział, że świetnie się pan do tego nadaje. Ma swoje racje, ale człowiek potrzebuje przecież gazety do czegoś innego. Mam własne interesy. Nie ma mi pan za złe tej szczerości?

Wymamrotałem, że skąd, przeciwnie — podoba mi się.

— No cóż — ciągnął. — Teraz wiem, czego się trzymać.

— Cieszyłbym się, gdybym i ja mógł tak powiedzieć.

— Proszę się nie martwić — pocieszał Fox. — Ośmielę się rzec, że Callan obrzydził panu robotę, szczególnie, jeśli nie jest pan do tego przyzwyczajony, ale inni nie są tacy kłopotliwi. Teraz kolej na Churchilla. Niech się pan nim zajmie, zobaczy pan, że to przyzwoity facet. W ogóle nie jest zarozumiały.

— Który Churchill? — zapytałem.

— Minister spraw zagranicznych.

— Ach, ten diabeł.

— Sam pan zobaczy, że to porządny człowiek — uspokajał mnie naczelnym. — Pójdzie pan do niego jutro, już wszystko załatwione. No, jesteśmy na miejscu. Muszę lecieć! — zawołał i na potwierdzenie

własnych słów zwinnie wyskoczył z powozu, wbiegając po terakotowych schodach siedziby „Godziny”. Ja musiałem zapłacić dorożkarzowi.

Kiedy dołączyłem do niego, przez wahadłowe drzwi wydawał właśnie polecenia jakiejś niewidzialnej osobie.

— Chodźmy — powiedział zdyszany. — Nie mogę go przyjąć — zwrócił się do małego chłopca, który trzymał w rękach wizytówkę. — Powiedz mu, żeby poszedł do pana Evansa. Człowiek nie ma tu nawet chwili dla siebie — ciągnął, kiedy dotarliśmy do jego pokoju.

Był to apartament godny pałacu, umeblowany w bieli i złocie, jak za czasów Ludwika XV, z nowoczesnymi malowidłami w stylu Watteau pokrywającymi ściany. Już jednak pojawiły się pierwsze oznaki nieładu. Pod jednym z wysokich okien stało biurko niemające nic wspólnego z modłą „na Ludwika”, na dywanie dostrzegłem ślady błota, a w jednym końcu pokoju stała zasłonka z dykty.

— Dzień dobry, Evans! — zawołał Fox. — Przyjmij tego człowieka od Granta. Czy mamy już coś z „Central News”?

Przeglądał papiery na biurku.

— Jeszcze nie, dzwoniłem do nich właśnie po raz piąty — zabrzmiała odpowiedź.

— Dopilnuj tego — napominał Fox.

— A oto list Churchilla — powiedział. — Proszę sobie usiąść w fotelu. Te przekłete meble są tak niewygodne, że nie wiadomo, dla kogo je robią. Proszę się rozgościć, wracam za minutkę.

Usiadłem w fotelu i zająłem się listem ministra spraw zagranicznych. Znudzonym tonem zgadzał się na przyjęcie dziennikarza, ale Fox zdawał się zadowolony. Wbiegł do pokoju, wziął z biurka jakieś papiery i znów wybiegł.

— Przeczytał pan list Churchilla? — zapytał mimochodem. — Opowiem wszystko za minutkę.

Nie wiem, czego się po mnie spodziewał. Miałem nabożnie całować znaczek pocztowy? Mimo wszystko przyjemnie było siedzieć beczynninie pośrodku tego zamieszania. Wydawało mi się, że załapałem, na czym polega prawdziwe życie. Życie, które coś znaczy. I ja byłem tu kimś. Fox traktował mnie z szacunkiem, jakbym był jakąś nieznaną mu znakomitością. Jego „wy, literaci” brzmiało uprzejmie, niczym ukłon,

który pretendent do tronu składa prawowitemu księciu, uznanie należne oryginałowi od jego kopii, hołd budowniczego dla architekta. Zdawało się, że mówił: „Ach, tak. My, robotnicy, stawiamy rzędy domów, budujemy miasta i uzupełniamy całymi latami dokumenty, ale gdy potrzeba czegoś specjalnego, czegoś monumentalnego, musimy zwracać się do was o pomoc”.

Fox znów wszedł.

— Bardzo mi przykro, drogi przyjacielu, nie mogę znaleźć ani chwili na rozmowę z panem. Ale może zje pan ze mną kolację w „Akapicie”, tym za rogiem, koło osiemnastej? Do Churchilla pójdzie pan jutro.

Klub „Akapit”, w którym miałem spotkać się z Foxem, był jednym z tych osobliwych lokali, które powstawały od czasu do czasu w okolicy Strandu. To jedna z ich cech – zawsze są tuż za rogiem, inna – kelnerzy z nadmierną częstotliwością się spoufalają, a poza tym każdy członek uważa, że lokal prowadzony jest dla wygody kogoś innego.

W „Akapicie” czekano na Foxa z kolacją. Siedziałem w małym pokoju dla palących i zza płachty starego dziennika słuchałem rozmowy trzech lub czterech dziennikarzy, którzy reprezentowali członków klubu. Czuję się jak uczeń w nowej szkole, gdy po raz pierwszy poznaje kolegów.

W fotelu przed kominkiem spał zakonserwowany niczym skamielina krytyk teatralny. Gdy przyszedł czas posiłku, obudził się.

— Trzeba było zobaczyć Fanny Ellsler — wymamrotał i znowu zasnął.

Na czerwonym aksamitnym tapczanie leżał jakiś *beau jeune homme*¹. Nosił krawat w stylu amerykańskiego studenta w Paryżu. Na krześle obok siedział człowiek, którego wziąłem za znamienitego obcokrajowca, gdyż nie wymawiał „r”. Rozmawiali o temacie pewnego skeczu kabaretowego, który podobał się kierowcy autobusu. Później dowiedziałem się, że „mój Francuz” był kiedyś handlarzem, a teraz jest na wpół dziennikarzem, na wpół finansistą, a „mój student” pracownikiem jednego ze starych magazynów.

— Kolacja na stole, panowie! — zawołał kelner od drzwi. Podszedł do śpiącego przy kominku. — Obawiam się, że pan Cunningham przedziej wykończy ten fotel niż samego siebie — rzucił przez ramię.

— Biedny staruszek, nie ma gdzie się podziąć — odezwał się pracownik magazynu.

— Niech idzie do przytułku — zaproponował finansista-dziennikarz. — Dobry skecz, co? — kontynuował, wracając do rozmowy z kierowcą autobusu.

— Całkiem niezły — zgodził się znudzony pracownik magazynu.

— Panie Cunningham — oznajmił kelner, dotykając ramienia śpiącego. — Kolacja na stole.

— Chwała Bogu — odparł krytyk teatralny. Kelner opuścił salę, a krytyk ukradkiem wyjął z kieszeni kamizelki sztuczną szczękę, wytarł ją chusteczką i włożył do ust.

Wstałem i zacząłem oglądać wiszące na ścianach szkice tuszem. Wyblakłe, marne karykatury wypłowiałych, lichych miernot, które patrzyły na mnie z upstrzonych przez muchy ram na purpurowych ścianach niemal mnie przeraziły.

— Tu pan jest, panie Granger — odezwał się za mną wesół głos. — Zjedzmy coś.

Zjedliśmy kolację przyprawioną żarcikami i nudnymi plotkami. Jakiś dziennikarz, zdaje się krytyk muzyczny, dopytywał o pochodzenie kościstego bażanta. Fox odparł, że hodowano go na podwórku. Krytyk teatralny mruczał pod nosem o jakiejś sztuce, którą zdjęto z afisza w Adelphi. Ja uśmiechałem się bezmyślnie.

Fox szeptem opowiedział mi nieco na temat prawdziwego charakteru nowego dziennika. W jego interpretacji, bez dodatku „Wielkiego Celu Moralnego”, sprawa wyglądała nieciekawie. Obskurna palarnia również sprawiała przygnębiające wrażenie, a wszystko razem stanowiło sumę tego, od czego przez tyle lat starałem się trzymać z daleka. Fox wisiał mi nad uchem, wciąż szepcząc. W jego głosie wychyciłem przeróżne tony. Niektórzy spośród tych „wewnątrz”, jak sugerował głos, nie mieli czystych rąk, inni byli – w tym miejscu głos stawał się pełen szacunku – uczciwi.

— Oczywiście człowiek taki, jak minister C. ma własne zasady i zgodnie z nimi... całkiem naturalnie... musi mieć jakieś półoficjalne wsparcie... W tym przypadku to moja „Godzina”. Są trochę drobiazgowi. Ministerstwo, to znaczy... mówią, że Gurnard nie gra *fair*...

Jego szeroka czerwona twarz błyszczała, gdy nachylił mi się do ucha, a błękitne oczy zachodziły łzami, gdy mrugał. Oświecał mnie ostrożnie, krok po kroku. Było w tym coś nieprzyjemnego – nie w samym Fokie,

chodzi mi o całokształt. Wolalbym, żeby przerwał wyjaśnienia, nie chciałem już dłużej ich słuchać. Nigdy nie obchodziły mnie takie sprawy, wolałem brać świat takim, jakim jest. Rewelacje Callana wyglądały znośne jedynie przez wzgląd na ich absurdalną śmieszność. Ale to coś innego, gdyż nosiło w sobie piętno prawdy, być może dlatego, że zdawało się niezbyt czyste. Nie chciałem wiedzieć, że minister spraw zagranicznych tak bardzo nurzał się w szemranym biznesie. Był dla mnie zaledwie symbolem, jednak reprezentował stabilną politykę oraz uczciwość, których nie należy niszczyć.

— Oczywiście — kontynuował Fox — banda Churchilla chciałaby nadal odgrywać spektakl, ale nie zrobi tego. Muszą zrozumieć, że pozostali sami. Mają starą prasę partyjną, więc muszą zacząć wszystko od początku.

Właśnie o to chodzi. Churchill powinien lekceważyć ludzi takich jak my – lekceważyć za wszelką cenę. To było zgodne z moim obrazem świata, tak to sobie wykoncypowałem. Dzięki temu całokształt wyglądał bardziej znośnie. Z drugiej strony, tak wyglądało prawdziwe życie, ja zaś żyłem tu i teraz, a życie równa się rozczarowaniom. To była cena, którą musiałem zapłacić. Rzecz jasna minister spraw zagranicznych z pewnością posiadał jakiś półoficjalny organ propagandowy.

— Wie pan — szepnął Fox — myślę sobie, że szkoda, że wspiera ten grenlandzki biznes. To dość szemrana sprawa, ale przyniesie diabelny zysk, a w pierwszej kolejności należy wziąć pod uwagę interes narodowy. Jeśli ten rząd nie podjąłby się tego, zrobiłby to kolejny, a to stworzyłoby Gurnardowi i jemu podobnym okazję do pogwałcenia Churchilla i jego ludzi. Nie możemy sobie pozwolić na utratę jakichkolwiek portów węglowych na Grenlandii ani gdziekolwiek indziej. Proszę pamiętać, że pan C. jest w stanie lepiej zadbać o interesy Murzynów. Rozumie pan, prawda?

Właściwie to nie słuchałem go, lecz w stosownych momentach potakująco kiwałem głową. Wiedziałem, że chce, bym trzymał się tej wersji w poufnych rozmowach z ludźmi szukającymi wiadomości. Pogodziłem się z tym. Nawiasem mówiąc, ogarnęło mnie przekonanie, być może fałszywe uczucie, że dziewczyna jest w to zaangażowana, a jej cień migocze w tle. Chciałem zapytać Foxa, czy ją zna. Jednak w tym

absurdalnym zamieszaniu nawet ja nie poznałem jej imienia. Cała historia przypominała obłąd, a właśnie teraz pragnąłem, by Fox żywił przekonanie, że z moim zdrowiem psychicznym wszystko w jak najlepszym porządku. Poza tym takie pytanie zdawało się nietaktowne, przecież ją idealizowałem. Nie mogłem rozmawiać o „siostrze” w sali pełnej mężczyzn opowiadających kawały, a z Foxem to już w ogóle.

Krytyk muzyczny krążył po pokoju, a naczelny „Godziny” nie spuszczał z niego oczu. Odsunął nagle krzesło i podszedł do nas.

— Witam! — zawołał ostentacyjnie grzecznym tonem. — O czym to może rozmawiać dwóch facetów?

— Sprawy prywatne — odparł Fox. Nawet nie drgnął.

— Przypuszczam zatem, że przeszkadzam? — mruknął ten drugi.

Fox nie skomentował.

— Szuka pracy — powiedział, obserwując, jak skonfundowany Prusak wycofuje się — ale, jak już mówiłem, opłaca się to w obu wypadkach.

Przerwał, spoglądając na mnie. Wyjaśnił szczegóły finansowe sprawy, dla której ksiązę de Mersch, Callan i pani Hartly oraz wszystkie rzeczony osoby stowarzyszyły się i zaczęły tworzyć gazetę, powierzając kierownictwo Foxowi, co miało przynieść pieniądze i wpływy. Zupełnie jak as w grze. Tylko kto tu jest asem? — zastanawiałem się. A przecież wszystko zależało od tego.

— Tak, tak — potwierdziłem. — Całkiem sensownie to wygląda.

— Oczywiście — ciągnął Fox — zastanawia się pan, dlaczego panu powiedziałem? Tak naprawdę, nawet gdybym tego nie zrobił, usłyszałby pan to gdzieś indziej, a i inne rzeczy, które nie są prawdą. Uważam pana za faceta, który zasługuje na zaufanie.

Nie odezwałem się. Wiedziałem tak samo jak on, że stara się mnie ograć. Jak sam mówił, to nie cała prawda, ale informacje, które mógłbym usłyszeć gdziekolwiek. Nie sądziłem, że kryje się w tym zła wola, to była część gry. Ale pytanie wciąż brzmiało: gdzie tu schował się as? Może jest nim sam Fox? W końcu w bzdurnych nonsensach, które głosiła osobliwa nieznaną, mogło kryć się ziarenko prawdy, a Fox faktycznie lub w przenośni stoi na czele grupy składającej się z księcia de Mersch i Churchilla. Może naprawdę popiera zagranicznego filantropa-założyciela państwa oraz brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, stając przeciw

złowrogiemu ministrowi skarbu, którym niewątpliwie jest pan Gurnard. To może mu odpowiadać, być może miał jakieś akcje zależne od sukcesu księcia de Mersch. Wiedziałem aż za dobrze, że Fox jest wielkim człowiekiem, jednym z tych wybitnych ludzi, którzy pozostają trwale za kulisami pewnie dlatego, że brakuje im właściwej prezencji na scenie. Zrozumiałem, że porzucił z pół tuzina własnych przedsięwzięć na rzecz „Godziny”, gdyż mu się to opłacało. Nie była to tylko kwestia redakcji pisma, w tle kryło się coś znacznie większego. Moja wymiarowa panna też mogła posiadać akcje, których los spoczywał w rękach ministra skarbu. W ten sposób mogłaby równie dobrze w przerośni mówić o sobie, jak i sojuszu z Gurnardem przeciwko Foxowi i Churchillowi. Wiedziałem, że to możliwe, ale w tego typu sprawach czułem się niczym tonący na morzu. Nie miałem powodu, aby wycofać się z przedsięwzięcia, ale wolałbym, by sprawy potoczyły się inaczej. Wszedłem w interes z czystymi rękami i nie chciałem ich pobrudzić, lecz poza tym w pełni byłem do dyspozycji Foxa.

— Rozumiem — powiedziałem, ogłaszając tym samym moją decyzję — będę miał kontakt z wieloma właścicielami, którym mam schlebiać i nie chce pan, bym się zbłąźnił.

— Cóż — odparł, świdrując mnie swymi niebieskimi oczkami — zawsze lepiej wiedzieć zawczasu.

— Lepiej — przytaknąłem.

Faktycznie, lepiej wiedzieć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W ciemność nocy wszedłem pewniejszym krokiem, wreszcie wierząc we własne siły. Zdobyłem wywiad, sprawa została definitywnie załatwiona. To była pierwsza rzecz w moim życiu, która została doprowadzona do końca i poczułem, że nie zasnę, jeśli nie podzielę się tą wiadomością z Leą. Przed laty Lea bardzo pomógł mi w kwestiach wydawniczych. Właściwie to pomagał wszystkim. Całkiem możliwe, że znajdziecie ślady jego wpływu u początku kariery każdego pisarza z tamtych lat, a przynajmniej każdego, kto kiedykolwiek napisał coś przyzwoitego, łącznie z takimi, co nie wyszli poza poziom „dobrze zapowiadających się”. Udzielał materialnej pomocy, jakiej tylko mógł udzielić recenzent, choć jego własna reputacja była zagrożona. Tak naprawdę pomógł mi bardziej niż ktokolwiek. Wstydzilem się tej jednostronnej przyjaźni. Stanowiła jedną z przyczyn, dla których uciekłem w dzicz, zamieszkując w lesie i robiąc wszystko to, co teraz wydawało się młodzieńczą błazenadą. Pragnąłem żyć samotnie, bez niczyjej pomocy, dopóki nie będzie mnie stać na to, by powrócić. Jak można było przewidzieć, straciłem prawie wszystkich przyjaciół i zostałem goluteńki jak w dniu, w którym przyszedłem na świat.

Wokół mnie rozciągało się ogromne miasto – kolebka straszliwego mroku. Ludzie, tysiące ludzi, mijali mnie w pośpiechu, załatwiali jakieś sprawy, wyznaczali sobie cele, mieli z kim porozmawiać, pożartować. A ja nie miałem nikogo. Wielkie miasto, ta przerażająca czerni, nie przyjęło mnie do swych trzewi. Fasady domów, wpatrzone we mnie okna, zamknięte drzwi, ale w środku pusto – żadnych pokoi, żadnych miejsc. Dla mnie domy znaczyły nie więcej niż grunt pod stopami. Jedyнным żywym wspomnieniem pozostał tylko Lea.

Mieszkał byle gdzie. Będąc recenzentem, musiał przewidywać wartość handlową dzieł, które nieznanymi autorzy wysłali jego pracodawcy. Przypuszczam, że miał ustalony plan życia, zgodnie z którym co jakiś czas zjawiał się w jakiejś dzielnicy. Wydawało mi się, że jedynie szczęśliwy przypadek pozwolił mi go odnaleźć tamtej nocy w małym pokoiku w Bloomsbury.

Siedział w niewygodnym fotelu trzciniowym, otoczony maszynopisami przypominającymi szare bazgroły na pianie brudnego papieru. Spojrzał na mnie, gdy stanąłem w drzwiach.

— Witaj! — zawołał! — Co cię tu sprowadza? Masz rękopis? — Wykonał nieokreślony ruch ręką. — Znajdź sobie jakieś krzesło.

Butelka bordo stała na podłodze. Chwycił ją za szyjkę i podał mi, po czym spuścił głowę, powracając do przerwanej lektury. Zdjąłem z krzesła trzy grube teczki maszynopisów i usiadłem. Lea wciąż czytała.

— Jeszcze nie byłem w tym mieszkaniu — odezwałem się, nie wiedząc, od czego zacząć.

Pokój umeblowany był nie tyle skąpo, co chaotycznie. Mieściły się w nim duży mahoniowy kredens, prosty stół, niezwykła składana umywalka, półka z książkami, trzciniowy fotel i trzy krzesła nie od kompletu. Na marmurowym kominku stały trzy holenderskie obrazki w ramkach, a okna zdobiły zasłony w paski. Miał też tanie kwadratowe lustro, a na nim brzytwę. Na podłodze, krzesłach, kredensie i niezasłanym łóżku piętrzyły się stosy maszynopisów.

Recenzent nabazgrał coś na niebieskim papierze i zaczął skręcać papierosa. Zdjął okulary, przetarł je i mocno zacisnął powieki.

— Jak ci się żyje w Sussex? — zagał.

Poczułem nagły atak nostalgii. Uświadomiłem sobie, że fakt, iż na dobre porzuciłem dawny styl życia, stał się nieodwołalny. Lea stanowił symbol tego, co było najlepsze w sposobie myślenia, z którym właśnie się żegnałem. Symbolizował aspiracje. Plany, marzenia, wszystkie te dziecinne sentymenty, które obecnie stanowiły dla mnie przeszłość. Trochę wstyd mi było oznajmić, że wreszcie postanowiłem normalnie żyć. Chwalebność mego planu nieco przygasła wraz z wypaleniem się świec, przy których czytałem. Powiedziałem mu, że w końcu dostałem pracę.

— No to gratulacje.

— Widzisz — zacząłem już walczyć z obiekcjami, których nie miał czasu wyartykułować — nawet dla mojej twórczości okaże się to pożyteczne. Dotąd nie poznałem wystarczająco życia, by móc...

— Och, oczywiście. To bardzo dobrze. Musiało być ci ciężko.

Ubodła mnie ta niesprawiedliwa ocena. Nie pracowałem dla „Godziny” dlatego, że miałem serdecznie dość kłopotów. Przyczyna była inna:

czułem, że moja dusza ulega destrukcji.

— Mylisz się — powiedziałem. I wyjaśniłem, w czym rzecz.

„Tak, tak” – przytakiwał, ale wydawało mi się, że w głębi ducha dodaje: „Wszyscy tak mówią”. Coraz bardziej się złościłem. Opinia Lea stanowiła w pewnym sensie tło dla mojego życia. Przez wiele lat pisałem, żeby usatysfakcjonować go nie mniej niż siebie samego. Dlatego jego chłód wprost mnie zmroził. Zapewne przyszło mu do głowy, że straciłem serce do literatury, a nie chciałem, żeby tak myślał. Próbowiałem mu to wytłumaczyć, lecz zadanie wydawało się trudne, a recenzent wcale nie ułatwiał sprawy.

Wiedziałem, że istnieli tacy, którymi się opiekowałem, by potem zobaczyć, jak schodzą na manowce. A teraz bał się, że ja też...

— O! — zawołał nagle, zmieniając temat. — Spójrz na to!

Rzucił mi na kolana ciężki plik powiązanych kartek i wznowił pisanie eseju o handlowej wartości książki. Uważał, że dzieło jest zbyt delikatne, aby przyciągnąć uwagę czytelników. Zacząłem czytać, żeby oderwać się od ponurych myśli. Ciężkie czarne litery rękopisu mam przed oczyma po dziś dzień. Utwór musiał być dobry, ale chyba nie tak dobry, jak mi się wtedy zdawało. Zupełnie zapomniałem o treści, ale pamiętam, że spieraliśmy się z Leą o kwestię publikacji: ja byłem za, a on przeciw. Myślałem o nieszczęsnym pisarzu, którego los wisiał na szali. Stał się żalonym potencjałem, skrytym we wnętrzu białych kartek, które zapisano zbyt pięknie, by chciały się sprzedać. W słowach recenzenta: „Och, to zbyt piękne!” kryło się coś złowieszczonego. On był już przyzwyczajony, ja zaś uświadomiłem sobie, że wstawiając się za tym pisarzem, oręduję za własną sprawą, swą lepszą twórczością. Wszystko, co Lea mówił o dziele tego człowieka, odnosiło się i do moich utworów. „Na rynku nie ma popytu na takie rzeczy, nie ma czytelników, ta książka była już w obiegu, miałem ją już wcześniej...”. Albo: „Facet nigdy się nie wybije, zabierze się za prowadzenie jakiegoś baru i to go wykończy”. Tak właśnie mówił i zdawał się mówić o mnie.

Ktoś zapukał do drzwi niepewnymi stuknięciami zwiotczonych kostek. To jeden z tych dźwięków, których nie słyszy się od razu. Równie dobrze gość mógł pukać od dziesięciu minut. Okazało się, że to pracodawca Leiego wydawca mej pierwszej książki. W końcu recenzent otworzył

drzwi, a jego szef wszedł różnym krokiem. Wyglądał na człowieka, który celowo psuje sobie humor. Obawiał się intelektualnej przewagi Leiego ale tym razem postanowił być górą.

Wyrzucił z siebie pośpiesznie jakieś pół zdania, po czym przestawił mi się. Chyba trochę pokrzyżowałem mu szyki, ale po chwili przyjął moje istnienie do wiadomości i wrócił do przerwane go wywodu.

Sprawa była dość delikatna. Sam chyba bym jej nie poruszał w obecności obcego, nawet osoby tak mało znaczącej jak ja, ale pan Polehampton najwyraźniej nie miał takich skrupułów. Musiał zdążyć na pocztę. Jak się okazało, Lea doradził mu opublikowanie książki jakiegoś człowieka o nazwisku Howden, średnio znanego pisarza.

— Ale niepokoi mnie, panie Lea, to znaczy moja córka mówi, że ten rękopis taki... no taki nie za bardzo... W sumie to jest całkiem... uch. Pewnie już za późno, żeby się wycofać?

— Rzeczywiście za późno — odparł Lea nonszalancko. — Ale pomysły Howdena zawsze się sprzedają.

— Och tak, oczywiście, oczywiście — wtrącił pośpiesznie pan Polehampton — ale nie sądzi pan, że teraz... To znaczy, biorąc pod uwagę szkody, jakie może to wyrządzić naszej reputacji... Czy nie powinniśmy poprosić pana Howdena o stawkę, powiedzmy, o pięćdziesiąt funtów mniej niż...

— Myślę, że to doskonały pomysł — odparł Lea. Pan Polehampton spojrział na niego podejrzliwie, po czym zwrócił się do mnie.

— Widzi pan — zaczął wyjaśniać — w takich sprawach trzeba być nadzwyczaj przezornym.

— Och, doskonale rozumiem — odpowiedziałem.

W perspektywie tego człowieka było coś tak naiwnego, że poczułem ciepło na sercu. Ostatecznie pokazał mi, jak sprawiedliwi tuczą się kosztem niesprawiedliwych. Pan Polehampton nie był jednak utuczony. Zdawał się nawet dość chudy, a jego siwe, sterczące włosy, choć porządnie uczesane, wyglądały jakoś dziwnie. Całe oblicze zdawało się wyrażać niepokój. Ludzie mówili, że miał nosa do takich spraw i muszę stwierdzić, że to prawda.

— Ja... uch... eee... zdaje mi się, że opublikowałem pana pierwszą książkę... Straciłem na niej tylko pieniądze, ale zapewniam pana, że nie

żywię urazy. Ech... Prawie sto funtów. Ale oczywiście, jakżebym mógł... Nie żywię urazy – wypalił.

Co za oryginał. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłbym się obrazić. Naprawdę chciał być miły, serdeczny i wyrozumiały. Zdawało mi się, że jego ubranie jest zbyt małe, nosił też czarne dziecięce rękawiczki i nigdy nie spuszczał oczu z sufitu. Od tamtego czasu widywałem go często, ale nigdy bez rękawiczek i zawsze z podniesionym wzrokiem.

– Eee... uch.... Co pan obecnie porabia, panie Granger?

Lea powiedział mu, że Fox wziął mnie pod swe skrzydła i zrobię karierę. Przypomniałem sobie, co mawiano o Foxie. Każdy, kim się zaopiekował, robił karierę. Fakt ten był dla pana Polehamptona oczywisty. Nagle cofnął się z niezwykłą gwałtownością. Przypomniało mi to raptowne zamknięcie parasola. W jednej chwili stał się wylewny i ugrzeczniony – wyraził nadzieję, że przyjdzie nam jeszcze kiedyś współpracować. Po raz drugi napomknął, że opublikował mą pierwszą książkę (teraz jego słowa miały jednak zupełnie inny wydźwięk) i był wprost oczarowany odkryciem, że jesteśmy sąsiadami w Sussex. Mój domek znajdował się w odległości czterech mil od jego willi, lecz należeliśmy do tego samego klubu golfowego.

– Musimy kiedyś razem zagrać – powiedział.

Przyszło mi do głowy, że jest typem człowieka, któremu trudno znaleźć kompana do wspólnej rozrywki. A potem wyszedł. Naprawdę nie czułem do niego antypatii. Wzbudzał raczej litość, ale jego sposób myślenia i nagła zmiana frontu wytrąciły mnie z równowagi. Widmo kariery wisiało nade mną, a ja wcale tego nie chciałem. To znaczy – nie w takim sensie. Rzecz jest trochę trudna do wytłumaczenia. Pragnąłem podjąć pracę, ponieważ chciałem zarabiać pieniądze, ale to miało być czasowe – na rok lub nawet krócej. Gdybym zaczął w to brnąć, pokusa mogłaby okazać się zbyt silna, aby zawrócić. Nie miałem żadnej pewności, że zdołam się jej oprzeć. Tak wielu poległo. A gdyby tak napisać do Foxa, że rezygnuję?

Lea znów zakopał się w manuskrypcie.

– Czy mam odrzucić propozycję? – zapytałem nagle. Chciałem, żeby wszystko wróciło do normy.

— W żadnym wypadku! — zaprotestował.

— To znaczy?

— Wykorzystaj ten czas na odpoczynek. Ostatnio tak kiepsko ci się wiodło.

— Wydaje mi się — zastanawiałem się — że jeśli nie będę miał na tyle silnej woli, aby wydostać się z tej kabały na czas, będzie to znaczyło, że nie jestem wart funta kłaków.

— Może zdarzyć się i tak — skomentował. — Gra może nie być warta świeczki. Ale musisz wykorzystać szansę, skoro masz taką okazję — dodał.

Powrócił do lektury, lecz znów podniósł głowę, gdy skapitulowałem.

— Oczywiście — pocieszył mnie — prawdopodobnie wszystko będzie w porządku. Bardzo dobrze się stało. To może nawet dobrze ci zrobić.

I to by było na tyle. Gdy wychodziłem z pokoju, przyszło mi do głowy coś jeszcze.

— Nawiasem mówiąc, nie znasz czasem pewnej kliki zwanej Wymiarowcami? Ściślej mówiąc — Czwartowymiarowcami?

— Nigdy o nich nie słyszałem — zapewnił. — A w czym się specjalizują?

— Mają odziedziczyć Ziemię.

— Och, w takim razie życzę im powodzenia i udanej zabawy — uciał temat.

— Czyli nie jesteś jednym z nich? To chyba rodzaj jakiegoś tajnego stowarzyszenia — kontynuowałem, lecz on już nie słuchał.

Wyszedłem bez słowa.

Nocą Bloomsbury zawsze dziwnie na mnie wpływała. Tym razem odczuwałem niepokój, podobnie jak w dolinie, po której spacerowałem z zagadkową dziewczyną. Przypomniałem sobie jej słowa. Reprezentuje przyszłość i jest symbolem mego rozkładu. Co za bzdury! Tłumaczyłem sobie, że jestem zmęczony i rozstrojony, a w takim stanie łatwo doświadczyć koszmarnych rojeń.

Wszedłem w Southampton Row. W kontakcie z tłumem, popychaniu i biciu popychanych odnalazłem bezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Była sobota i zgodnie ze swoim zwyczajem minister spraw zagranicznych, łąkąc odrobiny prywatności, na czas sesji zaszył się w małym wiejskim domku nieopodal Londynu. Przebywał tam zwykle do poniedziałku.

Poszedłem z listem od Foxa w kieszeni, a wczesnym popołudniem miałem okazję bez przeszkód porozmawiać z ciotką ministra – chudą starszą panią o bystrym spojrzeniu i głębokiej znajomości meandrów europejskiej polityki. Miała dość opryskliwy sposób bycia, a nosiła się na brązowo. Patrzyła ludziom prosto w oczy, świdrując ich wzrokiem, który, jak głosi plotka, pozwolił jej na tajemną, ale bardzo znaczącą rolę w kształtowaniu naszej polityki zagranicznej. Zdawało mi się, że skatalogowała mnie niczym książkę, oznaczyła i umieściła na półce, zanim w ogóle udzieliłem odpowiedzi na pierwsze pytanie.

– Zapewne dobrze zna pan tę okolicę – powiedziała.

Zdaje mi się, że uważała mnie za potencjalnego poplecznika, istotę nieskończenie małą, ale należącą do tego rodzaju, o których może warto pamiętać podczas kolejnych wyborów do parlamentu.

– Nie – odparłem. – Nigdy wcześniej tu nie byłem.

– Ależ Etchingham leży tylko trzy mile stąd.

Było dla mnie nowością, że ktoś uznał za stosowne odnieść się do mego rodowego dziedzictwa. Uświadomiłem sobie, że panna Churchill tolerowała mnie tylko dlatego, że zostałem uznany za jedyne z Grangerów z Etchingham, który po prostu podjął się kariery literata.

– Wczoraj widziałam się z pańską ciotką – kontynuowała.

Z kim ona się wczoraj nie widziała!

– Rozumiem – odparłem niezobowiązująco.

Zastanawiałem się, jak wyglądało spotkanie. Moja ciotka i ja nigdy nie byliśmy w zażyłych stosunkach. Jako wielka dziedziczka ziemiska ciotka należała do wspaniałych osobistości swego światka. Biedna niczym mysz kościelna, pełna godności niczym kwoka. Ponadto zaliczała się do zagorzałych zwolenników panny Churchill. Ja, który nie jestem ani posiadaczem ziemskim, ani szanowanym obywatelem, ani politykiem,

nigdy nie zyskałem w jej oczach szacunku, ale wiedziałem, że ze względu na więzy krwi powstrzyma się od komentowania moich wad.

— Czy znalazła towarzyszkę, która wreszcie jej odpowiada? — zapytałem z roztargnieniem.

Myślałem o anegdocie, którą opowiadała mi matka. Panna Churchill znów spojrzała mi w oczy. Chyba przygotowywała się do tego, by przykleić mi kolejną łatkę. Teraz pewnie przeobraziłem się w złośliwego satyryka. Możliwe, że nawet zyskałem dodatkowe punkty.

— Właściwie to — oznajmiła z błyskiem w oczach — adoptowała bratanicę.

Anegdota głosiła, że podczas emocjonujących wyborów, w których moja ciotka odegrała znaczącą rolę, mury ozdabiały kolorowe afisze z hasłem: „Kto zagłodził jej guwernantkę?”

Moje przypadkowe odniesienie do informacji o wyborach sprawiło, że w oczach panny Churchill urosłem. Zdaje mi się, że całkiem nieświadomie zapewniłem sobie godne traktowanie. Stałem się osobą, którą nie można pomiatać jak zwyczajnym pismakiem. Nie byłem już przedstawicielem „Godziny”, ale Grangerem z Etchingham, którego przeciwności losu zmusiły do zaakceptowania literackiej profesji. Zacząłem widzieć ścieżkę, którą miałem obrać na czas trwania dziennikarskiej kampanii. Z jednej strony byłem „jednym z nas”, który chwilowo znalazł się po przeciwnej stronie barykady, z drugiej – miałem stać się asystentem wielkiego pisarza.

Drzwi boczne za panną Churchill lekko się uchyliły. Było coś bardzo charakterystycznego w nieśmiałym sposobie ich otwierania. Wydawało się, że pytają: „Co to za wstrętne hałasy?”. Zdawały się podlegać władzy osoby skłonnej do kontemplacji, z wieloma sprawami na głowie. Wysoki siwy mężczyzna uwiesił się całym ciężarem jednego ramienia na klamce. Patrzył w zamyśleniu na list, który trzymał w drugiej ręce. Twarz znajoma jedynie z karykatur nagle stała prawdziwa – prawdziwsza nawet niż twarze najbliższych przyjaciół, lecz starsza, niż się spodziewałem. Czułem się tak, jakbym wnikliwie przyglądał się obliczu człowieka, którego widywałem codziennie, i nagle uznałem go za starszego i bardziej siwego niż do tej pory. Tak, jakbym zaczął zdawać sobie sprawę, że świat przyspiesza.

— Co mam zrobić z księciem de Mersch? — odezwał się ospale, niemal sennie.

Panna Churchill odwróciła się ku niemu szybko, jakby z niepokojem. Wypowiedziała moje nazwisko, ale mężczyzna przejawiał początki irytacji – początki, które układały się w pytanie: „Dlaczego nie uprzedzono mnie wcześniej?”.

Zdenerwowałem się. Dobrze wiedziałem, jak wyglądały jego stosunki z de Merschem, a teraz ten człowiek najpewniej uważał mnie za jakiegoś domorosłego szpiega. Jego postawa zdawała się groteskowa, zgodna z manierą wzniosłości, którą przybrał. Włożył okulary na czubek nosa, spojrzął na mnie oczami krótkowidza, zdjął je i przyjrzał się ponownie. Miał minę, jakby podziwiał mnie z tak ogromnej odległości, że potrzeba było do tego teleskopu.

— Och... Syn pani Granger, jak przypuszczam... Nie wiedziałem...

Wahanie sprawiło, że poczułem, iż miną lata, nim dojdziemy ze sobą choćby do względnego ładu.

— Nie — oznajmiłem szorstkim tonem. — Jestem z „Godziny”.

Uznał, że należę do gońców Foxa, twierdząc, że przecież Fox mógł sam do niego napisać.

— By oszczędzić panu fatygi, to znaczy...

Usiłował zachować uprzejmość, a nawet pragnął sprawić mi przyjemność, udowadniając, że jest świadom mojej tożsamości.

— Nie — powiedziałem trochę wyniosłe. — Nie mam żadnej wiadomości, przyszedłem tylko po to, by przeprowadzić z panem wywiad.

Wyraz zaniepokojenia przeszył jego twarz.

— By... — zaczął. — Ale ja nigdy nie wyraziłem... — Naprężył się raptownie i energicznie poprawił okulary na nosie. W końcu odnalazł właściwe słowa: — No tak, teraz pamiętam! Inaczej to sobie wyobrażałem.

Cała sprawa ubodła mnie okrutnie, wzbudzając uczucie wściekłości. Zdawało mi się, że ten człowiek był tylko marionetką w łapskach Foxa, de Merscha i reszty, dlatego przybierał takie pozy. Ja w każdym razie nie brudziłem sobie tym rąk i nie załatwiałem w ten sposób prywatnych spraw.

— Ach, tak! — wykrzyknął skwapliwie. — Ma pan nakreślić mój portret, jak to ujął Fox. Wysłał mi pana szkic o Jenkinsie. Przeczytałem go. Udana

rzecz. A więc...

Usiadł na absurdalnie niskim krześle, z kolanami na poziomie podbródka. Wymamrotałem, że boję się, iż zadanie okaże się dla niego nudne.

— Nie bardziej niż dla pana — odpowiedział poważnie. — Ale ktoś musi robić takie rzeczy.

— O tak — zgodziłem się. — Ktoś musi.

Uderzyło mnie, że żałuje swej zgody, żałuje z wielką gorliwością. Zdawało mi się, że w jego słowach pobrzmiwa nuta rozgoryczenia.

— I... jaka jest procedura? — zapytał po chwili. — Jestem nowicjuszem.

Odniosłem wrażenie, że ma minę, jakby rozmawiał z jakimś szanowanym handlowcem, człowiekiem, do którego udaje się tylko wtedy, gdy nadchodzi czarna godzina, na przykład słynnym właścicielem lombardu, osobą stojącą co prawda na szczycie, ale bardzo chwiejnej drabiny.

— W tych sprawach też jestem nowicjuszem — zapewniłem. — Powinienem namalować pana „aurę”, jak to określił Callan.

— No tak — odpowiedział z roztargnieniem, a po przerwie dodał: — Zna pan Callana?

Obawiałem się, że teraz mnie odpowiednio oceni.

— Ktoś musi robić takie rzeczy — powtórzyłem. — Właśnie staram się namalować jego „aurę”.

Ponownie spojrzął na list w ręce, wygładził krawat i milczał. Zdałem sobie sprawę, że przeszkadzam, ale wciąż byłem tak zdenerwowany, że nie wiedziałem, jak się usprawiedliwić.

— Być może... — zacząłem.

Spojrzał na mnie uważnie.

— Obawiam się, że przeszkadzam — wyduśiłem.

— Cóż — odpowiedział. — To przecież drobnostka. Ale jeśli ma pan namalować moją „aurę”, możemy malować na zewnątrz. — Zawahał się, zadowolony ze swego dowcipu. — Chyba że jest pan zmęczony.

— Pójdę się przygotować — powiedziałem, jakbym był damą, która musi zawiązać tasiemki kapelusza.

Zaprowadzono mnie do gościnnego pokoju, gdzie odczekałem dobrą chwilę, marnując tak naprawdę czas. Kiedy wróciłem, pan Churchill

spacerował z rękami w kieszeniach i z głową zwieszoną bezwładnie na piersi.

— No proszę! — zawołał, jakby zapomniał o moim istnieniu. Milczał jakiś czas, medytując nad swoim wizerunkiem odbijającym się w lustrze nad kominkiem, aż zebrał siły. — Chodźmy — oznajmi.

Zrobiliśmy sobie długi spacer przez bujną wiejską łąkę. Rozmawialiśmy o wielu sprawach, aż wreszcie Churchill poruszył temat piekielnego szkicu o Jenkinsie. Byłem na tym etapie, na którym ma się już dość, znużony nawet samą myślą o zadaniu, a gładkie słówka polityka wcale nie pomagały.

— Wie pan, jaki nurt reprezentuje Jenkins? — zapytałem. Chciałem skierować rozmowę na boczny tor.

— Och, domyślam się, że... — zaczął.

Mówili, że pan Churchill jest entuzjastą szkoły malarstwa, której ostatnim przedstawicielem był Jenkins. Zaczął zadawać pytania na jego temat. Czy nadal maluje? Czy wciąż żyje?

— Kiedyś widziałem kilka jego obrazów — przypomniał sobie. — Jego prace przemawiają do mnie. Tak, spodobały mi się. To znaczy wtedy... Ale człowiek tak łatwo zapomina, jest tyle spraw na głowie.

Wydawało mi się, że używa beładnych zdań, aby pokazać, iż jego umysł dźwiga skarby godne królestwa, ba, kilku królestw, i na co dzień może podzielić się ze światem zaledwie skrawkami swej uwagi.

— Musi mnie pan do niego zabrać — powiedział nagle. — Chciałbym mieć jakiś jego obraz.

Pomyślałem o biednym siwowłosym Jenkinsie i jego długiej walce z przeciwnościami losu. Wydawało się trochę okrutne, że Churchill mówi o nim w ten sposób, nie biorąc na poważnie ani słowa, jakby były one jedynie grzecznościowymi formułkami.

— Nic nie sprawi mi większej przyjemności — odpowiedziałem.

Zapytał mnie, czy widziałem taki a taki obraz. Mówiłem o artystach, chwalać niektórych bardzo taktownie, ale z pewną nieśmiałością – nieśmiałością, która przywiodła mój zazwyczaj apodyktyczny umysł do klęski. W takich sprawach miałem wyrobioną opinię. Mógłbym narzucić mu własne zdanie i choć zdawałem sobie sprawę, że to niewłaściwe, uczyniłem to. Jego postawa uderzyła mnie jako osobliwa. Wyglądało to

tak, jakby jakieś bardzo małe zwierzę zastraszyło kolosa wśród bestii. Nie było mnie jeszcze na świecie, gdy on przemawiał do mieszkańców Olimpu. Plotłem bezmyślnie niczym nauczyciel do grupki uczniów, a on z łatwością lykał mą gadkę.

Dotarliśmy do rozległego rynku małego czerwono-szarego miasteczka nieopodal Londynu. Miasteczka z jedną ulicą, zdominowaną przez wielki sztyld karczmy na szczycie ogromnego białego słupka. Nad naszymi głowami, poskrzypując, leniwie kołysała się podobizna jakiejś tutejszej osobistości.

— A oto Etchingham — oznajmił Churchill.

Co za zabawny komentarz u progu siedziby mych przodków. Od tak dawna jej nie odwiedzałem, że nie pamiętam, czy naruszono tu pradawny ład. Niewiele chyba zrobiono. Grangerowie z Etchingham mieszkali w Etchingham, kłócili się ze sobą w Etchingham, umierali w Etchingham i byli okropnie ważnymi Grangerami z Etchingham, lecz nic poza tym. Mój ojciec otarł się o niezwykle towarzystwo. Nie geniuszu, lecz bohemy. Grangerowie z Etchingham odwrócili się od niego, a on pożegłował w świat, by utonąć w obcych morzach.

Teraz ja byłem ostatnim z Grangerów i, jak się okazało, najbardziej znanym z nich wszystkich. Moi przodkowie uboželi z pokolenia na pokolenie i mieli właśnie zatonać, gdy w ostatniej chwili pojawiłem się ja. Miałem podźwignąć ród i wrócić na stare śmieci, wsparty na ramieniu jednego mocarza tej planety. Zastanawiałem się, co też zdziwaczała staruszka, która sama zarządzała Etchingham, myślała o dawnych czasach. Ta zdziwaczała staruszka, która rządziła żelazną ręką, aż stała się nie do zniesienia, wszyscy ją opuścili i musiała zwrócić się o pomoc do nieszczęsnej bratanicy. Zastanawiałem się, kim może być owa bratanica. Na pewno nie należy do Grangerów z Etchingham, gdyż byłem ostatnim z rodu. Najprawdopodobniej to jedna z jej krewnych.

Churchill wstąpił na pocztę, zostawiając mnie przed wejściem.

Panowała przyjemna letnia pogoda, powietrze bardzo czyste, a miejsce niezwykle klimatyczne. Spojrzałem na parę wielkich kamiennych słupów na końcu ulicy, wyraźnie odróżniających się od bram zwyczajnych domów. Wyglądały na nieco zniszczone pogodą i porośnięte pleśnią. Na szczycie każdej kolumny siedział wyrzeźbiony wilk. Z tego, co się

orientowałem, był to mój własny herb. Uderzyła mnie myśl, że to musi być brama naszego dworu.

Wysokie żelazne wrota rozwarły się i zobaczyłem jakąś dziewczynę pędzącą na rowerze ze szczytu słonecznej ulicy. Sunęła wyraźnie, maleńka, lecz widoczna, przylegając do jarzącego się blaskiem muru. Przechylona w swym pojeździe, migotała, zbliżając się do mnie. Serce skoczyło mi do gardła. Całość stała się kompozycją – urokliwa, słoneczna ulica, jasne niebo opadające z powrotem na miejsce, bordowe dachy, granatowe cienie, czerwono-niebieski szyld, błękit gołębi kroczących pomiędzy moimi stopami, koralowy wózek listonosza. Gnała w moją stronę, stając się większa i większa. Zeskoczyła i stanęła naprzeciw mnie.

– Ty? – zdziwiłem się. – Dlaczego los mi cię tu zsyła?

– Jestem towarzyszką twojej ciotki – odparła jak gdyby nigdy nic. – Jej bratanicą, no wiesz.

– Więc musisz być moją kuzynką.

– Nie, siostrą – poprawiła. – Zapewniam cię, że jestem twoją siostrą. Zapytaj kogokolwiek, swoją ciotkę chociażby.

Zaskoczyła mnie jej zawziętość.

– Ale wiesz, tak na serio – dodałem.

Uśmiechała się, stojąc na wprost mnie i kołysząc lekko rowerem.

– To ciut niedorzeczne, prawda? – zapytała.

– Nawet bardzo – zgodziłem się. – Tak czy inaczej, nie rozumiem. A nie jestem przecież skończonym durniem.

– Skończonym to nie – zapewniła.

– Biorąc pod uwagę, że nie jestem... nie jestem żadnym tam Czwartowymiarowcem – przekomarzałem się. – Ale czy naprawdę oмотałaś moją ciotkę?

– Naprawdę. Ona zresztą wie lepiej. Wierzy we mnie niesłychanie. Jestem prawdziwą Grangerówną, nigdy nie było prawdziwszej. A teraz wspólnie głowimy się, co z tobą począć.

Moje oszołomienie było niezmierne, ale już przechodziło.

– Czy mogę odwiedzić ciotkę? – zapytałem. – Nie chciałbym przeszkadzać...

– Skąd, nie przeszkadzasz – zapewniła. – Tyle że jutro wyjeżdżamy do Paryża. Jesteśmy bardzo zajęte. My, to znaczy moja ciotka, bo ja jestem

na to o wiele za młoda i stateczna, mamy mały salonik, w którym knujemy spiski przeciwko europejskim rządóm. Pojęcia nie masz, jakie z nas legitymistki.

— Nie mam. Zupełnie nie rozumiem.

— Bo jeśli chcesz zrozumieć, musisz brać dosłownie to, co mówię. Ale tego nie zrobisz. Odpowiadają mi jedynie niespokojne państwa, które tym bardziej pograżam w chaosie, sam zresztą zobaczysz.

Mówiła z tym swoim potwornym brakiem emocji i poczułem, jak dreszcz przebiega mi po plecach. Zastanawiałem się, jak się zachowa, gdy kiedyś będzie musiała zrobić coś na serio, a ja stanę jej na drodze, na przykład jako mąż.

— Żałuję, że nie mówisz poważnie chociażby przez minutę. Muszę sobie to wszystko poukładać w głowie.

— Ależ od godziny mówię — zapewniła — problem w tym, że ty wcale nie słuchasz. Weźmy na przykład twojego znajomego, Churchilla. Jest człowiekiem, którego wspieramy. Wspomniałam ci o tym i...

— Ależ to zwyczajny obłąd!

— Och nie, to po prostu nagi fakt — ciągnęła.

— Nie rozumiem, w jaki sposób...

— Twój artykuł w „Godzinie” pomoże. Każdy drobiazg pomoże. Rzeczy, które rozumiesz i te, których nie potrafisz zrozumieć. On stowarzyszył się z księciem de Mersch. Choć nic na to nie wskazuje, sprawa jest beznadziejna. Będą przyjaźnie... i zdrady.

— Ach!

Wiedza ta sprawiła, że zacząłem szanować jej znajomość wewnętrznego polityki. Musiała czynić aluzje do Gurnarda, wobec którego wszyscy, być może ze strachu, udawali zaufanie. Spojrzała na mnie i znów się uśmiechnęła. Wciąż był to ten sam, identyczny uśmiech. Nie było wcale tak, że jednego dnia zdawał się promienny, a innym znów razem mdły.

— Wiesz, że nie chcę tego słuchać?

— Bo kryją się w tym ironia, litość i tego typu rzeczy — powiedziała z delikatną nutą drwiny. — Nie brudzi sobie rąk i nie bardzo mu się to podoba. Ale dostrzega, że to jego ostatnia szansa. Nie chodzi o to, że jest wyczerpany, ale czuje, że nadszedł jego czas, chyba że coś zrobi. I zamierza zrobić, rozumiesz?

— Ani trochę — zapewniłem beztrasko.

— Chodzi o System Regeneracji Regionów Arktycznych, grenlandzką aferę mojego przyjaciela de Merscha. Churchill zamierza zrobić z tego wielkie halo, aby nie spaść ze szczytu i oczywiście ogromnie przyczyniłoby się to do wzrostu waszego prestiżu narodowego. Ale on nie do końca zdaje sobie sprawę, kim jest de Mersch.

— Dla mnie to wszystko brzmi po chińsku — mruknąłem buntowniczo.

— Och, wiem, wiem. Ale trzeba robić takie rzeczy i chcę, żebyś zrozumiał. Tak więc Churchill nie lubi biznesu. Ale sam tkwi w cieniu. Ostatnio dużo rozmyślał, że jego passa się skończyła, udowodnię ci to za chwilę, i... no cóż, zamierza podjąć desperacki wysiłek, by zbliżyć się do „ducha epoki”, której ani nie lubi, ani nie rozumie. Dlatego pozwala, byś zajął się jego „aurą”. I tyle.

— I tyle — powtórzyłem ironicznie.

— Oczywiście, że wolałby trzymać się jak najdalej od ludzi takich jak my. — Naśladowała ton i słowa samego Focha.

— To jakieś diabelskie sztuczki. Jakim cudem wiesz, co Foch mi powiedział?

— Po prostu wiem.

Wydawało mi się, że bawi ją cały ten nonsens – jakby wiedziała, że mam do niej słabość i dam się owinać wokół małego palca. Zaryzykowałem.

— Ale popatrz — zacząłem — musimy załatwić te sprawy. Ty...

Wymamrotała coś pod nosem.

— Wiem, że mnie nie zdradzisz — powiedziała. — Dotąd tego nie zrobiłeś. Istnieje tak wiele powodów. Dojdzie do scysji, a ty boisz się awantur. No i w razie czego nasza ciotka poprze mnie. Musi. Moje pieniądze przywróciły Grangerom chwałę. Sam widziałeś, że odrestaurowali bramę.

Spojrzałem prawie mimowolnie na wysokie żelazne wejście, przez które do mnie przyjechała. To prawda, brama lśniła od złota.

— Cóż — powiedziałem — dam ci kredyt zaufania przez wzgląd na to, że nie chcesz oskubać mojej ciotki. Ale wciąż...

Przyszło mi do głowy, że jest jedną z tych Amerykanek, które wspierają finansowo podupadłe majątki, takie jak pałac Etchingham. Być może

ciotka nawet zmusiła ją do przyjęcia nazwiska, aby zachować pozory. Starsza pani była zdolna do wszystkiego, nawet do obdarowania niewydarzonego bratanka genialną siostrą. I z pewnością nie okaże mi wdzięczności, jeśli pokrzyżuje jej szyki. Taki to szkielet myśli rozciągał się pomiędzy słowami.

— Nie jesteś moją siostrą — kontynuowałem żartobliwie.

Jej twarz rozjaśniła się, gdy witała kogoś, kto nas minął.

— Słyszał go pan? Słyszał go pan, panie Churchill? Wypiera się mnie! On się mnie wypiera! Czyż nie okropny z niego brat? A kłótnia poszła o nic.

Jej bezczelność, a raczej pomysł, na jaki wpadła, zdumiał mnie. Churchill uśmiechnął się uprzejmie.

— Och, wszyscy kłócimy się o bzdury — odparł.

Zamienili kilka słów o mojej ciotce, o tym, jak działa rower, tego typu sprawy. Zachowywał się wobec niej tak, jakby była rozpieszczonym dzieckiem, któremu pozwala się na kaprysy i bardzo je lubi. Sam wyglądał raczej jak mało przenikliwy, pobłażliwy, lecz bardzo mizerny lew, który przygląda się jednorożcowi na śliwkowym placu.

— Więc wracają panie do Paryża — zagaił. — Pannie Churchill będzie przykro. Co planujecie? Zagładę wszechświata?

— Pewnie — odpowiedziała — będziemy się o nią starać, moja ciocia nigdy się nie poddaje. Nie potrafi, sam pan wie.

— Wpadną panie w kłopoty — oznajmił Churchill tonem, jakby rozmawiał z dzieckiem, które chce ukraść jabłka. — A kiedy nadejdzie nasza kolej? Zamierza pani przywrócić tron Stuartom, prawda? — Zdobył się na złośliwość, nieznaczną i bez konsekwencji.

— Och, niezupełnie. Niezupełnie.

Ciekawie było patrzeć, jak rozmawia z tym mężczyzną – prawdziwym mężczyzną, a nie naciągaczem jak Callan. Odrzuciła maskę, którą zawsze mi pokazywała, i natychmiast stała się tym, za kogo wziął ją Churchill – zepsutym dzieckiem. Czasami przypominała styl bycia Amerykanów, posiadała doskonałą znajomość nazwisk, ale nie tradycji. Spodziewałem się, że zaraz wpadnie w ekscytację.

— No wie pan — powiedziała z delikatną urazą — musimy być wobec pana surowe. Zmiażdżyłybyśmy pana jak...

Churchill w roztargnieniu gmerał kijem w pyłe na drodze, kreśląc duże „CHU”. Wymazała napis czubkiem buta.

— ...o tak — dokończyła.

Odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się prawie serdecznie.

— Mój Boże — powiedział — nie miałem pojęcia, że tak bardzo wam zawadzam. Pani i pani Granger.

— Ależ nie o to chodzi — powiedziała z lekkim uśmiechem i dobitnym spojrzaniem. — Ale musi pan zrobić miejsce dla przyszłych pokoleń.

Twarz Churchilla nagle się zmieniła. Wyglądał teraz na starego, siwego i nawet trochę wątlęgo człowieka. Rozumiałem, co dziewczyna próbuje mi udowodnić i nie podobało mi się to. Co za okrucieństwo przypominać temu starcowi rzeczy, o których próbował zapomnieć.

— No tak — odparł z łagodnym smutkiem bardzo leciwego człowieka. — Śmiem twierdzić, że w tym jest coś więcej, niż się pani wydaje. Nawet pani będzie musiała się jeszcze wiele nauczyć.

— Ale nie potrwa to długo — przerwała zuchwale.

— Mam nadzieję, że nie — odpowiedział. — Mam nadzieję, że nie.

Pokiwała głową i odjechała.

Powróciliśmy do spaceru w milczeniu. Pan Churchill uśmiechnął się raz czy dwa do własnych myśli.

— Bardzo zabawna — zauważył. — Jej towarzystwo mi służy.

Sadzę, że chodziło mu o to, iż odwróciła jego uwagę od przygnębiających myśli.

— Czy ona zawsze tak mówi? — zapytałem.

Zaczęliśmy rozmawiać. Wiedziałem, że zakłócam ważne refleksje, ale musiałem wiedzieć.

— Powinienem powiedzieć, że tak — odparł. — Powinienem tak powiedzieć. Ale pani Churchill mówi, że posiada prawdziwy zmysł organizacji. Poznała ją dobrze, zanim wyjechały do Paryża.

— Co one tam robią? — To było tak, jakbym wyłuskiwał sekrety od wariata.

— Mają coś w rodzaju miejsca spotkań dla wszelkiego rodzaju pretendentów do tronu - francuskiego i hiszpańskiego, tego rodzaju rzeczy. Zdaje mi się, że pani Granger traktuje to bardzo poważnie. — Nagle

spojrzał na mnie podejrzliwie. — Ale powinien pan wiedzieć o tym lepiej ode mnie — dodał.

— Widujemy się tak rzadko, że właściwie to nawet nie wiem, czy można nazwać nas rodzeństwem.

— Rozumiem — powiedział.

Nie wiem, co rozumiał. Bo ja zupełnie nic.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Udało mi się dostarczyć Foxowi to, czego pragnął dla swego dziennika. Oddałem „aurę” Churchilla i jego domu w sposób, który miał zadowolić czytelników. Posiadłość była miejscem dość przyjemnym, takim, w którym człowiek dobrze się czuje, ale nikt nie jest wobec niego natarczywy. Stała w spokojnej okolicy i prezentowała się skromnie. Pod względem architektonicznym wyglądała dość pospolicie, lecz przyzwyczailem się do niej i ją polubiłem. A i Churchill, gdy tylko przywykłem do jego sposobu bycia, bardzo mi się spodobał. Naprawdę. Miał elegancki, dystyngowany umysł, z silnymi morale, fantastyczny charakter u osoby na takim stanowisku – rozsądny, a zarazem niepozabawiony uporu. Po pewnym czasie rozpałała me myśli idea, że nie lubił swej pracy, to okoliczności popchnęły go w ramiona polityki, a złośliwy los postawił na samym szczycie. Sam żywiłem głęboką pogardę dla polityki i uderzyło mnie, że i on podzielał nieco ten pogląd. Posiadał także kilka szlachetnych przymiotów: grzeczność, skromność, wyrozumiałość.

Spędziłem z nim większą część weekendu. Musiałem być przy nim, kiedy tylko miał wolny czas. Sądzę, że go to nużyło, ale nic nie dało się zrobić. Rozmawialiśmy godzinami, wielkie nieba, jak żeśmy namiętnie dyskutowali! On był prawie zawsze uprzejmy, a ja prawie zawsze apodyktyczny, być może dlatego, że rozmowa dotyczyła mojej dziedziny. Polityki nawet nie dotknęliśmy. Miałem wrażenie, że jeśli poruszę ten temat, zostaną grzecznie, ale bardzo zdecydowanie upomniani. Może dał mi to w jakiś sposób odczuć, a może tylko mi się zdawało, ale gdybym na przykład zapytał: „Co sądzi pan o systemie Grenlandii?”, otrzymałbym odpowiedź: „Staram się o tym nie myśleć” lub jakiś inny uprzejmy frazes ucinający dyskusję. Nigdy jednak tego nie zrobiłem – było tak wiele innych tematów.

Pisał wtedy swój *Żywot Cromwella*, a jego umysł był całkowicie pochłonięty zagadnieniem. Kiedyś otworzył przede mną serce, delikatnie wybadawszy, czy mnie to nie nudzi. Zrządzeniem ślepego losu okazało się,

że ja także miałem wówczas obsesję na punkcie lorda Olivera. Wiele lat wcześniej, kiedy byłem chłopcem z głową pełną wielkich planów, zacząłem pisać jedną z tych wspaniałych powieści, które planuję kiedyś wydać – epickie dzieło ze starym Nollem w roli bohatera lub tragicznego ojca. Odwiedzałem księgarnie w poszukiwaniu historycznego kolorytu i wspaniale zainwestowałem oszczędności. Od tego czasu towarzyszą mi siedemnastowieczne rozprawy bez okładek, z oślimi uszami, kryjące pod kurzem wielkie treści. Z tymi relikdami złotego wieku trudno się rozstać i podczas jakiejś choroby ponownie przeczytałem większość z nich. Przypadkowe, na wpół zapomniane frazy przypominały o różnych scenkach: światło latarni na brudnych ulicach, półki pełne pokrytych kurzem, zniszczonych książek. Nawet wówczas mój umysł zasiedlał Mercuriusz Rustyk. Niezwykle interesowało, a wręcz podniecało mnie, co też pan Churchill napisze o Cromwellu. Oto życie, które ujawniało prawdziwy temperament. Dobrze mi to zrobiło.

Przypomniałem sobie jego słowa na temat mej fałszywej siostry. Pomysł był fantastyczny, tak fantastyczny, jak ona sama, ale bardziej wynikało to z rozmów niż treści książki. Oczywiście miałem w tym swój udział. Ale wyobraźcie sobie Cromwella – tę delikatną, bierną, uparcie bezstronną osobowość. Oto doskonały temat na powieść, a dla mnie lekcja, czym są temperament i odmienne punkty widzenia. Dałem się porwać jego nastrojom aż do przesady, w nadziei, że pobudzę go do przekroczenia „samego siebie”. Wspominam tylko o tym, ponieważ udało mi się to tak dobrze, że doprowadziło do nadzwyczajnych konsekwencji.

Po niedzielnej kolacji spacerowaliśmy po jego ogrodzie w półmroku. Błede światło jaśniało na lśniących liściach laurowych i osiadało na miękkich płatkach kwiatów owocowych. Zamieszkało także na srebrnych pasmach jego ciemnych włosów, czyniąc twarz starszą i bledszą. Miałem wrażenie, że doświadczam jakiejś szczególnej ironii, jak umierający człowiek snujący plany na przyszły rok, którego nie doczeka. Towarzyszyło mi poczucie nierzeczywistości. Dlaczego słowik miałyby śpiewać pieśni dla uciechy polityka, którego serce nie troszczy się o to, by powstrzymać powódź, za to ożywa, gdy trzeba potępić jednego z tyranów, którzy ją wywołali?

Jakiś tydzień czy dwa później napisał do mnie Churchill i poprosił, bym zabrał go do Jenkinsa, o którym opublikowałem szkic. Była to jedna z tych prób, przez które przechodzi przyjaciel, gdy stara się pomóc. Jenkins błędnie ocenił me intencje, uznał, że to obelżywy patronat. Nie chciał pokazać swej najlepszej pracy, zapomnianych arcydzieł, obrazów, które nigdy nie zostały sprzedane i wciąż wisiały na wyblakłych ścianach czy gniły w piwnicach. Nie był serdeczny, jak zazwyczaj, nie chciał rozmawiać. Churchill zachował się bardzo w porządku. Myślę, że rozumiał.

Stopniowo Jenkins mięknął pod jego subtelnym uznaniem. Widziałem, jak zachodzi w nim zmiana. Zaczął zdawać sobie sprawę, że ta niewiarygodna wizyta człowieka, który powinien być za pan brat z akademikami, nie była bynajmniej ingerencją szpiega. Zestarzał się, a w życiu zupełnie mu się nie powiodło. Stoczył ciężką walkę i przegrał. Czuł się nieszczęśliwy. Tymi podejrzeniami mścił się na okrutnym losie.

My, młodzi, uwielbialiśmy go. Miał rumianą twarz i staroświeckie srebrne włosy Króla Kier, a także wspaniałe maniery, które odziedziczył w młodości za czasów Brummella. I chociaż niemal rozkładał się za życia, zachowywał niezwykle młodzieńczą i naiwną radość ducha. Właśnie to nadawało uroku historii, którą opublikowałem.

Doświadczenie było nieprzyjemne. Żałowałem bardzo, że odwieczna nadzieja tego człowieka znów upada i bałem się, że Churchill zamarznie, nim Jenkins zdąży odtajać. Ale, jak już powiedziałem, wydaje mi się, że Churchill rozumiał. Uśmiechał się swoim dobrodusznym uśmiechem, krążąc od obrazu do obrazu i chwalił każdy z nich, wspominając, że widział je któregoś roku.

Jenkins odtajał.

Wychodził z pokoju, aby przynieść jakieś dokumenty czy przyspieszyć podanie herbaty. Pozbawione jego obecności miejsce nagle stało się widmowe. To było tak, jakby słońce umarło na niebie i opuściło nas w tym podziemnym świecie, w którym martwe, pogrzebane echa przeszłości żyją w szarym, bezcieniowym świetle. Paleta Jenkinsa świeciła kolorami nad kłębowiskiem poplamionych szmat leżących na biurku. Trzcিনowe krzesło przypominało smaganą wiatrem strzechę.

— Można wyciągnąć moralną wartość z takiego życia — powiedziałem nagle. Myślałem raczej o Jenkinsie niż o mężczyźnie, z którym rozmawiałem.

— Oczywiście, że tak — odparł z roztargnieniem. — Przypuszczam, że są ludzie, którzy nie mają talentu do radzenia sobie w życiu.

— To więcej niż talent — powiedziałem z niepotrzebną goryczą. — To kwestia charakteru.

— Myślę, że to także nawyk. Można go wyrobić, prawda?

— Nie, nie — zaprotestowałem. — Właśnie dlatego, że nie można, że najlepsi ludzie, tacy jak...

Zatrzymałem się nagle, uświadamiając, że tkwi w tym dysonans. Powinienem bronić swego punktu widzenia, gdy rozmawiałem z Churchilllem. W przeciwnym razie zniknę. Jego słowo miało wagę trzech królestw i kilku kolonii, a ja musiałem siłą wyrywać myśli z głowy, czyniąc z konwersacji zaledwie kwestię nastroju. W tym miałem nad nim przewagę. Gdy chciałem coś powiedzieć, robiłem to bez skrępowania, a jego powstrzymywała obiektywność. Wydawało się, że lubi apodyktyczny ton, w przeciwnym razie nie spotkałby się ze mną ponownie. Być może stanowiło to dla niego nowość. Moje oko spoczęło na kilku maskach zawieszonych po obu stronach kominka. Pokój wypełniony był mnóstwem małych odlewów gipsowych, pokrytych gęstym kurzem na ramionach, włosach, powiekach i każdej wystającej części ciała.

— A tak w ogóle — powiedziałem — to maska pośmiertna Cromwella.

— Ach! — zawołał. — Wiedziałem, że istniała...

Bardzo powoli do niej podszedł, zupełnie jakby nie chciał, by znalazła się w jego polu widzenia. Zatrzymał się, odwracając w moją stronę.

— Jeśli chodzi o moją książkę — zaczął nagle — mam tak mało czasu... — Jego żwawość przerodziła się w ton skargi, co mało stanowił wyraz bezsilności. — Pracuję nad nią od czterech lat. Uderzyło mnie, że pana poglądy w stopniu idealnym pokrywają się z moimi. — Zdawało się, że skończył wyznanie, lecz nagle znów powrócił do tematu.

— Rozmawiałem o tym ze Smithsonem, moim wydawcą, i powiedział, że nie ma zastrzeżeń... — Spojrzał na mnie błagalnie. Milczałem. — Oczywiście, to nie jest praca w pańskim stylu. Ale może warto spróbować. Rozumie pan...

Nagle zamilkł.

— Nie rozumiem — odparłem chłodno, kiedy cisza stała się zbyt krępująca. — Chce pan, żebym został pana „murzynem”?

— „Murzynem”? Dobry Boże, ależ skąd! — zaprzeczył energicznie. — Absolutnie nie!

— Zatem naprawdę nie rozumiem...

— Myślałem, że może pan... Chciałbym, żeby pan ze mną współpracował. Całkiem jawnie, jeśli o to chodzi.

— Współpracować... — powiedziałem powoli — ...z panem...

Popatrzyłem na miniaturę Herkulesa Farnezyjskiego. Zastanawiałem się, co to wszystko znaczy, jaka siła napędza koło mojej fortuny i doprowadziła je aż tu.

— Oczywiście musi pan to na spokojnie przemyśleć — powiedział.

— Sam nie wiem — mruknąłem. — To dla mnie nowe doświadczenie. Nie zajmowałem się tym dotąd. Nie wiem, co powinienem zrobić.

Mówiłem bez ładu i składu. W mojej głowie walczyło ze sobą tak wiele myśli. Wydawało mi się, że oderwie mnie to jeszcze bardziej od twórczości, której chciałem się poświęcić. Tak naprawdę nie wątpiłem we własne umiejętności. O nie. Raczej uważałem, że to praca poniżej mej godności, jednak mimo wszystko niesamowicie wielka okazja.

— Wie pan dobrze, ile już zrobiłem — kontynuował. — Mam dużo materiału i sporo już napisałem. Ale wciąż jest tak wiele do zrobienia. Jak już wspomniałem, to wykracza poza moje możliwości.

Znów spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Stał przed mną, cienki równoległobok czerni z białą mozaiką na szyi. Owa groteskowość sprawiła, że paradoksalnie w swej abstrakcyjnej powadze był taki prawdziwy. Tak bardzo skupiał się na tym, co mówi, że nie przejmował się zupełnie, w jaki sposób poruszają się jego ręce, sylwetka, głowa. Wziął małą, bardzo zakurzoną książkę z niewielkiej półki i bezmyślnie przewracał zbutwiałe kartki, kontynuując swój wywód z pochyloną głową. Co go łączyło ze mną albo mnie z nim?

— Mogłbym poświęcić na to sobotnie popołudnia zawsze, gdy tylko da pan radę przyjechać.

— To niezmiernie uprzejme z pana strony... — zacząłem.

— Wcale nie, wcale nie — zapewnił. — Postanowiłem to zrobić, a jeśli mi pan nie pomoże, nie sądzę, żeby kiedykolwiek się udało.

— Ale są setki innych pisarzy.

— Być może, być może. Ale jakoś się na nich nigdy nie natknąłem.

Poczułem nagle potrzebę bezwzględnej szczerości.

— Ależ to kompletny nonsens! Czy rozumie pan, że to dla mnie życiowa szansa?

Churchill roześmiał się.

— W końcu nie odrzuca się takiej propozycji — powiedział. — Poza tym wedle pana idealny kandydat do tej pracy mnie może zupełnie nie odpowiadać.

— To bardzo kusząca propozycja.

— Dlaczego zatem jej nie ulec? — Uśmiechnął się.

Nie mogłem znaleźć argumentów przeciwko i uległem, gdy Jenkins ponownie wszedł do pokoju.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Potem zacząłem żyć jak należy i tak przez czterdzieści dziewięć tygodni. Wiem, że było ich dokładnie czterdzieści dziewięć, gdyż odmalowałem pięćdziesiąt dwie „aury” Callana i Churchilla, pozostałych czterdzieści dziewięć i ostatnią, nad którą praca trwała rok. To było na swój sposób zabawne: ludzie zwykle woleli, by ich portrety zostały wykonane w wiejskich domach, jak sadzę po to, by pochwalić się, że je posiadali. Dzięki temu kilka dni w tygodniu spędzałem w ładnych willach, a artyści byli dla mnie bardzo mili – stanowiło to część gry.

Zatem przez rok nieźle sobie żyłem i sprawiało mi to przyjemność, pewnie dlatego, że przez ostatnie kilka lat kiepsko mi się powodziło. Reszta czasu upływała na pomaganiu Foxowi, współpracy z panem Churchillem i adoracji pani Hartly. Kręciłem się po biurze redakcji „Godziny”, mając nadzieję na upolowanie wolnej rubryki, którą mógłbym wykorzystać na subtelne komplementy pod jej adresem. Czasami nie było czasu na subtelności, a wtedy pani Hartly okazywała się naprawdę zadowolona.

Nigdy jej nie zrozumiałem i bardzo wątpię, czy i ona kiedykolwiek rozumiała choć słowo z tego, co mówiłem. Chyba rozmawiałem z nią o jej talencie lub misji – rzeczach oczywiście równie obcych dla niej, co dla zacnego Hartly’ego. Przypuszczam, że nie miała żadnego talentu ani misji z wyjątkiem pragnienia, by być adorowaną. Chodziła po scenie i uwielbiała to, siedziała w mieszkaniu i była uwielbiana. Na tym sprawa się kończyła.

Jeśli zaś chodzi o Foxa, wydawało mi się, że mu się podobam – nie wiem sam, dlaczego. Bez wątplenia znał mnie lepiej niż ja sam. Łapał mnie zwykle, gdy wierciłem się przy biurku, starając się zająć miejsce dla pani Hartly, i wykorzystywał do najgorszych robót. Rozmawiałem w jego imieniu z różnymi osobami, sporządzałem notatki, dręczyłem ludzi telefonami i pisałem artykuły. Oczywiście wiązały się z tym także przywileje.

Nigdy nie rozumiałem Foxa – przynajmniej nie tak, jak rozumiałem panią Hartly. Miał niewiarygodnie wulgarnie maniery i punkt widzenia świni. Ale istniało jeszcze coś, co przysłańało to wszystko i sprawiało, że nazywałem go cudownym człowiekiem. Wszyscy go tak nazywali. Mawiał, że wie, czego chce i że to dostawał, co było prawdą. W najmniejszym stopniu nie chciałem wykonywać drobnych zadań, nawet przez wzgląd na korzyści, jakie się z tym wiązały, nie chciałem się z nim spoufalać. Ale wykonywałem je, nawet nie zdając sobie sprawy, jakie to dla mnie upokarzające. Chyba tak samo było z każdym.

Kiedyś zdawało mi się, że zdołam go zreformować, że pewnego dnia zmuszę go do przekształcenia „Godziny” w azyl dla zasłużonych pisarzy. Czasami pozwalał mi na to – na tyle często, bym nie miał wyrzutów sumienia. Zgodził się, by Lea od czasu do czasu wypełniał półtorej kolumny, a raz obiecał, że pewnego dnia pozwoli mi nakreślić „aurę” Arthura Edwardsa, powieściopisarza.

Sprawy z Churchillem i *Żywotem Cromwella* postępowały powoli. Eksperyment zakończył się sukcesem na tyle, że ja stałem się mniej apodyktyczny, a on mniej zakłopotany. Pod koniec wydawało mi się nawet, że zyskałem status niemal domownika. Przyjeżdżałem z nim zwykle w sobotnie popołudnia i rozmawialiśmy już w pociągu. Dla takiego obiboka jak ja cudownym zdawało się, że dni zawodowego próżniactwa, pełne beczynności, zostały jakby wycięte i ułożone niczym kwadraty dziecinnej układanki, małe fragmenty pracy jakiegoś rodzaju pasujące do zupełnie niepowiązanych fragmentów czegoś innego. On robił to równie dobrze, bez najmniejszego pośpiechu.

Przypuszczam, że faktycznie siłą napędową była jego ciotka. Ludzie, którzy go znali, tego nie dostrzegali, może poza kilkoma mało istotnymi sprawami, chociaż tak powszechnie mówiono.

Pracowaliśmy w wysokim, ciemnym, przyjemnym pokoju z książkami i widokiem na łąkę, która zawsze stanowiła azyl dla zbłąkanych drozdów. Panna Churchill z reguły siedziała na wpół nieobecna przy oknie, a światło padało na jej ramię. Zawsze była bardzo pochłonięta dokumentami, wydawało się, że spędza pracowite dni na odpowiadaniu na listy i układaniu raportów. Od czasu do czasu zwracała się do swojego siostrzeńca z pytaniem, czasami przyjmowała gości, którzy przychodzili

nieoficjalnie, ale nie można było im odmówić wstępu. Kiedyś pojawiła się osoba niemal z królewskiego roku, ksiązę de Mersch, mój renomowany pracodawca.

Ten ostatni, jak pamiętam, został zapowiedziany, kiedy Churchill i ja w końcu doszliśmy do ostatecznego wyjaśnienia okropnej śmierci Protektora. W tym cichym pokoju miałem żywe odczucie ogromnego hałasu burzy w zmerchu ukoronowanego miłosierdzia. Wydawało mi się, że świece migoczą w wirach powietrza wtłoczonych w ponury pokój. Wielkie łóżko i niepozorna postać, która walczyła w cieniu zasłon. Pani Churchill podniosła wzrok znad kartki.

— Edwardzie — oznajmiła — przyszedł ksiązę de Mersch.

Churchill podniósł się z irytacją ze swego niskiego fotela.

— Do diabła — powiedział. — Nie przyjmę go.

— Obawiam się, że nic na to nie poradzisz — zauważyła przytomnie ciotka. — Będziesz musiał załatwić to prędzej czy później.

Wiem doskonale, co musieli uregulować – sprawę Grenlandii, która tak długo wisiała w powietrzu. Dzięki Foxowi miałem o tym mgliste pojęcie. Pan Gurnard popierał ją ze względów finansowych, ksiązę aż się palił, a Churchill, nie wiadomo dlaczego, wahał się. Nigdy nie miałem zbyt wiele do powiedzenia na ten temat, ale ludzie komentowali powody gorliwości de Merscha. Były to raczej mało szlachetne, niewiarygodne wręcz przyczyny, które brzmiały zbyt nierozsądnie, aby mogły być prawdziwe. Pragnął pieniędzy dla swej kolei, bardzo pragnął. Brakowało mu ich, więc pełnił różne role w towarzystwach międzynarodowych i filantropijnych, maczał palce we wszystkim.

Powstało towarzystwo Z Kablem Dookoła Świata, które jednoczyło serca i portfele, Paneuropejska Firma Kolejowa do Spraw Eksploracji i Cywilizacji, która niosła światło w ciemne zakątki ziemi, oraz Międzynarodowe Towarzystwo Budowy Domów dla Ubogich, a także wiele innych. Gdzieś na samym dole tych pozornie bezdennych spraw ksiązę de Mersch miał się poruszać, a w „Godzinie” okresowo pojawiały się przychylnie wzmianki o tych wzniosłych filantropijnych celach i perspektywy zarobkowania dywidend. Nic poza tym nie wiedziałem. Ci sami ludzie – spotkani w palarniach – mówili, że kolej Transgrenlandzka była ostatnią kartą przetargową de Merscha. Brytyjczy inwestorzy nie

ufaliby księciu bez gwarancji ze strony rządu brytyjskiego, a żaden inwestor nie zaufałby mu na żadnych warunkach. Anglia miała zagwarantować coś innego – prowizje na kilka lat, jak sądzę. Oczywiście im nie wierzyłem – rozum podpowiada, by w takie rzeczy nie wierzyć. Ale zrozumiałem, że ten wieczór okaże się punktem krytycznym, pan Gurnard i książę de Mersch oraz Churchill mieli coś omówić, a ja byłem pośrednio zainteresowany, ponieważ pracowałem w „Godzinie”.

Churchill nadal krążył po pokoju.

– Gurnard zostanie na kolacji – oznajmiła jego ciotka.

– Och, rozumiem. – Jego dłonie bawiły się monetami w kieszeniach spodni. – No cóż... – zaczął ponownie – ...oni...

Ta sprawa wywarła na mnie duże wrażenie. Bardzo dobrze pamiętam zachowanie zarówno bratanka, jak i ciotki. Zdawało się, że nagle zostali wezwani do podjęcia decyzji, która nie była łatwa, dlatego chcieli ją odłożyć w bliżej nieokreśloną przyszłość.

Ciotka wyszła, zostawiając Churchilla nerwowo chodzącego po pokoju.

– Jeśli pan chce, mogę zająć się czymś innym – powiedziałem.

– Ależ nie, wcale nie chcę – zaprzeczył energicznie – Wolalbym nie widzieć tego człowieka. Wie pan, jaki on jest.

– Nie, nie wiem – odpowiedziałem. – Nigdy nie studiowałem „Almanachu de Gotha”.

– Och, zapomniałem – powiedział. Wydawał się zły na siebie.

Kolacje Churchilla często mnie irytowały. Postacie o ogromnych wpływach po prostu wpadały i pokazywały się z takiej strony, że jawiły się jako nedorzeczne. W najlepszym razie towarzystwo siedziało mętnie naprzeciwko mnie, znikając, gdy zdążyli mnie już zawstydzić. Czasami patrzyli mi w oczy. Tej nocy było ich dwóch.

Gurnard, o którym słyszałem. Nie można nie słyszeć o ministrze skarbu. Oficjalne informacje mówiły, że był synem Williama Gurnarda z Grimsby, ale pamiętam, że kiedyś w moim klubie mężczyzna, który twierdził, że wszystko wie, zapewnił mnie, że W. Gurnard, (którego opisał jako sprzedawcę ryb) był jego przybranym ojcem. Jego gwałtowny wzrost pozycji społecznej wydawał mi się niewytłumaczalny, aż ten sam człowiek odpowiedział na to wzruszeniem ramion: „Gdy osoba z taką

umiejętnością nie wierzy w nic i nie trzyma się niczego, nie wiadomo, jak daleko może się posunąć. Uciał szczeble każdej drabiny. Nie chce zejść”.

To niewątpliwie wyjaśniało wiele, ale nie wszystko w jego wspaniałej karierze. Zwolennicy nazywali go natchnionym mężem stanu, wrogowie uznawali za zwykłego polityka. Był czterdziestopięcioletnim mężczyzną, chudym, łysawym, z lodowatą pewnością siebie. Zdawał się obojętny na groźby i krytykę, ale bezlitośnie miażdżył każdego, kto zagrażał jego pozycji. Działał sam i trochę tajemniczo, jego własna partia bała się go.

Gurnarda oddzielała ode mnie zastawa stołowa, a książę de Mersch promieniał i rozmawiał wylewnie, jakby przez lata był pozbawiony ludzkiego towarzystwa. Skóra mu się świeciła. Miał wspaniałą brodę, dzięki której ledwo można było dostrzec jego bardzo małą, rumianą twarz, łagodzącą wrażenie, jakie wywoływało niemal nieistniejące czoło i straszliwe zmarszczki wokół oczu. Mówił doskonale po angielsku, chociaż powoli, jakby zawsze odpowiadał na wznoszone dla zdrowia toasty. Uderzyło mnie, że wydawał się traktować Churchilla gorzej, podczas gdy w stosunku do niewidzialnego Gurnarda zachował postawę nerwowej pewności siebie. Najwyraźniej przybył, by rozwodzić się nad *Systeme de Groënlandais*, co właśnie realizował. Niektóre osoby błędnie insynuowały, że *Systeme* było ni mniej, ni więcej jak zbiorowym wyzyskiem nieszczęsnych Eskimosów. De Mersch stanowczo zapewniał, że się mylą. Eskimosi nie byli nieszczęśliwi. Zająłem się z uwagą kolacją i pozwoliłem, by dyskurs o sprawach Protektoratu Hiperborejskiego przerodził się w bezmyślny pomruk. Staralem się być zwykłym sekretarzem podczas uczy.

Nagle jednak uderzyło mnie, że de Mersch mówił do mnie, że nawet podnosił nieco głos. Kreślił wizje ogromnego międzynarodowego znaczenia projektowanej Kolei Transgrenlandzkiej. Jej znaczenie dla brytyjskiego handlu było niepodważalne, nawet opozycja nie miała żadnych poważnych obiekcji. Udzielenie przez rząd brytyjski gwarancji finansowej wydawało się oczywistością. Nie zwracał nawet uwagi na moralny aspekt dzieła – to było niepotrzebne. Postęp, poprawa, cywilizacja, trochę mniej zła na świecie – więcej światła! Naszym obowiązkiem było nie liczyć kosztów humanizowania niższej rasy. Poza tym rzecz opłacała się nie mniej niż Kanał Sueski. Stacja końcowa i

brytyjskie porty węglowe znajdowałyby się na zachodnim wybrzeżu wyspy.

Wiedziałem, że ten człowiek mówi do mnie i zastanawiałem się, dlaczego. Nagle obrócił ku mnie swoją błyszczącą twarz.

— Wydaje mi się, że spotkałem jakąś pana krewną — powiedział.

Uświadomiłem sobie, że byłem dziennikarzem, człowiekiem zainteresowanym kolejami, który życzyłby sobie, aby rząd w jakiś sposób się wycofał. Jego próby agitacji wcale mnie nie zaskoczyły. Wymamrotałem jedynie:

— Naprawdę?

— W Paryżu. To była pani Granger z Etchingham — wyjaśnił.

— Ach, tak.

Panna Churchill przybyła na ratunek.

— Książę de Mersch ma na myśli naszą przyjaciółkę, pana ciotkę — wytłumaczyła.

Odniosłem bardzo nieprzyjemne wrażenie. Poprzez zwinięte liście paproci zauważyłem, że oczy Gurnarda utkwily we mnie, jakby coś przyciągnęło jego uwagę. Odpowiedziałem spojrzeniem, starając się przeniknąć jego twarz. Nie było nic charakterystycznego w tym na poły skrytym, bladym owalu; nic, co by służyło mi za odpowiedź. Lecz jego twarz sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie ujrzała światła dziennego, nie znała słońca. Byłem przekonany, że przykułem jego uwagę. Co ten człowiek mógł o mnie wiedzieć? Wydawało mi się, że jego spojrzenie przeniknęło przez tęczówkę oczu w tył czaszki. Uczucie było niemal fizyczne, jakby zwrócono na mnie niewiarygodnie skupiony reflektor. Potem powieki opadły na metalowe pierścienie źrenic. Panna Churchill nadal wyjaśniała.

— W Faubourg Saint Germain założyła coś w rodzaju *Salon des Causes Perdues*² — wliczała dziwactwa mojej ciotki.

Książę roześmiał się.

— Ach, tak — powiedział — cóż to za menażeria. Karlista, orleaniści i czarni papiści. Ciekawe, że nie zorganizowała bazaru na rzecz waszej Ligii Białej Róży.

— Ach, tak — powtórzyłem. — Słyszałem, że oszalała na punkcie prawa monarchów do tronu.

Panna Churchill wstała, jak to kobiety pod koniec kolacji. Wyszedłem za nią z pokoju, posłuszny ledwie dostrzegalnemu sygnałowi, który mi dała. Byliśmy w najlepszej komitywie. Traktowała mnie po macierzyńsku, jak każdego, kto nie wzbudzał jej pogardy lub nie przekroczył pewnego wieku. Bardzo ją lubiłem – władczą, zaabsorbowaną wszystkim brązową damę. Kiedy szła po schodach, przepraszając za fatygę, powiedziała:

– Mają sprawy do omówienia.

– No tak – odpowiedziałem. – Przypuszczam, że kwestia kolei musi zostać rozstrzygnięta.

Spojrzała na mnie uważnie.

– O tym nie wolno panu z nikim rozmawiać – ostrzegła.

– Och – odpowiedziałem. – Nie jestem niedyskretny, to znaczy na ogół...

Pozostali trzej nieco się spóźnili, tworząc ostatecznie własną klikę. Wyczuwałem ich obecność, opierając głowę na blacie stołu. W międzyczasie do pokoju wkroczyła pewna dama z politycznym zacięciem, przyprowadzając ze sobą dwie dobrze wytresowane blond córeczki. Tego typu ludzie nieustannie zjawiali się i wychodzili. Było to coś na kształt społecznej działalności panny Churchill. Chodziło o organizację wyborczych mitingów i tego typu sprawy. Blondynki były niedobitkami lat sześćdziesiątych – typem dziewcząt, które beznamytnie ogląda się w albumach. Eskortowałem je przez tom widokówek ze Szwajcarii, podczas gdy kobieta rozmawiała z panną Churchill.

– Myślisz, że to wystarczy, jeśli mamy... – Nagle drzwi otworzyły się za moimi plecami. Rozejrzałem się niedbale i pośpiesznie powróciłem do rozważań nad lśniącą fotografią Dent du Midi. Bardzo zgrabna postać dziewczyny obejmowała ponurą pannę Churchill, tak jak wita się starego weterana.

– Ach, moja droga panno Churchill! – Rozległ się flegmatyczny głos w dużym pokoju. – Niemal wyjechałyśmy do Paryża, nie odwiedzając pani ani razu. Zostaniemy tylko dwa dni, by wziąć udział w Balu Dzierżawców, a moja ciotka... Ależ to Arthur...

Odwrociłem się ochoczo. To była dziewczyna od Czwartowymiarowców. Kontynuowała rozmowę z panną Churchill.

— Spotykamy się tak rzadko, a nigdy nie rozstajemy w zgodzie —
oznajmiła swobodnie. — Zapewniam panią, że żyjemy jak pies z kotem.

Podeszła do mnie, a blond dziewczęta zniknęły. Wszyscy i wszystko zniknęło. Nie widziałem jej od prawie roku. Od panny Churchill słyszałem, że uważano ją za moją siostrę, a dzięki bogactwu odziedziczonemu po na wpół mitycznym australijskim wuju ożywiła chwałę domu ciotki. Nigdy temu nie zaprzeczyłem, ponieważ nie chciałem ingerować w próby odzyskania części pozycji rodziny czynione przez ciotkę. Żywiłem dla niej w pewnym stopniu współczucie, bo przecież była moją krewną.

We wspomnieniach pseudo-siostra jawiła się jako istota jasna, wyraźna i raczej drobna. Teraz bił od niej blask tak wielki, że trudno było patrzeć. Podeszła do mnie, uśmiechnięta i promienna, jak statek poruszający się pod wieżami lśniącego płótna. Byłem po prostu przytłoczony. Nie wiem, co powiedziała, co sam powiedziałem, co zrobiła ona lub zrobiłem ja. Wydaje mi się, że rozmawialiśmy przez kilka minut. Pamiętam, że w pewnym momencie oznajmiła:

— Odejdź teraz. Chcę porozmawiać z panem Gurnardem.

W gruncie rzeczy to Gurnard do niej przyszedł. Powitała go nonszalancko, tak jak w obecności obcych kobieta wita mężczyznę, którego zna. Nienawidziłem go, uważając, że jest typem człowieka, którego znać nie powinna.

— Załatwione? — zapytała go, gdy się do nas zbliżył. Popatrzył na mnie pytająco bezczelnym wzrokiem.

— Mój brat — przedstawiła.

A on odpowiedział, kiedy już odchodziłem:

— No tak.

Nienawidziłem tego człowieka i nie mogłem oderwać oczu zarówno od niego, jak i od niej. Podeszedłem i stanąłem przy kominku. Książę de Mersch dopadł ich, co przyjąłem z radością, dopóki nie zobaczyłem, że on również jest z nią w bliskich stosunkach. Co prawda wysławiał się pompatycznie, ale jego ton irytował mnie nie mniej niż nonszalanca Gurnarda.

Stałem tam i patrzyłem na nich gniewnie. Zauważyłem jej nieziemskie piękno oraz prawie niebezpieczne opanowanie, podczas gdy stała, rozmawiając z tymi dwoma mężczyznami. Nie pozostało mi nic prócz wzroku. Straciłem rozum i zdolność myślenia. Widziałem, jak trzy postacie przybierają w trakcie tej konwersacji odmienne pozy – ona była bardzo ożywiona, de Mersch groteskowo *empresse*³, Gurnard zaś dziwnie zaszępioty. Odstęczał mnie dokładnie w ten sposób, jak czynią to ludzie rażąco wulgarni, ale on był inny. Było w nim coś takiego... Nigdy nie potrafiłem zapamiętać jego twarzy, podobnie jak i jej. Zastanawiałem się, jak Churchill może pracować z takim człowiekiem, jak mógł się zmusić do tego, by przebywać w jednym pokoju z nim i z głupcem pokroju de Merscha. Ja bym się obawiał.

Jeśli chodzi o de Merscha stojącego między parą erudyków, wyglądał na wiejskiego prostaka. Uderzyło mnie, że pozwoliła mi zobaczyć, iż ona i Gurnard są w zмовie, objawiając mi to w rzucanych spojrzeniach, gdy książkę miał szkliste oczy zwrócone gdzie indziej. Zauważyłem, że Churchill zbliżyła się do nich z niechęcią, wciągnięty niczym słomka w stronę wiru. Odwróciłem się w furii zazdrości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miałem kiepską noc i nie czułem się w nastroju na poranne spotkanie z Foxem. Jej widok przyćmił wszystko, wspomnienie o niej odurzało mnie, sprawiło, że przestałem myśleć o świecie – to znaczy o tej części, która stała się moim światem. Pragnąłem do niej pójść, lecz nie widziałem żadnej drogi. Pokój, w którym siedział Fox, wydawał się usytuowany beznadziejnie na uboczu – beznadziejnie na uboczu i z dala od wszystkiego, niczym koniec ślepej uliczki. Pewnego dnia pewnie zajmę taki pokój i zasiądę w nim w samej koszuli jak Fox. Ale to nie był koniec mojej kariery – nie koniec, którego pragnąłem. Wyprowadziła mnie z równowagi.

– Właśnie minął się pan z Polehamptonem – powiedział Fox. – Chciał dostać pańskie „aury”.

– Do diabła z Polehamptonem! – zawołałem. – I do stu tysięcy diabłów z jego aurami.

– Chętnie bym go tam posłał – zgodził się Fox – ale powiedziałem panu P., że byłby pan skłonny...

– Nie chcę o tym słyszeć – powtórzyłem. – Mówię przecież, że mam już tego wszystkiego po dziurki w nosie.

– Potrzebna panu jakaś odmiana – stwierdził ze współczuciem. – Wiedziałem, że tak będzie.

Uderzyło mnie, że osoba taka jak Fox w ogóle o mnie myślała.

– Och, dam sobie jakoś radę – zapewniłem. – Kto następny?

– Musimy mieć teraz księcia de Mersch. De Mersch jako założyciel państwa – opisany tak dokładnie, jak tylko pan zdoła, na całej stronie. Nadeszła odpowiednia chwila i musimy z niej wycisnąć, ile się da. Dobrze to rozplanowałem, rozumie pan...

Zaczął wyjaśniać w mętny sposób. Nadszedł czas na energiczne bombardowanie de Merschem – atak na całej linii. I to ja miałem rozpocząć kampanię. Fox był dla mnie dobry i miałem się zrewanżować. Słuchałem z apatyczną obojętnością.

– Och, bardzo dobrze – powiedziałem.

Podświadomie zdawałem sobie sprawę, że dla mnie najważniejsze w tej sytuacji było ogłoszenie, iż de Mersch ma być w Paryżu. Gdyby znajdował się we własnym wielkim księstwie, nie pojechałbym za nim. Przez chwilę sądziłem, że wywiad ma się odbyć w Londynie. Ale Fox – przynajmniej na pozór – nie był świadomy wizyty de Merscha. Mówił, że przebywa w Paryżu – w mieszkaniu, w którym przyjmował europejskich finansistów zajmujących tak wiele jego czasu.

Zdałem sobie sprawę, że chcę jechać do Paryża, ponieważ ona tam jest. Wczoraj powiedziała, że jedzie do Paryża. Nagle ta perspektywa zdała mi się przyjemna, co przeważało szalę.

Fox nie spuszczał oczu z mojej twarzy.

– Dobrze to panu zrobi, no nie? – Usiłował odgadnąć moje myśli. – Taki wyjazd. Właśnie sobie pomyślałem, że ten pomysł się panu spodoba. Poza tym Polehampton przejął „Dwumiesięcznik” i chce zdobyć świeżą krew, rozumie pan? Coś od pana weźmie. Rozmawiałem z nim – krótka seria... „Aspekty”. Coś w tym stylu.

Próbowałem wykrzesać z siebie nieco więcej entuzjazmu. Wiedziałem, że Fox chwalił mnie przed Polehamptonem, przygotowywał grunt.

– Niech pan się zobaczy z panem P. – polecił raz jeszcze. – Wszystko już załatwione. A potem proszę jechać jak najszybciej do Paryża i po prostu dobrze się bawić.

– Czy ostatnio byłem bardzo roztargniony? – zapytałem.

– Od jakiegoś tygodnia jest pan nieobecny, jakby z innego świata, ale sądziłem, że nie potrwa to dłużej niż tydzień.

Wziął dużą butelkę białego kleju. Uznałem to za znak, że jestem wolny. Czulem się wzruszony jego troską o me zdrowie. Zawsze mnie to wzruszało, dlatego schodząc po schodach z terakoty, uważałem się za nadzwyczaj wyrozumiałego. Mimo całej jego szczerości, koszuli z podwiniętymi rękawami, co wydawało mi się niemal szatańskim pomysłem, czy akcesoriami z epoki Ludwika, przejawiałem ciepłe uczucia dla tego małego człowieka.

Pośpieszyłem, aby zobaczyć Polehamptona, zastać go w czymś na kształt jaskini, w której znajdowało się kilka półek z książkami wybranymi dla złoconych okładek. Sprawiały wrażenie, jakby pan Polehampton chciał zasugerować swoim gościom, że powinni uczynić to samo. Sądzę,

że w rzeczywistości odczuwał estetyczną rozkosz na widok złoceń. Nie był wydawcą z powołania. Wdał się w handel i odniósł sukces, ale choć przejawiał pozorne zrozumienie dla tego biznesu, zachował wielki podziw dla książki jako takiej. W młodości stawiał takie błyskotki na stole w salonie. Podobny podziw żywił dla swojej córki, która urodziła się już po jego wkroczeniu w świat handlu i przejawiała literackie zainteresowania – tak wielkie, że siłą wciągał ją do każdej rozmowy z nami, którzy dostarczaliśmy mu surowca, zapewne po to, żeby nas zastraszyć. Dla dobra tej młodej damy kupił „Dwumiesięcznik” – jeden z wpływowych organów politycznych. Miał, jak mówili, nadzieję, że dzięki temu partia zagwarantuje mu miejsce w parlamencie.

Charakter mojej serii artykułów zupełnie się nie liczył. Miałem oddać aurę kilku miast, podobnie jak w przypadku różnych osób. Zdawało się, że to dobrze płatna robota, a panna Polehampton wstawiła się za mną.

– Moja córka lubi pana... hm... podejście... i... hm...

Jego warunki były przyzwoite i zaoferował je z rozmachem, który wskazywał na szczególną życzliwość, przypominając jednocześnie o wcześniejszych stu funtach. Nie miałem pojęcia, jak się zachować, dopóki nie zaczął od paru wskazówek. Liczyło się, że znałem Foxa, Churchilla i księcia de Mersch oraz „Godzinę”.

– A te finansowe artykuły w „Godzinie”... czy były? Gdyby... to była kolej Transgrenlandzka... Myślę, że byłaby warta choć trochę...

I tak dalej.

Nigdy nie wiedziałem, jak zachować się w takich sytuacjach. Powinienem był udawać całkowitą ignorancję, ale oczy mężczyzny błagały, wydawało się, że to dla niego sprawa o ogromnym znaczeniu. Spróbowałem niezobowiązującej odpowiedzi:

– Oczywiście, że nie mam prawa.

Miałem jednak mgliste, naiwne poczucie, że lojalność wobec Churchilla wymagała, aby poprzeć człowieka, którego on popierał. W rzeczywistości nie otrzymałem konkretnych wiadomości. Chodziło o akcje w jednym z przedsiębiorstw de Merscha. Polehampton zamierzał skupić je za bezcen, a gdy rozpocznie się *boom* de Merscha, miała podskoczyć w górę – coś w tym rodzaju. *Boom* zaś zacznie się, gdy tylko wiadomość o umowie linii kolejowej wyruszy za granicę.

Pozwoliłem mu wyciągnąć to ze mnie w taki sposób, że na myśl o tym pustym pokoju ze złożonymi książkami, trzema niewygodnymi biurowymi krzesłami i szklanymi oknami, przez które można odczytać odwrócone litery napisu „Polehampton”, z całą jego ponurą atmosferą, sztywnymi liniami i bladym światłem, czułem zmieszanie. Polehampton zaś był niezmiernie wdzięczny i zaprosił mnie na kolację, podczas której towarzyszyć nam miała jego upiorna córka, pragnąca zawrzeć ze mną znajomość. To było jak zaproszenie na oficjalny bankiet wydany przez pałacowego dygnitarza. Dla towarzystwa zaproszono też Leiego. Panna Polehampton nie lubiła krytyka, ale trzeba go było zapraszać raz do roku, żeby – jak mi się zdaje – podtrzymać dobre stosunki. Rozmowa dotyczyła właśnie tego. Zapytałem, czy dziś wypada dzień, w którym Leę zastać można w biurze. Okazało się, że nie. Próbowałem powiedzieć o nim kilka pochlebnych słów, lecz nie odniosło to pożądanego skutku. Polehamptona zbytnio ukłuły kolce wbijane przez swego pomocnika, by reagować na pochwały pod jego adresem.

Wybiegłem stamtąd w pośpiechu. Chciałem uniknąć sytuacji, w której musiałbym przyznać się do własnej bezradności. To nie była trudna sprawa. W klubie dziennikarzy politycznych – ogromnym mauzoleum białych cegieł – miałem swój pokój. Służący spieszenie pakował walizkę. Na dworcu jeden z tych zbiegów okoliczności, które wcale nie są zbiegami okoliczności, sprawił, że zetknąłem się z wielkim Callanem. Zdawał się nieszczęśliwy – okazało się, że roztargniony tragarz nie chciał słuchać końca jednego z tych zdań, które zawierają dwuminutowe przerwy między każdym słowem. Rozpogodził się jednak na mój widok – był zachwycony, że znalazł towarzysza podróży, który docenia jego wielkość. W wagonie kolejowym, pozbawiony kłopotliwego bagażu, który wywoływał niepokój na jego małej twarzy, gdyż nie pozwalał swobodnie się poruszać, napęczniał do swego stałego rozmiaru.

– Więc wybierasz się do Paryża w związku z „Godziną”? – zagaił.

– Właśnie tak – odparłem.

– Ach! – ciągnął. – Zatem przeprowadzisz wywiad z Wielkim Księciem.

– Nazywamy go księciem de Mersch – przerwałem nietaktownie. To kwestia niuansów. Wielki Książę był filantropem i założycielem państwa,

a książkę de Mersch jest potentatem finansowym.

— ...Holstein-Launewitz — zignorował mnie Callan. Końcem języka smakował tytuł niczym ostatnie krople jakiegoś cennego rocznika wina. — Mogłem oszczędzić ci kłopotu. Sam się z nim zobaczę.

— Ty? — Pochyliłem się. Uderzyło mnie na zasadzie fenomenu oraz absurdu, że każdy, kogo spotkałem, jest w jakiś sposób powiązany z tym filantropem. Zupełnie jakby rybak ciągnął linkę przynęty setkami haczyków. Callan poczuł się urażony.

— On, a raczej pewna grupka osób zainteresowanych działalnością filantropijną, poprosiła mnie o wyjazd na Grenlandię.

— Chcą się ciebie pozbyć? — spytałem niegrzecznie, lecz zostałem przywołany do pionu.

— Mój drogi — Callan użył swego najbardziej dosadnego i zarazem najbardziej triumfującego tonu — sędzę, że się mylisz. Zostałem poinformowany, iż *Système Groënlandais* jest jednym z najzdrowszych miejsc w regionach polarnych. Pewne zainteresowane osoby chciałyby...

— Tak właśnie słyszałem — przerwałem — ale mogę cię zapewnić, że do mych uszu dotarły jedynie same pochwały o systemie oraz jego filantropach. Nie miałem na myśli nic złego. Jestem tylko zdumiony, że wybierasz się do takiego miejsca.

— Zostałem poproszony o podjęcie się misji — wyjaśnił z powagą — aby ustalić, o co naprawdę chodzi z tym systemem. To nowy kraj, który, zapewniam, ma przed sobą wielką przyszłość. Znaczną część brytyjskich funduszy zainwestowano w jej papiery wartościowe, zatem oczywiste, że sprawa budzi duże zainteresowanie.

— Na to wygląda — zgodziłem się. — Zdaje mi się, że słyszę o tym od rana do wieczora.

— Ach, tak — Callan nadal rozplątywał się w peanach — ma wielką przyszłość, wspaniałą przyszłość. Książę jest prawdziwym filantropem. Podjął niesamowity trud, niesamowity trud! Pragnął zbudować modelowy stan, wzorowy protektorat świata, miejsce, w którym doskonała równość złączy wszystkie rasy, wszystkie wyznania i wszystkie kolory. Niemal trudno uwierzyć, jak starał się, by zapewnić szczęście rodzimym rasom. Założył wielkie stowarzyszenie, by chronić Eskimosów, Towarzystwo Regeneracji Regionów Arktycznych - TRRA - jak to nazwałeś, a teraz

czeka tylko na zrealizowanie swojego największego projektu – kolei Transgerlandzkiej. Kiedy to się stanie, przekaze *Systeme* własnym ludziom. Oto wielki człowiek.

– Oczywiście – zgodziłem się.

– Cóż. – Callan znów zaczął, ale nagle znieruchomiał. – À propos, ta wiadomość nie może się rozejść – powiedział z niepokojem – dam ci pełne informacje, kiedy nadejdzie czas.

– Mój drogi Callanie, potrafię utrzymać język za zębami – zapewniłem.

Nagle zmienił temat.

– Nie chcę, żebyś wierzył mi na słowo – jeszcze wszystkiego nie widziałem, lecz jestem przekonany. Najwybitniejsze osobistości przychylnie wypowiadały się o tej sprawie. Znany podróżnik, Aston, mówił o niej ze łzami w oczach. Był pierwszym gubernatorem generalnym. Na pewno by się tym nie zainteresował, gdyby nie czuł się przekonany. Ponieważ uważam, że to jeden z najwspanialszych zabytków tego wielkiego stulecia, uświetnię go własnym piórem.

– Rozumiem – zapewniłem go, a następnie dodałem z troską. – Mam nadzieję, że nie oczekują, że zrobisz to za darmo.

– Ależ, mój drogi, jasne, że nie.

– No cóż, zatem życzę ci szczęścia. Nie mogliby pozyskać lepszego człowieka, aby obudzić sumienie z narodu. Przypuszczam, że do tego dojdzie.

Callan skinął głową.

– Wierzę, że mam posłuch w społeczeństwie – powiedział, zdając się czerpać satysfakcję z tej myśli.

Pociąg wjechał do portu Folkestone. Zapach morza i lekkie kołysanie statków sprawiły, że poczułem się podniesiony na duchu, wciąż jednak byłem nieco przygnębiony. Callan był trudnym towarzyszem. Jego widok wzbudzał irytację. Nagle przemówił słabym głosem:

– Zatrzymasz się w Grandzie? – zapytał, kiedy minęliśmy St. Denis.

– Mój Boże, nie – zapewniłem pospiesznie. – Na drugim brzegu rzeki.

– Ach – wymruczał – Quartier Latin. Chciałbym móc z tobą pojechać, ale mam reputację, o którą muszę dbać. Byłbyś zaskoczony, jak

szybko ludzie dowiadują się o wszystkich moich ruchach. Poza tym jestem człowiekiem rodzinnym.

Milczałem poruszony. Pociąg popłynął w blasku świateł elektrycznych, dopiero w dorożce złapałem oddech. Podczas przejażdżki po nocnym mieście wydawało mi się, że oto znajduję się u wejścia do nowego życia, raju. W Londynie jest się zawsze w drodze, zaś w Paryżu jest się u celu. Tłumy na chodnikach, pod platanami, w mrocznych cieniach, jasnym blasku otwartych przestrzeni zabijają czas wolny – nigdzie nie idą, niczego nie szukają.

Przejechaliśmy przez rzekę, nieruchome wieże katedry Notre Dame ledwie jaśniały na tle ciemnego nieba za nami. Dorożka znalazła się w świetle wylaniającego się bulwaru na mrocznej uliczce, zatrzymując przed dobrze znanymi, zamkniętymi drzwiami. Wiadomo, jak budzi się zaspaną konsjerżkę, która bierze świecę, wspina się po setkach gładkich stopni, podążając za człapiącymi krokami przewodnika przez cienie Rembrandta i jak ostatni sen osładza te drobne niedogodności dziwnego, pustego pokoju z twardym łóżkiem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przed południem dnia następnego wspinałem się po schodach nowego domu, w którym książę miał swą pustelnię. Krzykliwy splendor wyłożonych dywanem schodów, które prowadziły do jego mieszkania, roztaczał atmosferę tajemnicy. Nawet na tętniącym życiem bulwarze włoskim zapadła cisza. Panował tu nadzwyczajny spokój, zdawało się człowiekowi, jakby ogłuchł od wrzawy.

Pojawił się ślad niesamowitej ciszy – ciszy prywatnego detektywa, który w towarzystwie służącego wprowadził mnie do pokoju. Był angielskim służącym ze sztuk teatralnych wedle wyobrażeń obcokrajowców. Pokój odznaczał się splendorem. Nie tanim wulgarnym splendorem, lecz wulgarnością najbardziej luksusowych pluszów i purpury. Powietrze było ciężkie, przesycone zapachem egzotycznych kwiatów, zaś okna przyciemnione zasłonami, które przywodziły na myśl aksamitne tła niektórych starych portretów. Książę de Mersch zabrał ze sobą do pustelni styl Nowego Pałacu, który wprawiał w oszołomienie hordy turystów.

Zaraz przypomniałem sobie, że de Mersch był filantropem, że może mieć szlachetne serce, lecz pozostawać obojętnym na kwestie estetyczne. Pewnie tak. Ja sam byłem wrażliwy na tego rodzaju rzeczy i czułem się przygnębiony myślą, że tak wiele królewskiej doskonałości tak bardzo zaciążyło na sztuce użytkowej. Odwróciłem się w stronę okna i spojrzałem na bielące się fronty domów po drugiej stronie ulicy.

Drzwi za mną musiały się otworzyć, słyszałem bowiem odgłos kończącej tyrady wygłaszanej podniesionym tonem.

— *Et quant à un duc de farce, je ne m'en fiche pas mal, moi*⁴— odezwał się ktoś z akcentem łączącym w sobie zagraniczną francuszczyznę i *coulisse*⁵. Męski głos słabo zaprotestował, a potem wypowiedział wyraźnie kłopotliwe dla mnie słowa.

— *Gr-r-rangeur-Eschingan-eh bien-il. Et moi, j'entends, moi aussi. Tu veveux me jourer Centre Elle.La Grangeur-pah! Konsole-toi avec elle, mon*

*vieux. Je ne veux plus de toi. Tu m'as donné de tes sales rentes Groenlandoises, et n'ai pas pu les vendre. Ach, vieux farceur, tu vas voir ce que j'en vais faire*⁶.

Chwalebne stworzenie – naprawdę niezwykle – wyszło z sąsiedniego pokoju. Istota była tak krucha, jak kołysząca się na wietrze ogrodowa lilia. Jej wielkie niebieskie oczy zwróciły się w moją stronę, wargi rozchyliły się, a nozdrza zadrżały.

– *Et quant à vous, M. Grangeur Eschingan* – zaczęła – *je vais vous donner mon idée à moi...*⁷

Z początku nie rozumiałem, o co chodzi, lecz sytuacja była niezręczna. Świat wydawał się stawać na głowie. Nie wiedziałem, co zrobić, ale współczułem osobie w sąsiednim pokoju. Nagle zacząłem mówić:

– Bardzo mi przykro, *madame*, ale nie rozumiem francuskiego.

Jej twarz, jej piękna twarz przybrała wyraz jeszcze intensywniejszej irytacji. Wydaje mi się, że bardzo pragnęła podzielić się ze mną swą *idée à elle*⁸. Wykonała szybki, gwałtowny gest obrzydliwej pogardy i zwróciła się w stronę półotwartych drzwi, którymi weszła. Znowu zaczęła rozwodzić się nad słabościami osoby znajdującej się za nimi, gdy cicho i prędko je zamknęła. Usłyszeliśmy przekręcanie klucza. Z niezwykłą szybkością przyłożyła usta do dziurki od klucza:

– *Peeg, peeg* – powiedziała.

Potem wyprostowała się, jej twarz stała się spokojna, a postawa wyniosła. Przeszła przez pokój, zatrzymała się w połowie, spojrzała na mnie i wskazała na nieruchome drzwi.

– *Peeg, peeg* – wyjaśniła tajemniczo. Myślę, że ostrzegęła mnie przed podstępami osoby stojącej za drzwiami. Spojrzałem w jej wielkie oczy.

– Rozumiem – odparłem z powagą.

Wyślizgnęła się z pokoju. Dla mnie ten incydent miał cechy komediowe. Gdy drzwi pozostawały zamknięte, miałem czas, by się nad tym zastanowić. Tak czy inaczej, książkę stał się dla mnie jeszcze bardziej realny. Uważałem go za dość męczącą osobę, w której pompatyczny filantrop zastępował ludzkie uczucia. Bawiło mnie, że otrzymałem miano *Le Grangeur*, zwłaszcza że spragniony byłem rozrywki. Bez tego mógłbym nigdy nie napisać artykułu o księciu. Od rana czułem zdenerwowanie. Miałem po dziurki w nosie tekstu z „*Godziny*”, dziennikarstwa, wszystkiego. Ale ten drobny incydent podniósł mnie na duchu, skierował

myśli na przyjemniejsze tory. Zacząłem się zastanawiać, czy de Mersch stchórzy czy też przyjmie za dobrą monetę mój brak zrozumienia tyrad kobiety.

Drzwi, przez które ja wszedłem, zaś ona wyszła, otworzyły się. Po owym wieczorze u Churchillów pamiętałem go. W mych wspomnieniach zachował się bardzo stereotypowy obraz. Mówił tak, jak wtedy, gestykulował tak, jak się spodziewałem. Zmusił mnie do weryfikacji poglądów. Z reguły ocenia się człowieka na pierwszym spotkaniu, a następnie modyfikuje opinię i tak dalej. Był wcieleniem uprzejmości, choć należał do wielkich. Miał minę człowieka światowego i obytego, ale brakowało mu wrodzonego opanowania, którego należy się spodziewać po możliwych tego świata. Jawił się jako wiecznie naburmuszony, jakby żałował piedestału, z którego zszedł.

W swojej flegmatycznej handlowej angielszczyźnie przeprosił, że tak długo kazał na siebie czekać. Powiedział, że korzystał z pięknego poranka. Mamrotał słowa, wpatrując się w moją kamizelkę z miną, która niezbyt pasowała do pompatycznej uczciwości, której przydawała mu broda. Natychmiast włożył do lewego oka monokl i spojrzał na mnie jakby wyzywająco.

— Nie ma o czym mówić — przerwałem z uśmiechem. Próbowałem pokazać, że dążę do kompromisu.

— Chce pan przeprowadzić ze mną wywiad — powiedział bez ogródek. — Bardzo mi miło. Przypuszczam, że chodzi o moje plany arktyczne. Zrobię, co mogę, aby udzielić jak najdokładniejszych informacji. Być może pamięta pan, co powiedziałem, gdy miałem przyjemność spotkać się z panem w domu pana Churchilla. To marzenie mojego życia, pozostawić po sobie szczęśliwe i dobrze prosperujące państwo, co zależne jest od prawodawstwa i administracji. Tym właśnie chciałem zjednać sobie Anglików.

Był nudnym gadułą. Przypuszczałem, że filantropi i założyciele państw zachowują najlepsze talenty do wyższych celów. Wyobraziłem sobie niskie, cofnięte czoło i mięsiste dłonie o różowych paznokciach, które należą do nowego Solona, współczesnego Eneasza. Próbowałem wykrzesać w sobie entuzjazm. W końcu praca, którą podjął, była wspaniała. Jednak zwykłem zbyt wiele uwagi przywiązywać do walorów

intelektualnych, a wyglądało na to, że tych właśnie księciu brakowało. Ceniłem go jednak za to, że pozwolił połączyć się talentom w jedną szlachetną ideę.

Dostarczył mi statystyk. Położyli tak wiele mil torów, używali tyłu a tyłu silników wedle brytyjskich projektów. Nauczyli tubylców korzystać z maszyn do szycia i nosić europejskie stroje. Wiele setek angielskich młodzieńców wyruszyło, by zarobić fortuny i przy okazji oświecić Eskimosów. Równie wielu było Francuzów, Niemców, Greków, Rosjan. Wszyscy oni żyli i pracowali w harmonii; szczęśliwi, wolni robotnicy, chronieni przez najbardziej skrupulatnie pomyślane prawa. Ludożerstwo, kult fetyszy, niewolnictwo zostały zniesione, wytepię. Wielkie międzynarodowe społeczeństwo dla zachowania wolności polarnej czuwało nad wszystkimi, proponowało nowe prawa, modyfikowało stare. Klimat był niezdrowy, lecz nie dla ludzi prowadzących czysty tryb życia – *hominibus bonæ voluntatis*⁹. Inni nie byli potrzebni.

— Musiałem ścierpieć wiele fałszywych komentarzy, obelg i wyzwisk — pożalił się książę.

Postać damy tańczyła przed moimi oczami, gibka, sprężysta – posąg obdarzony ruchami węża. Wydawało mi się, że widzę jej wyrzeźbioną białą dłoń, która wskazuje zamknięte drzwi.

— Ach, tak — powiedziałem — ale znamy przecież ludzi, którzy pana atakują.

— Cóż — odpowiedział. — Pana zadaniem jest sprawić, by poznali prawdę. Pański naród jest potężny. Gdyby tylko miał tego świadomość...

— Zrobię, co w mojej mocy — zapewniłem.

Dostrzegłem w tym apoteozę prasy, która sprawia, że założyciel państwa jest zmuszony zwrócić się o pomoc do takiego człowieka, jak ja. Książę miał ton błagającego petenta. Stałem między nim a ludem, sędzią narodów, królami przyszłości. Byłem nikim, ale nagle znalazłem się na równi z jednym z tych, którzy zmieniają oblicze kontynentów. Potrzebował mnie, mocy, która za mną stała. Dziwnie było znajdować się w tym pokoiku sam na sam z tym filantropem; zupełnie tak, jakbym stał naprzeciwko zwyczajnego człowieka.

Musicie zrozumieć, że wcale nie czułem się szczególnie podekscytowany. To nie było dla mnie nic takiego. Miałem się za

przypadkową osobę wybraną przez los. Nawet we własnych oczach byłem jedynie symbolem – widzialnym znakiem niezrozumiałej siły.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecałem.

– Tak, tak, o to właśnie proszę – rzekł. – Pan Churchill powiedział mi, jak umiejętnie potrafi pan załatwiać takie rzeczy.

Skomentowałem, że to bardzo uprzejmie ze strony pana Churchilla. Napięcie w rozmowie zniknęło. Ksiądz zapytał, czy widziałem się już z ciotką.

– Zapomniałem o niej zupełnie – wyznałem.

– Och, musi ją pan odwiedzać. Jest niezwykłą kobietą. Mam do niej wielką słabość. Zapewniam, że znalazła się na językach całego Paryża.

– Nie miałem pojęcia – odparłem.

– Och, proszę o niej nie zapominać. Jest taka zabawna.

– Nie zapomnę – obiecałem, żegnając się.

Poszedłem prosto do domu, do małego pokoiku na poddaszu. Od razu zacząłem pisać artykuł, pracując na wysokich obrotach, prawie histerycznie. Tak dobrze pamiętam to miejsce i ten czas. W chwilach emocji człowiek wpatruje się w przedmioty niezbyt świadome, lecz potem zapamiętuje wszystko.

Wciąż widzę niski pokój, nagie, brązowe, odbarwione ściany, niepasujący do nich marmurowy zegar na kominku, samotne, kołyszące się pod moim ciężarem krzesło. Potrafiłbym chyba narysować wijący się wzór na spłowiałym materiale, który zdobił okrągły stół, przy którym pracowałem. Atrament był gęsty, blady i lepki, pióro plamiło. Bazgrałem wściekle, pragnąc skończyć jak najszybciej. Raz wyszedłem i pochyliłem się nad balkonem, próbując znaleźć brakujące słowo. Pode mną małe dzieci pełzały po brukowanej uliczce, małe wozy trzęsły się, mali robotnicy wpychali do piwnicy małe beczki. Wszystko było bardzo małe i poszarzałe, lecz wyraźne.

Przez otwarte okno przeciwległego poddasza widziałem rzeźbiarza pracującego na kolosalnym glinianym modelu. W białej bluzie wydawał się duży, zupełnie nieproporcjonalny do reszty świata. Na poziomie mego wzroku znajdowały się płaskie dachy i kominy. Na jednym z nich widniały duże, nieregularne, wymalowane niebieską farbą słowa: *A bas Coignet*¹⁰.

Wielkie chmury zaczęły wyłaniać się zza domów, zaokrąglone, zwalające się masy szarości, oświetlone ponurym oranżem na tle bladego błękitu nieba. Stałem i patrzyłem na nie. Przyszedłem tutaj, by pomyśleć, lecz myśli mnie opuściły. Mogłem tylko patrzeć.

Chmury sunęły niepostrzeżenie naprzód, lecz nagle piorun rozerwał je na strzępy. Rozpierzchły się niczym dym i poczerniały. Duże krople deszczu z postrzępionymi krawędziami zaczęły opadać na ołowianą podłogę balkonu.

Wróciłem do zmierzchu pokoju i zacząłem pisać. Wciąż czuję chrobot pióra na grubej kartce. Było to przeszkodą w myśleniu, ale strumień słów lekceważył ją, nabierając impetu jak potok brnący przez tamę.

Pisałem pean na cześć wielkiego kolonizatora. Tego rodzaju sprawy były wtedy w modzie. Zostałem w nie wciągnięty, porwany przez wizję. Być może sam pozwoliłem na to, ponieważ temat był mi całkiem obcy. Nowa rzecz, którą się rozkoszowałem. Popęniłem ten rodzaj emocjonalnego, lirycznego tekstu, który zdaje się bardzo zły przy powtórным czytaniu. Niemal omdlewałem, lecz zignorowałem to.

Burza się skończyła i w powietrzu unosiła się wilgotna, świeża aura, gdy pospieszyłem z moim artykułem do biura „Godziny” na Avenue de l’Opera. Chciałem się go pozbyć, aby uniemożliwić wprowadzanie poprawek następnego dnia.

Pragnąłem poczuć się szczęśliwy. Zasłużyłem na to. W biurze spotkałem zagranicznego korespondenta, małego kosmopolitycznego Żyda, którego brwi zaczynały rosnać na grzbiecie nosa. Był wylewny i spoufalał się ze mną, jak wszyscy przedstawiciele tej nacji.

— Halo, Granger — przywitał mnie. Przywykłem już do myśli, że się stoczyłem, jednak nie miałem o sobie jeszcze tak złego zdania, by rozkoszować się tym rodzajem zażyłości okazywanej przez nieznanego. Starąłem się uprzejmie przywołać go do porządku.

— Czytałem twoje teksty w „Godzinie” — usłyszałem w odpowiedzi. — Powiedziałbym, że całkiem niezłe. Robiło się starego Czerwonobrodego, co? No właśnie. Tak to już jest – autentycznie – jak sam mawiam. Musiałeś zanudzić się na śmierć... To znaczy, chodzi o starego de Merscha. Wiesz, to ja powinienem się tym zająć. Przeprowadzanie wywiadów ze sławami

w Paryżu należy do moich obowiązków. Ale nie mam nic przeciwko. Dobrze zrobiłeś. Wychodzi ci to nawet lepiej niż mnie.

Wymamrotałem podziękowania. W tym eleganckim małym człowieczku było coś wzbudzającego litość. Wydawało się, że stara się usilnie, by traktowano go jak równego.

— Wybierasz się gdzieś dziś wieczór? — zapytał z nagłą wylewnością. Byłem zaskoczony. Człowiek nie jest przyzwyczajony do takich pytań po pięciu minutach znajomości. Powiedziałem, że nie mam żadnych planów.

— Wiesz co — ucieszył się — chodź ze mną na kolację do Bregueta, a potem zajrzemy do opery. Utniemy sobie miłą pogawędkę.

Czułem się zbyt zmęczony, aby wymyślić wiarygodną wymówkę. Poza tym mały człowieczek był podniecony jak dziecko czekające na nową zabawkę. Poszliśmy do Bregueta i zjedliśmy naprawdę doskonałą kolację.

— Przychodź tu zawsze — powiedział. — Spotykają się tu najróżniejsze typy. Drożej wychodzi, ale nie dbam o to, by pracować tanio, zwłaszcza dla „Godziny”. Zawsze możesz być pewien, kiedy powiem, że słyszałem coś od senatora, że faktycznie chodzi o senatora, a nie staruszkę z kiosku. Większość z nich robi takie rzeczy, wiesz.

— Zawsze się nad tym zastanawiałem — rzuciłem ostrożnie.

— Ten, któremu się ukloniłem, to de Sourdam, a tamten stary facet to Pluyvis, no wiesz, ten z „Affaire”. Muszę z nim porozmawiać przez minutę, jeśli pozwolisz.

Zaczął troskliwie dopytywać o zdrowie szanownego Foxa, zapytał, czy często go widuję i tak dalej. Z przyjemnością stwierdziłem, że ten mały człowieczek chce upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Sądził, że mógłbym mu w tym pomóc. Skinał więc głową Sourdamowi z austriackiej ambasady, porozmawiał z Pluyvisem i ucieszył się, że wywarł na mnie wrażenie – widziałem, jaki jest szczęśliwy i zadowolony. Zaproponował, żebyśmy przespacerowali się do kiosku, którego był stałym klientem, gdyż kiosk prowadziła stara, zasuszona Żydówka. Zrozumiałem, że w tej radości chciał sobie nieco pofolgować, poświęcić kilka minut na spacer.

— Nie miałem okazji wyprostować nóg od miesiący — wyjaśnił.

Spacerowaliśmy w ciepłym zmierzchu. Przyjemnie było przechadzać się w tę letnią noc. Istniało tak wiele detali, które przyciągały wzrok, tak wiele drobnych, przyziemnych spraw. Wyraz twarzy przechodniów, krój

kołnierzyka, osobiwie szczupła talia arystokratki, która szła pod ramię ze spoconym małżonkiem. Połączany posąg Joanny d'Arc i arkady Rue de Rivoli przyjemnie odbijały szare światło. Przypomniałem sobie mały grecki sklepik ze sztuczną biżuterią za pięć franków na wystawie sprzed wielu lat. W drzwiach stał ten sam nikczemny stary Lewantyńczyk, być może nawet fez, który nosił, był tym samym fezem. Mała staruszka, którą odwiedziliśmy, stała zgięta niemal w pół. Jej nos dotykał artykułów, gdy ręce w rękawiczkach szukały gazet, o które poprosił korespondent. Polubiłem go jeszcze bardziej za troskę o tego samotnego rozbitka swej nacji.

— Zawsze tu przychodź! — wykrzyknął. — Człowiek ulega nawykom. Poza tym to bardzo uczciwa kobieta, możesz być pewien, że wyda resztę jak trzeba. Jeśli jesteś obcym, nie możesz być pewien, że nie dadzą ci włoskiego srebra.

— No tak, rozumiem — odpowiedziałem.

Wiedziałem, że chciał, bym i ja coś kupił. Wodząc oczami za dłonią staruszki, natrafiłem na „Revue Rouge” i przypomniałem sobie, że jest tam coś na temat Grenlandii. Wziąłem gazetę, zapłaciłem i uczciwie dostałem resztę. Czuję, że sprawiłem temu małemu człowieczkowi przyjemność i było mi z tym dobrze.

— Chcę spojrzeć na artykuł Radeta na temat Grenlandii — powiedziałem.

— Ach, tak — odezwał się ponownie tonem człowieka znającego się na rzeczy. — Radet daje im do wiwatu. Lekkoduch, jak to mówię, ale nie możesz pozwolić, by stary de Mersch wiedział, że go czytasz. Radetowi przejadł się już Cochin, więc wziął się za Grenlandię. Wiesz, Biali próbują go pozyskać. Księżom nie podoba się *Systeme*, dobry ponoć dla protestantów i rządu angielskiego. Dlatego zachęcili Radeta, by o tym napisał. Wziął się za mistycyzm i tego typu rzeczy, jak wszyscy francuscy figlarze. Stowarzyszył się z tymi ludźmi z St. Germain, to chyba jacyś twoi krewni? Zabawna paczka, wszyscy teraz do niej należą, stary de Mersch również. Czasami zdarzają się straszne awantury, no, towarzystwo jest raczej mieszane. — Mały człowieczek przyjaźnie terkotał obok mnie. — Kupowanie książek jest takie dziwne — oznajmił. — Nie czytałem niczego kupionego od wieków.

Dotarliśmy pod koniec pierwszego aktu – chyba była to *Aida*. Mój nowy kolega miał bezpłatną przepustkę do całej opery. Ja nie byłem w niej od lat. W dawnych czasach zawsze oglądałem scenę z ogromnej wysokości, wyciągając szyję nad głowami ludzi w dusznym zmierzchu. Teraz siedziałem wygodnie, mając ją przed oczami. Zawdzięczałem to potędze prasy.

– Chodzę tu tak często, jak tylko mogę – powiedział mój towarzysz. – Nie umiem żyć bez muzyki, nie przepuszczam żadnej okazji.

Rzeczywiście kochał muzykę jak wszyscy przedstawiciele jego narodu. Zdawała się go uspokajać, łagodzić naturę, gdyż siedział cicho. Ale nim zdążyły wybrzmieć końcowe akty finalnej sceny, znalazł się w chłodnym korytarzu, rozmawiając i słuchając każdego, kto zechciał zaszczyścić go jakimś słowem.

– Zdobywam tu mnóstwo informacji – wyjaśnił.

Po zakończeniu pochylił się nad jednym z bocznych balkonów, aby obserwować tłumy płynące po marmurowych schodach. Nigdy mi się to nie znudzi. Jest coś tak ujmująco tandetnego w tych kolorowych marmurach, jak kunszt ozdobnego mydełka o niebiańskim aromacie. Strumień ludzkości leje się płynnie przez lustrzane światło i przestrzeń... Widok fantastyczny, lecz zarazem ironiczny.

Obserwowałem błędne kroki olbrzymiego, pijanego, rozpromienionego Anglika, zastanawiając się, jakim cudem dotoczy się do łóżka.

– To chyba twoja krewna – zauważył korespondent.

Moje spojrzenie podążyło za linią wskazaną przez jego błądzący palec. Dostrzegłem wspaniałą brodę księcia de Mersch. Na jego ramieniu zawisa starsza pani, którą żywo się interesował. Głowie miał przechyloną na bok, uśmiechał się szczerze. Trochę za nimi, na schodach, było wolne miejsce. Być może się myliłem, może wcale nie takie wolne – nie wiem. Dostrzegłem jedynie wyraźną postać kobiety sunącej w dół. Zimną, opanowaną, o osobliwych ruchach. W tym czystym, przezroczystym, mieniącym się świetle widziałem każdą najmniejszą fałdę sukienki, cień białych ramion, barki. Odwróciwszy twarz, napotkała mój wzrok. Tak dobrze pamiętam światło bijące z jej twarzy pozbawionej cienia

padającego na brwi, nozdrza, fale włosów. Wizja światła, tajemnicza i złowieszcza.

Uśmiechnęła się, rozchylając usta.

— Przyjdź do mnie jutro — powiedziała.

Słyszałem te słowa czy mi się tylko zdawało? Była daleko, daleko pod mną. Powietrze drgało od szelestu sukni, stukotu butów, śmiechu, pełne dźwięków, które dały się słyszeć, lecz nie można było ich wyłapać.

— Przyjdź do mnie... jutro.

Starsza pani oparta na ramieniu księcia de Mersch była oczywiście moją ciotką. Nic nie stało na przeszkodzie, bym je jutro odwiedził. Nagle, i okazało się to przyjemnym uczuciem, uświadomiłem sobie, że to przecież moja rodzina. Ta starsza kobieta była w rzeczywistości najbliższą mi w świecie osobą. Co do dziewczyny, nazywała się moją siostrą. Muszę wyznać, że wcale nie czułem z tego powodu przykrości. Czułem się mniej samotny niż przez te wszystkie lata.

Jakieś krótkie spięcie trwające minutę nastąpiło tuż za moimi plecami. Obok znalazło się kilku mężczyzn. Nie wiem, kim byli – może markizami, a może pracownikami kolei – nigdy nie można tego odgadnąć. Jeden z nich był wysoki i jasnowłosy, miał zwisające rude wąsy. Irlandczyk zapewne. Drugi średniego wzrostu, doskonale ubrany, zadbany, śniady. Nienaganność stroju objawiała się jakimś szczegółem, którego już nie pamiętam – rękawiczkami lub paskiem jedwabiu po bokach spodni – czymś w tym rodzaju. Blondyn mówił coś, czego nie zrozumiałem. Usłyszałem słowa „de Mersch” oraz „Anglaise” i zobaczyłem, że śniady mężczyzna zwraca uwagę na małą grupę poniżej. Potem wyłapałem własne nazwisko wymawiane pogardliwym, pełnym wyższości tonem. Mały korespondent, który znajdował się po drugiej stronie, zerwał się i skrył za moimi plecami.

— *Messieurs* — powiedział szeptem i odciągnął ich na bok.

Widziałem, jak coś tłumaczy, a oni się odwracają, patrzą na mnie, wzruszają ramionami i odchodzą. W najmniejszym stopniu nie zrozumiałem znaczenia tej sceny – wtedy jeszcze nie.

— Co się stało? — zapytałem powracającego znajomego. — Mówili o mnie?

— Och, chodziło o Salon twojej ciotki. Mogli powiedzieć coś niezręcznego... Nigdy nie wiadomo — odrzekł nerwowo.

— Naprawdę się o tym mówi? Mam zamiar wziąć udział w jednym z posiedzeń.

— Oczywiście, nawet powinienes. Naprawdę myślę, że powinienes.

— Pójdę jutro — odparłem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie mogłem zasnąć tej nocy, leżałem i rzucałem się, zapalałem świeczkę i czytałem. Zdawało mi się, że upłynęła wieczność. Byłem podekscytowany. Miałem ze sto spraw do przemyślenia, domagających się, aby się nad nimi zastanowić. Rozległo się głośnie bicie jakiegoś zegara. Zacząłem czytać artykuł Radeta w „Revue Rouge” – tym, który kupiłem od starej kobiety w kiosku. Bardzo mnie to zdenerwowało, to znaczy – artykuł. Prezentacji Grenlandii dokonano w tak kompleksowy sposób, że wizja ekstatycznego piekła, którą właśnie nakreśliłem w „Godzinie”, wydawała się ułudą. Przypuszczam, że Radet miał wyrobioną opinię na ten temat, ale ostrze mej krytyki dosięgło całego państwa, a jego nawet nie musnęło strony w gazecie. Czytałem o śródlądowej dolinie – szerokiej, cienistej, szarej, niezmiernie rozległej i niewyobrażalnie mrocznej, zawijającej między bezkresnymi połaciami skrytymi w niewidzialnych górach nieznanego kraju. Mała grupka ludzi, mikroskopijne postacie w tych mgłach powoli pięły się w górę. Wśród nich przemawiał człowiek. Zdawało mi się, że słyszę jego głos, niski, monotony, przytłoczony słabym światłem, ciszą i bezmiarem.

Jakie to było mocne! Ten człowiek potrafił pisać i umiejętnie zdobywał punkty. Nie było w tym nic dziwnego, żadnego sentymentu. Styl miał lekki, miejscami nawet radosny. Doskonale rozumiał fantazję, która upominała się o zaistnienie, wzbudzając skruchę u tych, dla których nie było powrotu, nie było przyszłości, tylko rozpacz. To był artykuł przeglądowy, tekst, który w Anglii byłby nieczytelny, narracja nomady geniuszu. Ja bym go nigdy nie napisał, powinienem temu zapobiec. Poczulem ukłucie żądz, które wykracza poza seksualność. Toczyło mnie pragnienie wspaniałej frazy, właściwego słowa brzmiącego wśród tego, co niematerialne. Tymczasem mitrężyłem czas, pisząc bzdury. Muszę odejść, zawrócić, wkroczyć na dawną ścieżkę. Muszę działać. Zostało tak mało czasu.

Odstęczało mnie, że wmieszałem się w tę sprawę, że starałem się zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc mu w jego plugawej drodze.

Bóg jeden wie, że nie miałem w sobie nic z altruisty. Jeśli ludzie muszą zabijać na uboczu ogromnego świata, to znaczy, że są mordercami i powinni za to zapłacić. Ale myśl, że mogłem się pomylić, nie była mi na rękę. Zrobiłem to, te wszystkie rzeczy. Muszę wrócić do dawnego siebie, muszę wrócić. Wydawało mi się, że słyszę rozwlekłe słowa księcia de Mersch:

– Znacznie zwiększyliśmy eksport i import. Chroniliśmy tubylców, mieliśmy na uwadze ich interesy. Nigdy nie zapomnieliśmy o misji powierzonej nam przez Europę – usunąć zło ciemności tej ziemi, wykorzenić barbarzyństwo z jego niezliczonymi okropnościami, których istnienie było zmurą naszych sumień. Ludzie pełni dobrej woli i miłosierdzia to właśnie czynią – kładą na szali swe bezcenne życie, by wykorzenić... by nas wykorzenić...

Oczywiście, że wykorzenili.

Nie miało to dla mnie znaczenia. Można przypuszczać, że tubylcy istnieją właśnie po to, by zostać wykorzenionymi przez ludzi dobrej woli, z perspektywami. Problem w tym, że ci ludzie właśnie to robili, wykorzeniając barbarzyńców i barbarzyństwo, udowadniając, że są godnymi swych stanowisk. Napisałem do nich i okazało się, że nie ma nic gorszego niż groteskowy gubernator departamentu, który odpisał następnego dnia po to tylko, by zakomunikować, że tego nie zrobili.

Widzicie, w tamtych czasach miałem honor i wołałem myśleć o sobie jako o przyzwoitym człowieku. Wiedziałem, że ludzie powiedzieliby o mnie to samo, co mówili o innych. Trudno protestować. Szukałem poparcia u rozmaitych osobistości – przez wzgląd na przyjaźń, miłość, z różnych powodów. To tylko przelało czarę goryczy – a może to jej widok przepełnił ją. Wydało mi się naiwnością, że marnowałem czas na panią Hartly i jej popleczników, kiedy na świecie istniało coś świeżego niczym powiew wschodniego wiatru.

Ta myśl zmusiła mnie do przebudzenia i odtąd dotrzymywała towarzystwa. Sąsiedzi z pokoju obok, studenci, jak sądzę, wrócili. Rozmawiali wesoło, ich uwagi przeplatały się ze stukotem butów i innymi niezrozumiałymi odgłosami nocy. Przez lichą zasłonę usłyszałem pół zdania wygłoszonego z dziwnym francuskim akcentem. Przypomniały mi się głosy mężczyzn w operze. Zacząłem się zastanawiać, co mówili. Co

takiego mogli o mnie powiedzieć, że zaniepokojony mały korespondent wtrącił się. Nagle dotarło to do mnie z zaskakującą jasnością, z jaką rozplątuje się skomplikowany wzór. Była niczym blask, od którego nie można oderwać wzroku.

Wszystko – cały świat – zdawało mi się bardziej zagadkowe niż sprawa Grenlandii. Nie rozmawiali o mojej ciotce i jej Salonie, ale o mojej... mojej siostrze. Była *Anglaise* De Merscha. Nie wierzyłem w to, ale prawdopodobnie cały Paryż – cały świat – tak uznał. A dla całego świata byłem jej bratem! Ci dwaj mężczyźni, którzy patrzyli na mnie ponad głowami, zapewne wzruszali ramionami, mówiąc „Och, on jest...”. Teraz wszyscy, dokądkolwiek pójde, będą mówić: „Nie znasz Grangera? Jest jej bratem. De Mersch go zatrudnia”.

Zacząłem wszystko rozumieć: kobietę w pokoju de Merscha z tym jej „Eschingan-Grangeur-r-r”, szacunek małego Żyda, człowieka, który wiedział. Wiedział, że ja – że ja, który miałem go za nic, sam byłem tym, który prosperuje wyłącznie dzięki wstawiennictwu własnej siostry u de Merscha. Oczywiście nie była to prawda, lecz trudno nawet wyrazić mą irytację.

Nienawidziłem świata – świata ludzi, którzy bezustannie szeptali, ludzi, którzy mnie znali i tych, którzy chcieli poznać. Mrocznego świata tych, którzy nie mieli znaczenia, ale ich oczy i głosy były wszechobecne, otaczały mnie niczym materia. Dobrze wiedziałem, jak do tego doszło. Była to sprawka de Merscha – ojca założyciela, z upokorzonym obliczem i drżącymi rękami. Przyciągnęła ją do niego jego wspaniałość, jego elekcyjne dziedzictwo, jego protesty. Kobiety takie właśnie są. Przywiązał ją do siebie i nie wiedziała, co robi, nie wiedziała, o co chodzi w tym świecie – o czym ci ludzie rozmawiają. Była podekscytowana wirującymi, trzepoczącymi słowami, choć nie dbała o nie.

To się musi skończyć. Powiedziała, że mogę ją jutro odwiedzić. Cóż, powinienem pójść i położyć temu kres. Nagle odkryłem, jak bardzo jestem Grangerem z Etchingham. Mimo wszystko stoją za mną rodzinną tradycją i groby przodków. I ze względu na tych wszystkich ludzi, których jedynym osiągnięciem było podtrzymywanie dobrego nazwiska, musiałem teraz interweniować. W końcu, jak się to mówi – *Bon sang* ne¹¹.

Nazajutrz wczesnym popołudniem znalazłem się w wielkim pokoju – wyblakłym, posępnym salonie domu, który moja ciotka wynajmowała na Faubourg Saint Germain. Grupki bardzo wpływowych ludzi rozmawiały pośród stołów i krzeseł pamiętających czasy rewolucji. Zapomniałem, jak się tu dostałem i co działo się wcześniej. Musiałem wstać późno i ostatnie godziny upłynęły mi w strachu. Chciałem ją zobaczyć. Byłem niczym zakochany młodzieniec, który ma stać się mężczyzną. To niedorzeczne. Oto stan, który wprawia światy w wir. Kiedy znalazłem się u celu, moje oczy nagle się rozwarły.

Miałem poczucie, że stoi obok mnie. Właśnie zapoznała mnie z moją własną ciotką – lokalną tyranką o topornych rysach i zmęczonym spojrzeniu. Była tak bardzo wyczerpana, tak wyraźnie zdawała się „kimś innym niż zwykle”, że jej twarz wyglądałaby żałośnie, gdyby nie niezachwiane poczucie klasowej dumy. Grangerowie z Etchingham, jak widzicie, znajdowali się na szczycie tego szczególnego wierzchołka ewolucji, gdzie nie mogli spotkać nikogo, kto nie byłby od nich gorszy.

Człowiek może być ministrem, może nawet być księciem, ale nie może być Grangerem z Etchingham, nie może mieć za sobą grobu pełnego Grangerów. Nie zmieniła wyrazu twarzy nawet dla mnie. Nie mogła, gdyż był do niej przyklejony. Zastanawiałem się, co robi w tej *galerie*. To niemożliwe, by zainteresowała się przywróceniem na tron Burbonów – wszyscy byli bardzo dobrzy, ale nie byli Anglikami, nie mówiąc już o hrabiostwie. Domyśliłem się, że trzymała w garści tę okolice i pozostawiała jej jedynie przywrócenie porządku reszcie świata. Jej znudzone oczy błędziły sennie po zgromadzonych. Wydawały się nie zwracać szczególnej uwagi na nikogo. Spoczęły na bezmyślnym księciu Bonaparte, na ledwie żywym niemieckim jezucie, z którym rozmawiał, na śniadym młodym hiszpańskim księdzu, na rumianym angielskim pasjonacie, na Radecie, twórcy tego artykułu w „Revue Rouge”, który rozmawiał ze swym rodakiem przy jednym z wysokich okien. Zdawało się, że akceptuje groźnie wyglądających mężczyzn, uprawiające politykę kobiety, które mówiły w obcym języku płynnie, lecz z kiepskim akcentem, i niebezpiecznym, odległym uśmiechem ukazującym wątpliwej urody zęby.

Zdawała się zrównywać polityków i duchownych, poszukiwaczy przygód z typowymi fanatykami. Niesamowitym było widzieć ją tam,

stojącą wraz z ludźmi podejrzanego konduity. Nie pokusiła się o żadne wyjaśnienie, więc musiałem znaleźć je sam.

Staliśmy i rozmawialiśmy na środku pokoju. Nie wydawał się odpowiednim miejscem, w którym można by usiąść.

— Dlaczego nigdy mnie nie odwiedziłeś? — spytała ospale. — Być może nigdy nie dowiedziałabym się o twoim istnieniu, gdyby nie twoja siostra. Twoja siostra zawsze stała przy moim boku, z pewnością pamiętasz.

Nie sądzę, ale nie udzieliłem ciotce odpowiedzi.

— W rzeczy samej — kontynuowała — skąd miałbyś wiedzieć, że masz siostrę. Twój ojciec był bardzo dziwny. Od dnia, kiedy się ożenił, mój mąż nigdy nie usłyszał od niego ani słowa.

— Tak bardzo się różnili — skonkludowałem apatycznie.

— Ach, tak — odpowiedziała. — Bracia tacy często są — westchnęła.

Nadal wypowiadała niezrozumiałe zdania, z których wynikała historia pojawienia się mej fałszywej siostry i jej roszczeń. Wydawało się, że na jakimś przyjęciu w ogrodzie lub tego typu imprezie przedstawiła się od niechcienia jako moja własna siostra, której wuj ze strony matki zostawił bajeczną fortunę. Ona sama zasugerowała, że dobrze by było schronić się pod dachem mojej ciotki jako wyjątkowo mile widziany „gość płacący”. Sama również zasugerowała wizytę w Paryżu i wynajęła dom od zdegenerowanego księcia de Luynesa, który czerpał przyjemność z mieszkania przy mniej obskurnej alei Marceau.

— Mamy ze sobą tak wiele wspólnego — wyjaśniła ciotka, odchodząc, by powitać nowych gości. Zostałem sam na sam z kobietą, która nazywała się moją siostrą.

Staliśmy trochę w oddaleniu od siebie. Każda mała grupa mówców w rozległym pokoju wydawała się nadśłuchiwać pozostałych. Odwróciłem się plecami do drzwi, twarzą do niej.

— A więc przybyłeś — powiedziała złośliwie, jak mi się wydawało.

Nie można było mówić w takiej pozycji, w takim miejscu. Niemożliwa była dyskusja o sprawach rodzinnych, gdy drobna Irlandka ze zbyt ruchliwymi brwiami i para dostojnych, surowych, marudnych Hiszpanów, mogli usłyszeć każde słowo, które wypowiedziano inaczej niż szeptem. Aż chciałoby się podnieść głos. Poza tym była tak przerażająca z tą niewiedzą, że nie wszystko można powiedzieć. Najwyraźniej nie

przejmowała się tym, co usłyszeli lub pomyśleli Irlandczycy, Hiszpanie czy jezuici, aż sam się zawstydzilem, że mnie to obchodziło.

— Tak, przyszedłem — odpowiedziałem.

Czułem się równie obcy, jak na wiejskiej farmie, gdzie nie zna się ani jednego zwierzęcia z menażerii. Nie wiedziałem, co powiedzieć ani co zrobić z rękami. Przepeliła mnie nieprzyjemna myśl, że wszystkie te ukradkowe spojrzenia mierzyły mnie, ponieważ byłem bratem osobowości. Martwiłem się, czy buty i płaszcz do siebie pasują, cały czas wściekając, gdyż przybyłem tu w ważnej sprawie.

Stała, patrząc na mnie niczym wspaniała wężowa postać, o oczach świecących ni to prowokacyjnie, ni to otwarcie zwycięsko.

— Przyszedłeś — zaczęła — i...

Zacząłem się bać i chciałem zamknąć jej usta. Mogłaby coś powiedzieć. Obezwładniła mnie tak, że faktycznie skurczyłem się, poczułem chłopczykiem. Znowu stałem się głupim, postawionym do kąta dzieckiem i rozpaczliwie usiłowałem odzyskać godność.

— Muszę z tobą porozmawiać — powiedziałem, przypominając sobie. Wykonała mały gest oznaczający „jestem tutaj”. — Ale na osobności — dodałem.

— Och, wszystko tu jest odosobnione — powiedziała.

Milczałem.

— Muszę — dodałem po pewnym czasie.

— Nie mogę z tobą stąd wyjść — powiedziała. — Wyglądałoby to dziwnie, nie sądzisz?

Wzruszyłem ramionami z niewyobrażalną wprost irytacją. Nie chciałem być przedmiotem żartów. Do pokoju wlała się powódź nowoprzybyłych. Usłyszałem za sobą gardłowe „echem”. To ksiądz de Mersch zwracał na siebie uwagę. Okazało się tak, jak myślałem – ten człowiek z dobrze skrojonymi ubraniami, uroczystą miną i ogromną złotą czupryną był jedynym światłem słonecznym, którym radowało się ponure miejsce. Pochylił się nisko nad moją ręką ciemieńczy, uśmiechnął się do mnie i zaczął wypowiadać frazesy po angielsku.

— Och, może pan mówić po francusku — powiedziała niedbale.

— Ale pani brat...

— Bardzo dobrze rozumiem francuski — odparłem.

Nie miałem nastroju, by oszczędzić mu wstydu. Pragnąłem pokazać, że mam nad nim władzę i że nie jest odpowiednią osobą do rozmowy z młodą damą. Spojrzał na mnie wyniośle.

— Ale wczoraj... — zaczął tonem, który budził niezadowolenie. Zastanawiałem się, jak wyglądałby po drugiej stronie drzwi, podczas gdy ta kobieta wyjaśniałaby mi jego naturę.

— Wczoraj chciałem uniknąć zakłopotania — powiedziałem. — Miałem reprezentować pana poglądy na temat Grenlandii. Mogłem pana źle zrozumieć w jakiejś ważnej sprawie.

— Rozumiem, rozumiem — powiedział pojednawczo. — Wczoraj rozmawialiśmy po angielsku z korzyścią dla brytyjskiej opinii publicznej. Kiedy mówimy po francusku, nie robimy tego publicznie, mam nadzieję — mówił niemal błagalnie.

— Tutaj wszystko jest aż zanadto publiczne — zapewniłem.

Moją rolę, jak to sobie wyobrażałem, było pokazanie, iż angielski brat bronił swojej siostry przed niewygodnymi pytaniami. Osobą, która „próbuję pokazać temu człowiekowi, że nie jest tu dobrze widziany”. Jednak de Mersch postrzegał tę sprawę w zupełnie innym świetle. Oczywiście nie mógł. Był tak samo przyzwyczajony do pochlebstw, jak moja ciotka do patrzenia z góry na każdego, kto nie jest posiadaczem ziemi. Wydawało mu się, że opowiadam niezrozumiały żart i śmieję się bez powodu. Nie istniał sposób, by zasugerować, że to jego obecność jest niepożądana.

— Och, nie musi się pan obawiać mojego brata — powiedziała nagle. — On jest zupełnie nieszkodliwy. Może nawet zrezygnować z pisania do gazet, jeśli nie będziemy tego chcieli.

Książę odwrócił się ode mnie, uśmiechnął i skłonił. Jego uśmiech był bezmyślny, ale ukłonił się bardzo wytwornie; był przygotowywany do tego rodzaju zachowania lub miał je we krwi.

— Nadal współpracujemy? — zapytał.

— A czemu nie mielibyśmy? — odpowiedziała.

Hałas gniewnych głosów podniósł się za moimi plecami. Był to jeden z powodów, dzięki którym Salon Grangerów stał się sławny w całym mieście.

— Sam się mi pan narzucił. Czy powiedziałem kiedykolwiek, że jest pan odpowiedzialny? Jeśli przypomina to panu piekło na ziemi, co mnie do tego? Sam robi pan gorsze rzeczy, *monsieur*. Czy nie widziałam... czy ja tego nie widziałam?

Książę de Mersch spojrział szybko przez ramię w stronę okna.

— Wydają się wściekli — powiedział nerwowo. — Czy nie można zrobić tego lepiej, panno Granger?

Panna Granger podażyła za jego oczami.

— Dlaczego? — powiedziała — jesteśmy przyzwyczajeni do tej różnicy zdań. Poza tym to tylko *monsieur* Radet. On zawsze znajduje się z kimś w stanie wojny.

— Należałoby pokazać mu drzwi — burknął książę.

— Och, jeśli o to chodzi — odpowiedziała — nie mogliśmy. Moja ciotka byłaby niepokieszona. Jest bardzo wpływowy w pewnych kręgach. Ciotka chce go wciągnąć do... Napisze artykuł.

— Pisze zbyt wiele artykułów — odezwał się książę z niezadowoleniem.

— Och, napisał o jeden za dużo — odrzekła — ale można to ukrócić.

— Chyba nikt nie wierzy — zaprotestował książę.

Głos Radeta z przerwami wtrącił się w jego *sotto*, dochodząc do naszych uszu.

— Nie widziałem pana... a potem... ofiaruje mi pan order... przekupując do milczenia... mnie...

Wszyscy obrócili twarze w kierunku okna, przy którym stał Radet, ja również. Trupio blada twarz, na której lata namiętności wyryły swe piętno, siwy jak borsuk, przyjął groteskową postawę człowieka o zranionej dumie. Jego rozmówca był pozbawionym narodowości o ślepych oczach, ziemistym, siwobrodym gubernatorem jednej z prowincji *Système de Groënlandais*. Miał krótko ostrzyżone włosy, szyję byka i wielki brzuch. Rzucił mu ukradkowe spojrzenia. Nie byłem pewien, czy uciec, czy poczekać na jego wypowiedź. Spojrział na pierścień, który otoczył okno w niewielkiej odległości, a jego twarz, która zdradzała pozorny wstyd, stwardniała na widok cynicznych masek kosmopolitycznych konspiratorów. Bawiły ich te sceny. Holsteiner nabrał pewności siebie i wzruszył ramionami.

— Od kiedy pan wrócił, chorował pan na gorączkę — powiedział, pokazując garnitur białych zębów. — Nigdy pan tak nie mówił.

— *No-pas si bête*¹² — pewnie by mnie pan powiesił, jak zrobił pan to z tym biednym szwajcarskim diabłem. Jak miał na imię? Teraz ofiaruje mi pan order. Ponieważ miałem gorączkę, *hein*¹³?

Obserwowałem twarz księcia. Pierwszy czerwony rumieniec wykwitł spod korzeni jego brody i rozpostarł się na niskim czole oraz bokach szyi. Szklany monokl opadł z oka, dając sygnał, że już nie trzeba się rumienić. Pełne wargi nabrały bladości i zaczęły mruczeć niewypowiedziane słowa. Jego wzrok wędrował, poczynając od kobiety stojącej obok mnie. Nie chciałem patrzeć mu w twarz. Ten człowiek był handlarzem ludzkiej krwi, złoczyńcą i go nienawidziłem. Musiał zapłacić swoją cenę. Powinien był, ale nie chciałem, żeby zapłacił. Istniała jakaś granica.

Zacząłem usprawiedliwiać się, przeciskając między grupami doskonałych spiskowców. Kiedy szedłem, powiedziała do mnie

— Możesz przyjść do mnie jutro rano.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Następnego ranka zjawiłem się w Hôtel de Luynes czy też Grangerów. Mgły wciąż wisiały nad górnymi oknami nieprzeniknionego Faubourgu. Toaleta miasta została ukończona, małe węże na kołach klekotały o ciche, długie ulice. O tej porze nie miałem odwagi. Zacząłem dzień impulsywnie, udając się pod przymusem jakiegoś natychmiastowego działania do mleczarni, gdzie zjadłem śniadanie. Poszedłem okrężną drogą. Było za wcześnie, a moje tempo zaczęło słabnąć, gdy mijałem rząd portierni w tej martwej, niezbadanej ulicy. Chciałem frunąć, bardzo mocno odczuwałem ten impuls, ale spaliłem za sobą mosty pytaniami niesamowicie starej jednookiej dozorczydni.

Przeszedłem przez wilgotny dziedziniec pod olbrzymim portykiem do chłodnej kamiennej sali, której żadna liczba ludzi nie wystarczała, by przywrócić pozór życia. *Mademoiselle* spodziewała się mnie. Wspiąłem się po kamiennych schodach do jednego z niezmiernie wysokich, wąskich, idealnie prostokątnych przedsionków, które można zobaczyć na afiszach starych sztuk. Meble sięgały najwyżej wysokości kolan, dopóki nie zorientowałem się, że to ja nie jestem odpowiedniego wzrostu. Smutne światło strzelało z prostych, wysokich okien, armia pyłków poruszała się powoli w cieniu. Zatrzymałem się i spojrzałem z roztargnieniem na dziedziniec. Dozorczydni przedzierała się przez żwirową ścieżkę z rękami w kieszeniach czarnego fartucha pełnego listów wszystkich rozmiarów. Przypomniałem sobie, że ktoś szedł za mną na dół. Od półotwartych składanych drzwi dobiegł niewyraźny głos przypominający, że czekam na de Merscha. Nie trwało to długo. Głosy przybrały na sile, jak to się dzieje przy końcu rozmowy, następowały po sobie w coraz dłuższych odstępach, aż wreszcie umilkły. Wysokie drzwi uchyliły się szeroko i wszedł przez nie mężczyzna, którego poprzedniego dnia poznałem jako gubernatora prowincji. W tym wrogim świetle wyglądał na starego, oszołomionego i zaniepokojonego. Wydawało się, że stracił wiele ze swojej krągłości. Co do niej, świeciła własnym blaskiem.

Powitał mnie przygnębiony i nie rozpogodził się, gdy poinformowała go, że Callan jest naszym wspólnym przyjacielem. Jak się okazało gubernator jako nadzorca systemu musiał oprowadzać tę osobistość po dzikich terenach Grenlandii. Miał wszystko ułatwić i zwrócić uwagę na doskonałość administracji.

Życzyłem mu dobrej podróży. Westchnął i zaczął międlić kapelusz.

— *Alors, c'est entendu*¹⁴ — powiedziała, dając mu pozwolenie na odejście. Spojrzał w dziwny sposób, wziął ją za rękę i przyłożył do ust.

— *C'est entendu*¹⁵ — odparł z ciężkim westchnieniem. Krople śliny pryskały spod białych wąsów — *mais*¹⁶...

Ponownie podniósł na mnie swe małe oczka i wyszedł z pokoju. Zapewne miał ochotę otrzeć pot z czoła i zawołać: „*Quelle femme!*”¹⁷. Ale jeśli miał taki pomysł, powściągnął go przynajmniej do czasu, aż drzwi nie ukryły go przed moim wzrokiem.

— Dlaczego... — zacząłem, nim dobrze je zamknął. — Dlaczego pozwalasz, żeby ten bydlak się do ciebie zalecał? — Chciałem powiedzieć to, zanim ze mnie zadrwi. Pragnąłem wygłosić długą przemowę o powinnościach nazwiska Grangerów, lecz następne słowo zawisło nieruchomo, a nim nadeszło, odpowiedziała:

— On? Och, po prostu się nim posługuję.

— By odziedziczyć Ziemię? — zapytałem ironicznie, a ona poważnie potwierdziła tylko:

— By odziedziczyć Ziemię.

Opierała się o okno, bawiąc sznurkami kotar, a jej sylwetka wyraźnie rysowała się na tle ołowianego światła. Wydawała się trochę zmęczona. Linie jej figury układały się niemal z czułością, komponując wedle ideałów pewnej szkoły malarskiej. Wiedziałem o niej tak mało, jedynie tyle, ile wystarcza, by się zakochać, że wziąłem to za zwiastun nowej fazy nadchodzącej nie dla mnie, lecz dla niej. Była poważna powagą człowieka, któremu zaczynają ciążyć istotne sprawy.

Nie mogłem z nią rozmawiać. Nie z tą nową koncepcją jej osoby w sposób, w jaki zaplanowałem, sposób, w jaki można mówić do błyskotliwej, eterycznej... Och, takiej właśnie kobiety. Jednak musiałem trzymać się dawnych argumentów:

— Jak flirt z tym mężczyzną mógłby ci pomóc? — zapytałam nierozsądnie.

— To zupełnie proste — odpowiedziała. — Ma pokazać Callanowi całą Grenlandię, a Callan napisze... Callan ma ogromny wpływ na wyższą klasę, a on zdobędzie pewien prestiż – komisarza.

— Och, wiem o Callanie.

— Poza tym — kontynuowała — ten człowiek otrzymał rozkaz ukrycia przed Callanem pewnych rzeczy, sam wiesz jakich. Tego jednak nie zrobi i to właśnie załatwiłam. Częściowo to wynik przekupstwa, a częściowo dlatego, że wierzy w swoje *beaux-yeux*¹⁸. Więc Callan wścieknie się i napisze... oszczerstwa, jak to bywa w nerwach. Na pewno zirytuje się, gdy zobaczy to, co mu ten człowiek pokaże. Wiesz, jak poczuje się taki mały człowieczek jak Callan? Rozchoruje się. On by zemdłał na widok kropli krwi, wiesz przecież, tymczasem zobaczy rzeczy gorsze od tych, które widział Radet. Napisze więc przerażający artykuł, a na de Merscha spadnie to niczym grom... Wówczas de Mersch poczuje się zdruzgotany, a twój przyjaciel Churchill w obliczu skandalu spróbuje przepchnąć uchwałę kolejową. Motywy Churchilla będą szlachetne, ale wszyscy powiedzą... Wiesz, co ludzie mówią... Tego właśnie pragniemy ja i Gurnard. Chcemy, aby ludzie mówili. Chcemy, żeby uwierzyli...

Nie wiem, czy w jej głosie rzeczywiście było jakieś wahanie czy też jedynie ja je wyczytałam. Stała tam, bawiła się sznurkami i mówiła niskim, monotonnym tonem. Wszystko to, smutny zmierzch oraz modulacja jej głosu wydawało się zabarwione gorzkim żalem. Prawie zapomniałem o historii z Wymiarowcami, nigdy w nią nie wierzyłem. Ale teraz po raz pierwszy zacząłem mieć wątpliwości. Miałem pewność, że coś knuła z jednym z podwładnych de Merscha. Zachowanie tego człowieka nie pozostawiło żadnych wątpliwości: nie był w stanie spojrzeć mi w twarz. Ale przede wszystkim jego głos i sposób bycia sprawiły, że poczułem, jak straciliśmy królestwo farsowej alegorii. Wiedziałem wystarczająco dużo, aby przekonać się, że może mówić prawdę. A jeśli tak, to jej szczere przyznanie się do takiej zdrady potwierdzało wszystko, co mówiła o Wymiarowcach: że byli oziębli, bez skrupułów, potężni, niezwykle odważni i niewątpliwie – byli wrogami społeczeństwa.

— Nie rozumiem — odparłem — co w takim razie z de Merschem?

Wykonała oszczędny gest, jeden z tych ruchów, które zapamiętałem. Najmniejszy, najmniej zauważalny. Sprowadziła de Merscha do błahostki, już się dla niej nie liczył.

— Och, on jest jedynie drobnym szczegółem. — Odniosłem wrażenie, że przemawia z intonacją przepełnioną współczuciem, jakby mówiła do pogrążonego w bólu psa. — On tak naprawdę się nie liczy, zupełnie nie liczy. Rozsypie się i zniknie niebawem. Nawet nie będziesz o nim pamiętał.

— Ale przecież spotykasz się z nim, jakby... Mówisz o nim... Wszyscy myślą... — Ten zarzut wydał mi się teraz, gdy stałem naprzeciwko niej, wprost nieprawdopodobny. — Wierzę — dodałem, z nagłą inspiracją. — Jestem pewien, że nawet on uważa, że ty...

— Cóż, oni myślą o takich rzeczach. Ale to tylko część gry. Och, zapewniam cię, że nic więcej.

Milczałem. Czułem, że z jakiegoś powodu chciała, bym jej uwierzył.

— Tak — powiedziała. — Chcę, byś uwierzył. Zaoszczędzi ci to wiele bólu.

— Jeśli chciałabyś mi oszczędzić przykrości — kontynuowałem — zerwałabyś z de Merschem na dobre. — Czułem, że decyzja ta w ogóle nie zależy ode mnie. Tak, jakby jakieś niewidzialne siły odpowiedzialne za to przemykały tuż nad moją głową, poza moim zasięgiem. Było to coś wibrującego, jakaś lina rozciągnięta gdzieś, mocno napięta i drżąca. Ale nie mogłem wymyślić nic lepszego: — Musisz z nim zerwać.

Wydawało się to równie oczywiste, co niemożliwe, znajdowało poza zasięgiem tego, co można było zrobić, lecz musiałem uczynić wszystko, co tylko w mej mocy.

— Jest podły, podły! — dodałem.

— Och, wiem, wiem i przykro mi z twojego powodu. Ale trzeba w to brnąć. De Mersch musi zginąć w ten właśnie sposób. Nie w żaden inny.

— Dlaczego nie? — zapytałem, ponieważ przerwała. Nie pragnąłem oświecenia.

— Nie chodzi tylko o Churchilla — wyjaśniła — nie tylko to, że de Mersch pociągnie go za sobą. Chodzi o to, że musi zniszczyć wszystko, co Churchill reprezentuje. Wiesz, co to jest — swoista prawda, cały stary porządek rzeczy. A im okrutniejsze środki zostaną użyte do zniszczenia de

Merscha, tym podlejsza się wyda cała sprawa. Ludzie, tacy ludzie myślą, że przyzwoity człowiek nie może mieć nic wspólnego z podobnymi intrygami. Lecz ta sprawa będzie śmierdziała, bardzo śmierdziała, sam rozumiesz.

— Nie — zapewniłem. — Właściwie to w ogóle nie rozumiem.

— Ależ rozumiesz, rozumiesz... — przerwała na dłuższą chwilę, a ja milczałem. Pojmowałem niejasno, co miała na myśli. Gdyby Churchill runął w obłoki pyłu tego krachu, skończyłoby się przekonanie o słuszności sprawy. Ale nie widziałem, do czego miało to prowadzić dla nas obojga.

— Widzisz — zaczęła ponownie — chcę sprawić, żeby było to dla ciebie jak najmniej przykre, jak najmniej bolesne tak długo, jak nie trzeba będzie wyjaśnień. Nie odczuwam tak jak ty, ale widzę, że cię to boli. A więc... chcę, naprawdę chcę...

— Ale nie zrobisz tej jednej rzeczy — wróciłem rozpaczliwie do potyczki.

— Nie mogę — odpowiedziała. — Tak musi być. Nie ma mowy. Jesteś przywiązany do drobiazgów. Czy nie widzisz, że de Mersch i wszyscy ci ludzie naprawdę się nie liczą? W tym schemacie rzeczy w ogóle nie istnieją. Myślę, że nawet ty nie powinienesz się nimi przejmować. To tylko przypadki, które...

— Które co? — spytałem, chociaż zaczynałem słabo dostrzegać, co miała na myśli.

— Które prowadzą do rzeczy nieuniknionych — odpowiedziała. — Nie widzisz? Nie rozumiesz? Jesteśmy nieuniknieni... i nie możecie nas powstrzymać. Musimy nastać, a wy będziecie cierpieć, opierając się.

Poczucie, że to prawda, jedyna prawda, niepokoiło mnie. Na razie nie umiałem myśleć o niczym innym – o czymkolwiek innym na świecie.

— Musicie zaakceptować nas i wszystko to, co ze sobą niesiemy. Musicie się poddać, prędzej czy później. Rozejrzyj się dookoła, a może więcej zrozumiesz. Znajdujesz się w domu należącym do istot gatunku, których egzystencja zdaje się niemożliwością, i to już od wieków. Ten gatunek bardzo starał się powstrzymać nieuniknione nie dlatego, że sam się podporządkował, ale dlatego, że wszystko, co po nim pozostało,

również uległo destrukcji. I musiał cierpieć... Ból serca... Takie cierpienie. Czyż nie tak?

Nie odpowiedziałem, ilustracja zdawała się zbyt odrażająca. Tak właśnie było. Nawet teraz wszyscy ci ludzie – ci legitymiści – sztychili bezlitośnie, odcinając się od świata w swoich ponurych domach i zarazem cierpiąc straszliwie, ponieważ wszystko, za czym się opowiadali, ginęło.

– Ale nawet jeśli ci uwierzę – powiedziałem – to zbyt okropne. Wasze narzędzia są zbyt podłe. Ten człowiek, który właśnie wyszedł, i Callan, oni są narzędziami konieczności? Przecież rewolucja... – Starłem się powrócić do realnych pomysłów, idei, które można nazwać, sklasyfikować i oznaczyć. – ...rewolucja była szlachetna w swej istocie i dążyła do dobra. Tymczasem wszystko to jest zbyt podłe i zbyt małostkowe. Przekupujesz lub może nawet robisz coś jeszcze gorszego, by ten człowiek zdradził swego pracodawcę. I to, co nazywacie pomocą w nieuniknionym...

– To samo mówiono o rewolucji. Że jej narzędzia nie były stosowne. Nie widzisz? To byli ludzie, którzy zginęli... Nie potrafili dostrzec dobra w...

– A ja mam uwierzyć... – stwierdziłem z goryczą.

– Nie można zobaczyć dobra – odparła. – To niemożliwe i nijak nie da się tego wyjaśnić. Nasze języki są różne i nie ma między nami mostu, żadnego mostu. Nie możemy się spotykać...

To mnie rozwścieczyło. Jeżeli nie ma mostu i nie wolno się nam spotykać, musimy zatem walczyć, to znaczy, jeśli można wierzyć temu, co mówi. Gdyby natomiast przyjąć, że nie uwierzyłem, musiałbym uznać, że dałem się wystrychnąć na dudka. Wolałem tak myśleć. Gdyby mnie oszukała, znaczyłoby, że nadal znajduje się w moim zasięgu. Ale jeśli to, co mówiła, jest prawdą, nie istniała żadna nadzieja...

– Nie wierzę ci – oznajmiłem nagle. Nie chciałem jej wierzyć. To było zbyt odrażające, zbyt obrzydliwe i niewiarygodne. Walczyłem, jak walczy się z nieuniknionym szaleństwem, z samą myślą o nim. Zawisło nade mną, ogłupiające, martwe. Można tylko walczyć z przemocą, brutalnie szarpnąć się, tak jak walczy się z omdleniem w trakcie mrozu. Wyglądało to niczym całun, jak spadające chmury dymu, które zdawały się pochłaniać ten absurdalnie wysoki pokój. Wiara w to, co reprezentowała, o czym mówiła, co stanowiło jej fundamenty... – Nie wierzę ci i nie

uwierzę. Robisz ze mnie głupca... Próbujesz oszukać, bym pozwolił na dalsze flirty z tym... Pomyśl, co to dla mnie znaczy, pomyśl, co ludzie mówią o mnie. Przecież jestem przyzwoitym człowiekiem. Nie wolno ci. Rozumiesz, że ci nie wolno? To jest nie do zniesienia, a ty... próbujesz mnie omamić... żebym zachował spokój...

— Och, nie — powiedziała. — Wcale nie.

Jej głos miał żaloszny ton, poruszający do głębi. Pamiętam teraz, choć wcześniej nie zwróciłem uwagi. Byłem zbyt wstrząśnięty, by odbierać to inaczej niż podświadomie. W niepohamowaną furię wprawiało mnie wspomnienie tego, co wycierpiałem, tego, co musiałem jeszcze wycierpieć. Przemawiałem z wielką wściekłością, wyrzucając z siebie słowa i idee niczym powódź szturmująca tamę i zalewająca pola uprawne.

— Jesteś — powiedziałem — ty... ty... jesteś... Mieszasz z błotem znamienite nazwisko. Ty...

Zapomniałem o tym, co mówiłem, ale pamiętam „mieszanie z błotem znamienitego nazwiska”. Uderzyło mnie jak żałośnie marny to argument. Pamiętam tylko skutek mojego przemówienia – to, jak przysięgała, owszem, przysięgała, że skończy z de Merschem. Mógłbym ją zdemaskować przed ciotką właśnie wtedy, w tym domu.

Ale ona powiedziała, że to niemożliwe.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Miałem wrażenie, że idę bardzo szybko, prawie biegnąc długim, mrocznym korytarzem ku drzwiom, które kryją w sobie ogromny pokój. Pamiętam tylko, jak wtedy to widziałem, wiele pastelowych portretów słabych, bezmyślnych postaci w matowych, złożonych, owalnych ramach. Głowy odznaczały się na boazerii i patrzyły na mnie zza loków, wypomadowanych włosów, z rozdrażnionym lub pogardliwym z wyrazem, który musiał panować w czasach przed rewolucją. W wielkiej odległości, pochylona nad księgami rachunków i różowymi kratkami leżącymi na biurku, usiadła ciotka, bardzo mała, bardzo szara, bardzo skupiona na swojej pracy.

Ludzie, którzy zbudowali te pokoje, musieli mieć jakąś właściwość rozrastania się do olbrzymich rozmiarów w obecności podwładnych i służących. Być może to poczucie własności dało im niezbędny prestiż. Moja ciotka, która była tylko tymczasową lokatorką, z pewnością go nie miała. Wpatrując się uważnie w rachunki, zerkając przez okulary na kolumny figur, była tylko małą, samotną staruszką w ogromnym pokoju. Wydawało się niemożliwe, by mogła mieć jakąś rodową dumę, jakąkolwiek dumę. Spojrzała na mnie zza ramienia przez okulary.

— Ach... Etchingham — powiedziała.

Wydawało się, że próbuje się przenieść z powrotem do Anglii; do Anglii dzierżawców i zaproszonych gości. Tutaj jej pozycja nie była lepsza niż na bezludnej wyspie. Chciałem ją oświecić w sprawie kobiety, którą otoczyła opieką, bardzo chciałem, ale w miarę, jak moja pewność siebie rosła, uświadomiłem sobie, że konieczne jest wyjaśnienie tej sprawy.

— Moja droga ciociu — zacząłem. — Kobieta...

Obcość tematu stała się nagle przytłaczająca. Spojrzała na mnie z podnieceniem.

— Więc dostałeś mój bilecik — powiedziała. — Ale nie sądzę, żeby kobieta mogła go przynieść. Moje polecenia były ścisłe. Ale mają tutaj takie dziwne pomysły. A *madame portière*¹⁹ jest starą opiekunką M. de Luynesa, nie mam na nią większego wpływu. To absurdalne, ale...

Wygląda na to, że staruszka osobiście dostarczała listy. Liczyła na napiwki i zapewne chodziło też o policję. Wykorzystują tego rodzaju osoby w tej dzielnicy pełnej nieustających drobnych intryg.

— Nie miałem tego na myśli — kontynuowałem — ale chodzi o to, że kobieta, która uważa się za moją siostrę...

— Mój drogi siostrzeńcu — przerwała spokojnie, choć stanowczo, jakby wracała do dawnego tematu — nie mogę, absolutnie nie mogę zajmować się kłótniami z twoją siostrą. Jak napisałam wam w liściku rano, kiedy jesteście w tym mieście, musicie uważać ten dom za własny. To prawie obraźliwe, że zameldowałeś się w hotelu. Powiedziano mi, że jest to nawet... nieprzystojne miejsce dla członka naszej rodziny.

Przez kilka sekund milczałem zaskoczony.

— Ale — wróciłem do ataku — sprawa jest ważna. Musisz zrozumieć, że ona...

Ciotka zeszywniała i zamarła. To było tak, jakbym popełnił jakiś rażący grzech przeciwko etykiecie.

— Odpowiada mi jej zachowanie, więc sędzę, że możesz być spokojny. — Przerwała, jakby była zadowolona, że wyprowadziła mnie z beznadziejnego błędu. — Nie wycofuję mojego zaproszenia — dodała. — Zrozum, że chcę cię tu gościć, ale wasze kłótnie muszą się skończyć. Pod tym warunkiem...

Roztaczała atmosferę wyświadczenia ogromnej łaski, jak gdyby wierzyła, że przez całe moje życie czekałem na jej zaproszenie, by przekroczyć granicę. Co do mnie, odczułem pewną ulgę, że wykonanie obowiązku stało się dla mnie niemożliwe. Nie chciałem powiedzieć ciotce, a tym samym oderwać się zdecydowanie i na dobre. Coś by się stało. Powietrze mogło się oczyścić niczym po burzy. Może dowiedziałbym się, na czym stoję. Ale bałem się tej wiedzy. Światło w tych ciemnych miejscach może ujawnić otchłan u moich stóp. Chciałem, żeby sprawy prześlizgnęły się obok.

Ciotka wróciła do swoich rachunków. Stanowiły trybiki, dzięki którym majątek Etchingham tak dobrze funkcjonował. Wydawało się, że chciała udowodnić, że obecnie nie mogę liczyć na zbyt wiele.

— Chciałabym lepiej cię poznać — powiedziała, z wciąż odwróconą głową. — Istnieją powody...

Nagle przyszło mi do głowy, że chce dokonać jakichś zmian w testamencie, że czuje zbliżający się koniec, a ja zyskam jakieś prawa do majątku. Nie dbałem o to, ale pomysł zostania spadkobiercą Etchingham był... no cóż, kuszącym pomysłem. Zwiększyłyby to moje szanse wobec pseudo-siostry. Mogłoby stanowić jakiś punkt wyjścia, uczyniłoby mnie potencjalnie kimś w rodzaju ideału. Ponadto przebywałbym pod tym samym dachem, blisko niej, czasem nawet razem z nią. Miałem tak skromne oczekiwania, że wydawało się to prawie połową wygranej bitwy. Zacząłem rozważać słowa podziękowania i zgody, a następnie je wypowiedziałem.

Nigdy do końca nie zrozumiałem przebiegu tej sceny, nigdy nie dowiedziałem się, czy moja ciotka naprawdę wiedziała, że siostra nie była siostrą. Była niezwykle bystrą kobietą pozbawioną skrupułów, obdarzoną zimną krwią i wystarczająco opanowaną, by odciąć się od wszelkich niewygodnych założeń. Wyglądało, jakby miała długą praktykę w tej dziedzinie, chociaż nie mogę powiedzieć, gdzie ją zdobyła – chyba dzięki panoszącym się w domu zwolennikom zamętu.

Kiedyś myślałem, że nawet jeśli nie wie o wszystkim, to przynajmniej zna częściowo prawdę, której ciężar niewątpliwie przytłacza jej umysł. Załamała się, z dnia na dzień czuła coraz gorzej, czego innej przyczyny nie potrafiłem wskazać. Roztaczała wokół siebie atmosferę osoby kruszącej się jak minerał pod ogromną masą – jak kwarc pod młotem. Zdawała się przygębiona i zdrętwiała, jakby znajdowała się pod wpływem narkotyków.

Nie wiem, czy rzeczywiście nosiła w sobie ten niewiarygodny sekret. Czasami na nią patrzyłem i zastanawiałem się, czy ona też przeczuwała nadejście nieuniknionego. Była wystarczająco ograniczona, ale nie na tyle głupia, by zrozumieć, jeśli zobaczy. Ludzie jej pokroju mają zresztą cały czas przed oczami taką ponurą perspektywę.

To musiało być to, codziennie, krok po kroku, spędzało jej sen z powiek i pogłębiało drżące zmarszczki na nieprzeniknionej twarzy. Miała pewną wielkość, patos związany z przynależnością do wymierającego gatunku. Roztaczała aurę osoby oczekującej na potop, nasłuchującej nieuchronnego dźwięku – dźwięku wzbierających wód.

Czas, który spędziłem w tym domu, zdawał się dziwny, fatalny, martwy. Wywierało to na mnie niezwykle wpływ – efekt, który moja „siostra” zapewne starannie zaplanowała. Jak sama potem przyznała, o to właśnie jej chodziło, łamała mnie, abym wykonał przydzielone mi zadanie w doprowadzeniu do nieuniknionego. Nigdzie nie natknąłem się na tak przeszywającą samotność, samotność, która skazywała człowieka wyłącznie na siebie samego. Siedziałem w jednym z tych wysokich, wyłożonych boazerią pokoi i pisałem serię artykułów do „Dwumiesięcznika” Polehamptona. Pamiętam, że miałem oddać atmosferę Paryża. To był niezwykle proces. Na górze wydawało mi się, że jestem tak samo odizolowany od Paryża, jakbym znajdował się w... no cóż, w Hampton Court. Pisanie zdawało się prawie niemożliwe. Miałem o czym myśleć: kłopoty i zazdrość. To prawda, że musiałem z czegoś żyć, ale wydawało się, że utraciłem, a przynajmniej na jakiś czas zawiesiłem sens.

Boazeria zdawała się działać jak płyta rezonansowa, cielsko ogromnej wiolonczeli. W domu nigdy nie słychać było odgłosów, tylko szepty dochodzące z ogromnej odległości – jakby ktoś rzucał kamieniami w niezgłębianą studnię, słaby dźwięk wzburzonych wód. Kiedy spoglądałem wstecz, wyobrażam sobie, że na zawsze zastygłem z uniesionym piórem, czekając na słowo, które nie nadejdzie, i nic innego zbytnio mnie nie obchodzi. Boazeria rozkosznie skrzypiała, gdy drzwi wejściowe otwierały się. Ludzie przechodzili przez ogromną salę do pokoju, w którym knuli spiski. Przechodzili spokojnie, ze śmiechem, szeleszcząc ubraniami, co po pewnym czasie brzmiało niczym szept. Wówczas dostawałem ataków szaleńczej zazdrości. Chciałem być częścią jej życia, ale nie mogłem znieść tego Salonu podejrzanych spiskowców. Co mogę tam robić? Stać i patrzeć na nich, świadomy, że wszyscy instynktownie ściszały głosy, kiedy się do nich zbliżałem?

Tak malowały się wówczas barwy tamtych czasów, ale oczywiście nie zawsze tak było. Niekiedy, litując się nad ciotką, jadłem z nią śniadanie, czasem siadywałem z nimi dwiema. Nadskakiwałem każdej z osobna, składając przygnębiające wizyty wraz z ciotką w Faubourg ludziom bez jakiegokolwiek właściwości innej niż to, że byli wysuszeni, pomarszczeni i reprezentowali punkt widzenia zwiędłego jabłka. Ich odwet stanowiły zaskakujące nazwiska, które przypominały generałów i flaneurów

niemożliwie odległego czasu. Nazwiska, które z trudem mogły istnieć poza wspomnieniami *madame de Sévigné*. Nazwiska ludzi, którzy z trudem mogliby zdobyć się na coś bardziej energicznego niż odbijanie się w lusterkach *Salle des Glaces*. Byłem tak bardzo przygnębiony, tak pogrążony w stanie zawieszanej percepcji, że zdawałem się dokładnie dostosowywać do pomysłów ciotki, co czyniło mnie w jej oczach pożądanym towarzyszem. Stałem za krzesłami i rozmawiałem jak dobrze wychowany młodzieniec z właściwymi *Pères* i *Abbés*, którzy byli na ogół obecni.

Po powrocie do domu kreśliłem sylwetki tych ludzi. Musiałem czynić to naprawdę nieprzyzwoicie, bo listom, które przyniosły czeki Polehamptona, towarzyszyły brawa tego dżentelmena i zapewnienia, że moje utwory podobają się pannie Polehampton, i to bardzo.

Przypuszczam, że odgrywałem rolę człowieka bywałego. W końcu każdy może pisać o studenckich balach i jeziorach w Bois, ale trzeba kogoś, kto napisze „ze znanstwem” o wnętrzach niedostępnych domów przy Rue de l’Université.

Wtedy też uczestniczyłem w bardziej efektownych rozrywkach z moją siostrą. Do tej pory przyzwyczailem się do tego, że słyszałem „twoją siostrę”, a epitet ten zastępował nazwisko. Była „*mademoiselle votre soeur*”²⁰, jak mogłaby być panną Melle, *Patience* czy *Hope*, nie posiadając żadnej z tych cech. Co robiła podczas rozrywek, bazarów charytatywnych, ponurych tańców, niemożliwie złych koncertów, nie mam pojęcia. Musiała mieć jakiś cel, bo bez tego niczego nie czyniła. Ja zostałem zdegradowany do reprezentacyjnej funkcji opiekuna – równie zbędnej jak oczy kreta. Dostawałem wściekłych ataków zazdrości, gdy rozmawiała lub tańczyła z mężczyznami. Potem zbierałem w sobie odwagę, lecz czułem, że mnie opuszcza. Kiedyś jechaliśmy w powozie, który zamykał nas nieubłaganie razem i który równie nieuchronnie niszczył wszelkie możliwości tego, co nazywa się kochaniem. Na gładkich ulicach jego ruch był zbyt szybki, na chodnikach zbyt głośny. Chciałem się z nią kochać – och, pragnąłem tego niezmiernie, ale nigdy nie byłem w nastroju, nigdy też nie nadarzyła się okazja. Miałem najdziksze napady złości: nie szaleństwa ani melancholii, ale zwykłej dzikiej złości związanej z ciągłym piętreniem się drobnych przeszkód. Nie mogłem czytać, nie mogłem się

do tego zmusić. Siedziałem i patrzyłem oszołomiony na angielskie gazety, jakiegokolwiek, z wyjątkiem „Godziny”. De Mersch na razie zniknął. W jego elekcyjnym wielkim księstwie wyniknęły kłopoty – stał się bardzo niepopularny wśród elektorów. Czytałem ostre artykuły na temat jego entuzjazmu w amerykańskiej gazecie, która poświęcała się tego rodzaju sprawom. W przypadku wyrzucenia de Merscha doszłoby do różnego rodzaju międzynarodowych trudności. Pojawił się jakiś inny książę z rywalizującej frakcji o niejasnym pochodzeniu, Prusak lub Rosjanin, który żywił pragnienie zdobycia stopnia królewskiego, czego tak bardzo pożądał de Mersch. Rzeczywiście, było chyba dwóch rywalizujących ze sobą książąt, z których każdy czekał z zapakowanymi walizkami i manifestami w kieszeniach, gotowych do przekroczenia granic państwa de Merscha.

Skargi jego poddanych – jak utrzymywała parysko-amerykańska „Gazette” – ściśle wiązały się z kwestiami finansowymi, a osobiste środki de Merscha i jego wielkiego księstwa były nierozzerwalnie związane z ryzykownymi planami, dzięki którym starał się zarobić fortunę wystarczająco dużą, by mógł się śmiać z pół tuzina wielkich księstw. Faktycznie, podobno walizkę spakował dniu, w którym dzięki koleżeńskiemu poparciu dla planów Grenlandii mógł śmiać się ze swego kłótliwego sejmiku.

Rzecz tak bardzo mnie nie interesowała, że nigdy do końca nie zagłębiłem się w szczegóły. Nie życzyłem temu mężczyźnie niczego dobrego, ale dopóki nie będzie mi przeszkadzał, nie zamierzałem aktywnie mu szkodzić. Wreszcie o sprawie Holsteina-Launewitza przestały pisać gazety – rozstrzygnięto ją, a książęta rosyjscy i pruscy rozpakowali swoje walizki i, jak sądzę, wrzucili manifesty do ognia lub dostosowali je do potrzeb innych księstw. Sprawy de Merscha ustąpiły miejsca rubrykom na temat podwyżek. Mówiono, że ktoś gdzieś coś wymyślił. Próbowałem czytać artykuły, aby poznać szczegóły, ponieważ nie podobało mi istnienie rozległego tematu, o którym kompletnie nic nie wiedziałem. Czytałem o wielkich domach dyskontowych i innych rzeczach, które absolutnie nic mi nie mówiły. Zrozumiałem tylko, że wspomniane domy miały bardzo zły czas i że wszystkim wiodło się o wiele gorzej.

Rzeczywiście, pewnego dnia po otrzymaniu rachunków od Polehamptona zamiast moich zwykłych czeków przekazano mi sprawę. Miałem sporo kłopotów z gotówką, w rzeczy samej ludzie zdawali się patrzeć na nią podejrzliwie. Skonsultowałem się z ciotką podczas śniadania. To było coś, co interesowało taką kobietę interesów, jak ona, a zawsze brakowało nam tematów do rozmowy.

Zjedliśmy śniadanie w niewielkim pokoju, ponieważ takie tam były, a ciotka siedziała u szczytu stołu z poranną miną *en famille*²¹, którą zakładała tylko o tej porze dnia. Nie chodziło o ubranie, gdyż nie miała zwyczaju wdziawać *peignoir*²², lecz o styl, który zaczynał nabierać oziębłości dopiero po upływie kilka godzin.

Wręczyłem jej чеки Polehamptona i wyjaśniłem, że nie mogę ich rozliczyć, gdyż nie mam bladego pojęcia, o co tu chodzi. Trzymając w ręce te nieszczęsne kwity, zaczęła mnie pouczać o obowiązku zdobywania podstaw tego, co nazywała „nawykami biznesowymi”.

— Oczywiście nie wymagam wgłębiania się w szczegóły szczegółów — powiedziała — ale zawsze uważałam, że jest to jeden z obowiązków...

Przerwała, gdy moja siostra weszła do pokoju. Spojrzała na nią, a potem wyciągnęła dłoń z wekslami. Trzęsły się, a wraz z nimi ręka.

— Wybierasz się do Halderschrodta? — zapytała. — Możesz zmusić go, by wynegocjował je dla Etchinghamów?

Panna Granger spojrzała niedbale na aktywa.

— Idę dziś po południu — odparła. — Etchingham może przyjść... Nagle zwróciła się do mnie: — Więc twój przyjaciel aż się trzęsie — powiedziała.

— Co masz na myśli? — zapytałem. — Ale słyszałem, że wcześniej robił to samo.

— Wcześniej też musiał się trząść — zauważyła — ale ośmieliłam się powiedzieć Halderschrodtowi...

— Och, nie warto kłopotać takiej osobistości taką sumą — zapewniłem.

Halderschrodt w tamtych czasach było nazwiskiem, które sugerowało, że nie ma sensu podejmować transakcji za mniej niż milion.

— Mój drogi — przerwała ciotka zszokowanym tonem. — Warto poświęcić nam trochę czasu...

— Nie wiedziałem — odparłem.

Tego popołudnia pojechaliśmy do prywatnego biura Halderschrodta, wystawnego – czyli *mot juste*²³ – apartamentu na pierwszym piętrze domu obok Sans Souci księcia de Mersch. Siedziałem na połączonym krześle z miękkim siedziskiem, podczas gdy moja pseudo-siostra prowadziła interesy w sąsiednim pokoju przypominającym ten, w którym de Mersch czaił się, gdy mnie przed nim ostrzegała. Po jakimś czasie zjawił się urzędnik, zaprowadził mnie na stronę, gdzie wręczył mi weksel zamieniony na inny, a następnie ponownie skierował w stronę pluszowego krzesła. Zanim zdążyłem się usadowić, skromny, bardzo wysoki Alzacyjny już otwierał drzwi mej siostrze. Nic nie powiedział, ale stał lekko pochylony, gdy go mijała. Zauważyłem czerwoną, pociągłą twarz, bardzo zmęczone oczy i włosy o bieli niemal zaskakującej – mleczne włosy stosunkowo młodego mężczyzny, bez żadnego blasku, martwe i białe jak śnieg. Wspominam owe włosy z uczuciem grozy, podczas gdy niemal zapomniałem o cechach wielkiego barona de Halderschrodta.

Gdy schodziliśmy po czerwonym dywanie szerokich białych marmurowych schodów, nadal miałem wrażenie obcowania z osobą znaczącą. Postać doskonale ubranego i zakonserwowanego mężczyzny stojącego z jedną stopą na najniższym stopniu patrzyła w górę na nasze zejście. Tak mało o nim myślałem, że widok twarzy księcia de Merscha prawie nie przywołał żadnych emocji.

Zapłonął z rozochocenia.

– Ty – odezwał się.

Stała, spoglądając na niego z wysokości dwóch schodków, z krępującą biernością.

– Więc korzystasz ze wspólnych schodów – zdziwiła się. – Człowiek mógłby pomyśleć, że komunikowałeś się z tymi ludźmi przez prywatne drzwi.

Zaśmiała się niespokojnie, patrząc na mnie pytająco.

– Och, ja... – zacząłem.

Odsunęła się nieco na bok, by go przepuścić.

– Więc wszystko się ułożyło *là bas* – powiedziała, odnosząc się, jak przypuszczałem, do elekcyjnego wielkiego księstwa.

— Och, to było jak cud — odrzekł. — A ja wiele, bardzo wiele, zawdzięczam waszym wskazówkom...

— Musisz mi o tym opowiedzieć dzisiejszego wieczoru — zachęciła.

Twarz de Merscha miała niezwykłą właściwość, którą zdawałem się zauważać w wszystkich twarzach wokół mnie – właściwość ciała, które zdawało się tracić świetlistość, oczu, które na wieczność zdawały się wędrować w poszukiwaniu gruntu pod nogami, aby uniknąć widoku na świat. Kiedy rozjaśnił się, by jej odpowiedzieć, odniosłem wrażenie, że czyni to z trudem. Wydawało się, że w swym umyśle zawarł ciężar całego świata; dzieliłem z nim to doznanie bez zrozumienia. Ona sama, zachowująca się z pewną dozą nonszalancji, wydawała się jedyną osobą, na którą nic nie wywierało wpływu.

Gdy siedzieliśmy obok siebie w małym powozie, rzekła nagle:

— Widzisz, nadchodzą, by przeciąć więzy.

Odsunąłem się trochę, ale nie widziałem i nie chciałem widzieć. Tak powiedziałem. Wydawało mi się nawet, że de Mersch, który przewyciężył kłopoty *là bas*, zaczynał nowe życie.

— Już jakiś czas temu pomyślałem, że...

Koła powozu na bruku wąskiej uliczki zaczęły nagle potwornie grzechotać. Nie można było rozmawiać, więc zostałem ponownie zdany na siebie. Humor miałem fatalny, nastrój wprost odrażający. Nagły widok tego mężczyzny, sposób powitania go, intymność, którą ujawniła scena... wszystko mnie denerwowało. Ostatnio, mimo braku jakichkolwiek argumentów, odnosiłem wrażenie, że stanowią integralną część jej życia. Nie był to logiczny wniosek, ale nawyk umysłu, który wyrósł na pustce mej samotności.

Przeszliśmy przez jeden z większych bulwarów i zapadła cisza.

— Ten de Mersch się wycofał. — Nagle uzupełniła moje niedokończone zdanie. — Och, to tylko czcze narzekanie, tak mi się zdaje. Ale nie potrwa długo. Przykręciłam śrubę Halderschrodtowi... Przypuszczam, że popełni samobójstwo za dzień lub dwa. A potem... rozpocznie się zabawa.

Nie odpowiedziałem. Nie zrobiło to na mnie wrażenia – żadnego psychicznego wrażenia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tego popołudnia posprzeczailiśmy się po raz pierwszy, a wieczorem po raz drugi. Pamięć o pierwszej kłótni nieco się zatarła. Sprawy przybrały tak szybki obrót, że choć staram się, nie umiem uporządkować ich w żaden logiczny ciąg. Nie potrafię nawet zbyt wyraźnie przypomnieć sobie tego, co mi powiedziała. Musiałem ganić ją zaciekle w sprawie de Merscha, oświadczając, że tak długo, jak nosi moje nazwisko, nie pozwolę jej widywać się z tym mężczyzną. Opowiadała mi także o rzeczach obrzydliwych: o tym, jak usidliła Halderschrodta i naciskała na niego. Halderschrodt był bankierem de Merscha, jego upadek oznaczałby upadek de Merscha i tak dalej. „I tak dalej” w tym przypadku oznaczało znacznie więcej. Halderschrodt najwyraźniej był „człowiekiem, który coś knuł”, jak głosił amerykański dziennik, to znaczy w powiązaniu z firmami, które reprezentował Halderschrodt. Nie pamiętam szczegółów. Były zbyt skomplikowane i niezrozumiałe, a ja czułem się zanadto poruszony czynnikiem ludzkim, który reprezentowałem w tej sprawie. Wydawało się, że upadek Halderschrodta oznaczałby niewiarygodnie tragiczny Czarny Poniedziałek – straszliwą rzecz w obecnym stanie zaufania publicznego, co jednak nie miało dla mnie większego znaczenia. Przypomniałem sobie: powiedziała, że mogła przykręcić mu śrubę.

Halderschrodt, jak może pamiętacie, był trzecim potomkiem wśród nosicieli tego wielkiego nazwiska, człowiekiem bez nadzwyczajnego geniuszu, świadomym jego braku, lecz mającym obsesję na punkcie przeprowadzenia jakiegoś olbrzymiego zamachu stanu, jak założyciel dynastii, który w międzynarodowym zdarzeniu grał główną rolę. Ta myśl była jego słabością, wadą umysłu, a ona wykorzystała tę słabość. Nie pamiętam niestety szczegółów, nawet jeśli je kiedyś znałem. Zajmowali się zapewne rewolucją dynastyczną, rewolucją, która miała wywołać kryzys na całym świecie, i która została wymyślona w naszym Salonie. Sądzę, że sprzeniewierzyła się przedsięwzięciu, zdradziła go, a konsekwencje nie nastąpiły, zaś Halderschrodt i cała reszta zostali na lodzie.

Cała sprawa pozostawała głęboko ukryta, jak podziemne wody, które nigdy nie wypłynęły na wierzch, jak ruchome piaski, z których mogli wyczołgać się tylko ci, którzy potrafią trzymać głowy na powierzchni.

— A my... mamy głowy na powierzchni — powiedziała.

Nie można było jej słuchać bez drżenia grozy. Dla mnie Halderschrodt był symbolem stałości. Wspaniałe nazwisko i osoba, którą przed chwilą widziałem, osoba, której umysł zbliżał się niemal do królewskiego i która posiadała część boskości właściwej monarchom. Wyobrażenie sobie jego haniebnego upadku przerażało, przerażało tak, jakby wskazała jakiegoś wielkiego człowieka i powiedziała: „Ten człowiek umrze za pięć minut”. Tak niemal rzekła o Halderschrodzie... Mężczyzna zasalutował jej niczym idący na śmierć, a oziębły ukłon, który widziałem, zdawał się jego pozdrowieniem.

Byłem tak poruszony, że ledwie zauważyłem, gdy Gurnard wszedł do pokoju. Nie widziałem go od tamtego wieczoru, kiedy jadł kolację z księciem de Mersch u Churchilla, ale wydawał się częścią wspomnienia; bezszelestnie wśliznął się i prawie mnie nie zaskoczył. Wezwano mnie z pokoju – ktoś chciał się ze mną zobaczyć, ja zaś przeszedłem zupełnie na to niegotowy obok całkowicie obcego człowieka. Człowieka, który pozostaje dla mnie głosem.

Zaczął rozmawiać ze mną o stanie zdrowia mojej ciotki. Powiedział, że gaśnie, błagał, bym użył wpływów, by zabrać ją z powrotem do Londynu w celu konsultacji z sir Jamesem. Może ktoś przebywający akurat w domu, lecz nieznający ciotki od bardzo dawna, mógł nie widzieć, ale on... był jej prawnikiem. Miał przy tym zupełną rację, ciotka gasła, zmieniła się wyraźnie przez kilka godzin mojej nieobecności. Prowadziła interesy z tym człowiekiem, poznała pana Gurnarda i w jakiś sposób doświadczyła szoku, który pozbawiał ją wszelkiej woli. Siedziała z odchyłoną do tyłu głową, z zamkniętymi oczami, a wszystkie linie jej twarzy zdawały się sphywać w dół.

— Jest dla mnie oczywiste, że należy dokonać ustaleń dotyczących pańskiego powrotu do Anglii — oznajmił prawnik — niezależnie od tego, jakie zobowiązania może podjąć panna Granger, pan Etchingham Granger, a nawet pan Gurnard.

Zastanawiałem się, co ten diabeł, pan Gurnard, może wiedzieć o sprawie, lecz wówczas panna Granger weszła do pokoju.

— Chcą mnie... — zaczęła ciotka cichym głosem. — Przekonywali mnie... by wrócić... do Etchingham. Tak mówił, zdaje się, pan Meredith.

Uświadomiłem sobie, że pragnę wrócić do Anglii. Bardzo tego chciałem, chciałem się stąd wydostać, pojechać gdzieś, gdzie istniały stabilność i rzeczy, które można zrozumieć. Wszystko tutaj wydawało się spowite we mgłę, a ziemia drżała mi pod stopami.

— Naturalnie — zawyrokowała panna Granger. — Możemy wyjechać choćby jutro, jeśli ciocia tylko chce.

Wokół wyjazdu natychmiast rozgorzała dyskusja, a sprawy powróciły na właściwe tory. Mnie kazano odprowadzić prawnika aż do łoża portierów. Był to długi spacer.

— Mógłbym się na coś przydać, przy takich pospiesznych wyjazdach trzeba załatwić mnóstwo spraw. Ale zrozumie pan, panie Etchingham, w takim czasie nie mogę pozwolić sobie, by zostać ani chwili dłużej. Zdziwiłby się pan, jak wiele dodatkowej pracy mi to przysparza i jak daleko sięga ta katastrofa. Ludzie zachowują się, jakby zmysły stracili, nawet mnie to dziwi.

— Nie miałem pojęcia — rzekłem.

— Oczywiście, że nie. Oczywiście, że nie — nikt nie miał. Ale, o ile się nie mylę, będzie trzeba przeprowadzić dochodzenie. Dla ludzi, którzy nie mają z tym nic wspólnego, to wielkie szczęście...

Zrozumiałem, że wszystko układało się źle, zarówno tu, jak i tam toczyły się rozgrywki, a na zmiany na najwyższych stanowiskach kładziono ogromny nacisk. Widziałem, jak ten człowiek wsiadł do swego powozu. Idąc powoli przez dziedziniec, rozmyślałem o roli, którą miałem wypełnić podczas emigracji, zastanawiając się, jak odległe wydarzenia zmusiły mnie do zajęcia się sprawami rodzinnymi.

Zauważyłem, że moją niewypowiedzianą funkcję stanowi nadzorowanie opieki pielęgniarskiej licznie wynajętej służby, co nadawać miało rys osobistej troski bezdusznej kurateli. Oczekiwano, że to ja poprawię pled po opiekunce, która podróżowała w przedziale.

Zadziwiająco, jak dobrze zorganizowano przeprowadzkę. Dało mi to jeszcze lepsze pojęcie o kobiecie, którą była moja ciotka, niż panika jej

adwokata. Sprawa przebiegła równie gładko, jak zniknięcie karawany cygańskiej, która obozowała nocą na wrzosowisku pod krzakami janowca. Tej nocy wyszliśmy na bal z domu, którego korzenie wrastały głęboko w twardą skałę, a rano już nas nie było.

Sam bal stanowił końcowy akcent – domknięcie spraw mojej siostry i zarazem utratę mojej cierpliwości. Spędziłem wieczystą noc, jeden z tych wieczorów, które nigdy się nie kończą i które pozostają w pamięci wciąż boleśnie żywe. Zdawało mi się, że stoję w blasku światła, obserwując przez przesuwającą się taflę lśniącej sukienki ją i księcia de Mersch. Nie wiem, czy to było naprawdę widoczne, ale odniosłem wrażenie, że wszyscy musieli to zauważyć. Roilem sobie, iż widziałem skryte za wachlarzami kobiety, które uśmiechają się, a mężczyźni odpowiadają dyskretnie z oczami utkwionymi w podłozie. Zgromadzenie było mieszane. Towarzystwo wypełniało zobowiązania społeczne, a plotkarze zdawali się spragnieni sensacji. To nie ten rodzaj lekceważenia, którego nienawidziłem, ale fakt, że ich relacje, dzięki swojej zauważalności, uczyniły mnie obiektem powszechnego zainteresowania, podczas gdy sama informacja potwierdziła moje własne obawy. Chowałem się po kątach, paląc ze wstydu, czym zwracałem na siebie uwagę.

Kryzys nastąpił późnym wieczorem. Był jak zimowy ogród, jak szklarnia pełna gigantycznych palm rozciągających się w mroku intensywnego cienia. Kręciłem się wśród wielkich, metalicznych liści, klnąc pod nosem i w furii nerwowej irytacji drząc jak koń męczony przez głupiego, bezlitosnego jeźdźcem. Sterczałem chwilę w najwęższej ścieżce, czując muśnięcia kolczastych liści na dłoni i twarzy. Przedemną rozpościerał się widok na jedną z dłuższych alejek, a gdy tam wkroczyłem, z wielką niebieską wstęgą przecinającą jego klatkę piersiową minął mnie de Mersch w towarzystwie dziewczyny uwieszanej jego ramienia. Sam księżę prawie się nie liczył. Roztaczał jakiś blask, ale przyćmiła go luna jej dionizyjskiej poświaty. W tej postaci było coś przytłaczającego, w żarze oczu, w blasku loków, w sposobie trzymania głowy. Miała na sobie sukienkę z początku dziewiętnastego wieku, spływającą nisko od talii delikatnymi fałdami, które nadawały jej charakteru subtelnego dostojności, przy jednocześnie dziewczym rysie o niemal przejmującej

intensywności. Poruszała się z gracją, stawiając długie kroki triumfującej Diany.

To było gorsze, niż stać tam wyczekująco z czarną tęsknotą niczym rasowy podglądacz, mając świadomość całkowitej porażki.

Potem Gurnard wynurzył się z oddali, krocząc bezmyślnie długim, odpychającym korytarzem, niczym złowieszcza postać przywodząca na myśl ciszę nadciągającego lotu sępa. Na granicy pola widzenia spostrzegłem, że wyprzedził ich, a po braku wstępnego powitania, co sugerowało najwyższą zażyłość, szedł obok. Stałem na kilka chwil – na kilka minut – a potem pośpieszyłem za nimi. Chciałem coś zrobić. Po pewnym czasie zauważyłem, że de Mersch i Gurnard stoją naprzeciw siebie w drzwiach; Gurnard, mała, ciemna, stateczna postać i de Mersch, nieporęczny, przytłaczający, pełen blasku, z rozkraczonymi nogami, zamaszycie gestykujący. Podeszedłem do nich z boku i sterczałem natarczywie przy łokciu księcia.

– Chcę... – zacząłem. – Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby poświęcił mi pan minutę, *monsieur*.

Byłem świadomy, że mówię trzęsącym się głosem, jakby uwiązał mi w gardle. Nie wiedziałem, jak mam postępować, lecz przepełniało mnie poczucie spokoju i samokontroli. Wierzyłem, że dam radę.

Zatrzymali się w milczeniu. Gurnard otaksował mnie spojrzeniem, patrząc krytycznie zza swego szklanego monokla. Wziąłem de Merscha na stronę, w samotność gałązek palmowych, i zacząłem mówić, nim zdążył zapytać, o co chodzi.

– Musisz zrozumieć, że nie wtrącałbym się, gdybym nie miał powodu – mówiłem, kiedy przerwał mi, odzywając się głośno.

– Och, rozumiem, mój kochany Granger, że...

– Chodzi o moją siostrę – wyjaśniłem. – Posunąłeś się za daleko. Muszę cię prosić, jako dżentelmen, o zaprzestanie jej prześladowania.

Odpowiedział:

– Do diabła! A jeśli nie przestanę?

W jego głosie i zachowaniu widać było, że ten człowiek jest trochę *gris*²⁴.

– Jeśli nie, to zabronię jej się z tobą widywać i...

— Ach, ach! — powtórzył tym samym tonem, którym wcześniej wołał „Och, och!”

— Ona nie jest twoją przyjaciółką — usiłowałem kontynuować. — Pogrywa z tobą dla własnych celów. Będziesz...

Kołysał się trochę na nogach, mówiąc:

— *Bravo... bravissimo*. Jeśli nie możemy mu zabronić, przestraszymy go. Dalej, mój drogi kolego... No śmiało...

Spojrzałem na jego wielkie cielsko. W mej głowie pojawiło się mgliste pragnienie, iż chcę, by mnie uderzył, co dałoby mi wymówkę, by gwałtownie zakończyć scenę, z hukiem i okrzykami furii.

— Absolutnie nie chcesz zwracać na siebie uwagi, prawda? — zapytałem.

— Och, absolutnie nie — odpowiedział.

— Wiesz, że mogę coś zrobić, że mogę cię stąd wywalić. — Miałem niejasne przeczucie, że mogę, że liczba małych rzeczy, które jestem w stanie uczynić, aby go zdyskredytować wraz z falą mojej nienawiści, są w stanie złożyć się w jedną, pogardliwą całość.

Roześmiał się wysokim, histerycznym śmiechem. Świt blednął nad nami, lśniąc żałośnie przez oszklony dach palmiarni. Opatuleni ludzie zmierzający do wyjścia mijali nas.

— Możesz sobie pójść... — zaczął, ale wyraz jego twarzy nagle się zmienił. Panna Granger, okutana jak cała reszta świata, wychodziła z wewnętrznych drzwi. — Mieliśmy uroczę... — zaczął.

Delikatnie dotknęła mego ramienia.

— Chodź, Arthurze — powiedziała do mnie, a potem do niego: — Słyszałeś wieści?

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Baron Halderschrodt popełnił samobójstwo — wyjaśniła. — Chodź, Arthurze.

Szliśmy powoli, ale de Mersch podążył za nim.

— Nie mówisz chyba poważnie...? — zaczął, łapiąc ją za ramię, tak że odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na niego. W jego oczach pojawiło się coś w rodzaju szaleńczego entuzjazmu, jakby miał nadzieję, że przez nieoczekiwaną wieść zdoła naprawić nieodwracalną katastrofę i nie pozostało mu nic, oprócz tych przerażonych, błagających oczu.

— *Monsieur de Sabran* powiedział mi — odpowiedziała. — Właśnie przybył po oględzinach. Poza tym możesz sam usłyszeć...

Do naszych uszu dotarły strzępki słów wypowiedzianych w grupie, która nas wyprzedzała. Bardzo stary człowiek z nosem, który prawie dotykał jego grubych warg, mówił do innego, podobnego sobie:

— Zastrzelił się... W lewą skroń... *Mon Dieu!*

De Mersch szedł powoli długim korytarzem z daleka od nas. W jego chodzie była niezwykła sztywność, jakby próbował naśladować marszowy krok z czasów Gwardii Pruskiej. Moja towarzyszka troszczyła się o niego, próbując ocenić zasięg jego rozpaczy.

— Myślisz, że to Habet, prawda? — zapytała.

Zdawało mi się, że widzieliśmy go ostatniego, jak przed świtem, gdy czekaliśmy, aż otworzą bramę, w długiej ulicy słychać było wściekły stukot kopyt, a jego karetą zrównała się z naszą. Chwilę później de Mersch pukał do naszego okna.

— Będziesz... będziesz... — wydusił. — Porozmawiasz z... panem Gurnardem. To nasza jedyna szansa... teraz. — Jego głos zmieszał się z zimnym powietrzem poranka. Zadrzałem. — Masz tyle władzy... nad nim i...

— Och, ależ ja... — zaczęła.

— Trzeba iść naprzód — powtórzył — albo... — przerwał. Wielkie wrota przed nami bezszelestnie otworzyły się i ujrzałem dziedziniec. Światło stawało się coraz silniejsze. Nie odpowiedziała.

— Mówię ci — ciągnął natarczywie — jeśli rząd brytyjski porzuci moją kolej, wszystkie plany...

— Och, nie porzuci — powiedziała z lekkim naciskiem na ten czasownik. Wycofał się poza zasięg kół, a my obróciliśmy się i zostawiliśmy go tak sterczącego.

W wielkiej sali, w której zwykle zasiadali politycy, stał stół zastawiony żywnością i oświetlony parą świec w wysokich srebrnych świecznikach. Byłem świadom niesamowitego głodu i gwałtownego podniecenia, które sprawiły, że myśl o śnie zdawała się duchem przeszłości.

Zacząłem jeść, nieświadomie spacerując. Stała przy stole w blasku przejrzystego światła. Blade niebieskie linie odbijały się w wysokich

oknach. Było bardzo zimno i okropnie późno, niekończące się godziny, które wciąż wybrzmiewają, gdy tyka zegar, lecz czas ustaje.

— Rozumiesz? — zapytała nagle.

— Och, rozumiem — odparłem. — A co... teraz?

— Teraz prawie skończyliśmy.

Poczułem, jak coś ze mnie uchodzi. Nigdy nie patrzyłem na nią w ten sposób, nigdy tak naprawdę nie patrzyłem jej w twarz. Tak bardzo przyzwyczailem się do tego, że ma wypełnić całą resztę mego życia, tak bardzo przyzwyczailem się, że jestem integralną częścią jej życia...

— Ale ja... — zacząłem. — Co ze mną? Kim się stanę?

Stała, wpatrując się przed długi czas w ziemię. W końcu odezwała się niskim monotonnym tonem:

— Och, musisz spróbować zapomnieć.

Nowa idea zalsniła przytłaczająco. Byłem lekkomyślny.

— Ty... coraz bardziej się wahasz — drwiłem. — Nie jesteś już taka pewna siebie, taka wyrachowana. Zauważyłem w tobie zmianę. W mojej duszy...

Jej oczy rozszerzyły się nagle, lecz szybko znów zmały. Nic odpowiedziała. Doświadczałem dręczącego bólu, bólu powracającego życia. Odchodziła. Powinienem zostać sam. Przyszłość znów zaczęła istnieć, wynurzając się jak naczynie przez gęstą mgłę, cichą, fantazmatyczną, przytłaczającą – ohydną przyszłość nieodwracalnych wyrzutów sumienia, samotności, pragnienia.

— Wracasz do pracy z Churchillem — powiedziała nagle.

— Skąd wiedziałaś? — Brakowało mi tchu. Moja rozpacz znalazła ujście w nagłym postawieniu tego niematerialnego pytania.

— Zostaw listy. To... to będzie dla ciebie najlepsze.

— Nie będzie — odparłem z goryczą. — Nigdy już nie będzie tak samo. Nie chcę widzieć Churchilla. Chcę...

— Czego chcesz? — zapytała niskim monotonnym tonem.

— Ciebie — odpowiedziałem.

W końcu przemówiła bardzo powoli:

— Och, ależ ja zamierzam poślubić Gurnarda.

Nie wiem, co wtedy powiedziałem, ale pamiętam, że powtarzałem w kółko powracające się w myślach zdanie: „Nie możesz wyjść za Gurnarda,

nie wiesz, kim on jest. Nie możesz wyjść za Gurnarda, nie wiesz, kim on jest”. Nie sądzę, bym wiedział coś na temat zdyskredytowania Gurnarda, ale wtedy zdawało mi się, że wprost na mnie natarł. Uderzyło mnie to siłą swej sugestii bardziej niż jakikolwiek zestaw faktów mógłby to uczynić.

— Och, tylko że on... — zaczęła i zatrzymała się. — Wiem... — A potem nagle zaczęła mówić bardzo szybko:

— Nie widzisz? Nie widzisz? Nie wyjdę za mąż za Gurnarda przez wzgląd na to, kim jest w tym świecie, ale na to, kim jest w tamtym. To nie jest małżeństwo w twoim rozumieniu. A ty nie masz... z tym nic wspólnego, nie rozumiesz? Musimy się ze sobą połączyć, ponieważ... ponieważ...

Olśniło mnie.

— Wierzę — powiedziałem, bardzo powoli. — Wierzę, że... troszczysz się...

Nic nie powiedziała.

— Że ci zależy — powtórzyłem.

Odparła z energią, która miała w sobie coś z osaczenia:

— Myślisz, że tak? Myślisz, że mogłabym... że bym się odważyła? Nie rozumiesz? — zawahała się. — Ale potem... — dodała i milczała przez długą chwilę.

Poczułem pulsowanie tysiąca igieł w głowie, na skroniach.

— Och, tak, zależy mi — powiedziała powoli — ale to sprawia tylko, że jest jeszcze gorzej. Właśnie dlatego, że mi zależy. Tak. Twój widok jest dla mnie bolesny. Mogłabym... Lecz to mnie odwiedzie. Obrałam pewien kurs, a ty... Nie rozumiesz, że wpłynąłbyś na mnie. Byłbyś, jesteś dla mnie chorobą...

— Mógłbym zrobić wszystko.

Miałem tylko cień wyobrażenia tego, co mógłbym dla niej zrobić.

— Och, nie, nie wolno ci tak mówić. Nie rozumiesz... Nawet to oznaczałoby dla ciebie nieszczęście, czego bym nie zniosła. Nie widzisz? Nawet teraz, zanim wykonasz przydzielone ci zadanie, pragnęłabym... Och... Nie chcę... pozwolić ci odejść... ale nie mogę. Nie wolno mi. Musisz brnąć naprzód i wytrzymać jeszcze chwilę, a potem...

Gdzieś tam było napięcie, jakaś drżąca siła. Trząśłem się podniecenia, które przerosło moją zdolność wypowiedzi, co przekraczało możliwości

rozumu.

— Nie rozumiesz — zapytała ponownie — jesteś przeszłością, przemijaniem. Nigdy nie moglibyśmy ze sobą być. Jesteś... dla mnie... tylko portretem mężczyzny, człowieka, który był martwy przez... och, długi czas. A ja jestem dla ciebie tylko potencjałem... koncepcją... Starasz się mnie usidlić, uczynić realną.

— Ale — zacząłem. Pomysł był tak trudny do uchwycenia. — Będę... Musi być sposób.

— Nie — odpowiedziała. — Nie ma sposobu, musisz wrócić i spróbować. Churchill i to, na czym się opiera... On nie umrze, nawet nie będzie się martwił, że wypadł z gry. W każdym razie — nie bardzo. Musisz o mnie zapomnieć. Nie ma innej drogi, nie ma mostu. Nie możemy się spotykać, ty i ja...

Te słowa wzbudziły we mnie furję. Wściekły spacerowałem tam i z powrotem. Chciałem jej powiedzieć, że wszystko dla niej zostawię, zmiążdżę samego siebie, stanę się narzędziem bez życia, uczynię wszystko. Ale nie mogłem wyłuskać słów z kamienia, który zdawał się mnie przyciskać.

— Możesz nawet powiedzieć mu, jeśli chcesz, co uczynię z Gurnardem. Nie zrobi mi różnicy. Chciałabyś, by tak się stało, żeby móc walczyć, prawda? To wszystko, co mogę zrobić... dla ciebie.

Zacząłem mówić, jakbym nie odzywał się przez lata. Dom wydawał się budzić do życia, z zewnątrz dobiegały odgłosy otwieranych drzwi i rozmów.

— Uważam, że za bardzo przejmujesz się, chcąc mi wszystko wynagrodzić. Wierzę, że tak, i pragnę cię. — Nadal chodziłem nerwowo. Hałas powracającego dnia rozlegał się przerażająco głośno. Jakbym się spieszył, jakbym musiał powiedzieć to, co miałem do powiedzenia, jakbym musiał podnieść głos, by usłyszeć go wśród zgiełku świata budzącego się do życia.

— Wierzę, że robisz... Wierzę, że robisz — powtarzałem raz za razem — i pragnę cię. — Mój głos wznosił się coraz wyżej.

Stała nieruchomo, nieprzenikniona biała postać, niczym cichy posąg grecki, harmonia opadających fałd ciężkich draperii, doskonale statyczna.

— Pragnę cię! — zawołałem. — Pragnę, pragnę, pragnę cię! — To było dla mnie nie do zniesienia.

— Och, uspokój się! — powiedziała w końcu. — Uspokój się! Gdybyś mnie pragnął, wiedziałbyś, że byłam tu przez cały ten czas. Tutaj. Teraz już za późno. Przez te wszystkie dni... Wszystkie...

— Ale...

Dotąd nikt nie otworzył wielkich okiennic, lecz światło świata zewnętrznego wpadło na nas.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Rozstaliśmy się następnego dnia w Londynie, właściwie nawet nie wiem, gdzie. Wydawała się częścią mojej istoty, stanowiła dla mnie niewiele więcej niż intelekt, praktycznie bez fizycznej osobowości. Nie pamiętam, gdzie straciłem ją z oczu.

W ponurym nastroju przejechałem z kraju do kraju, odwoziłem ciotkę do dużego domu stojącego na jednym z ponurych placów w pewnej dzielnicy, a potem rozstaliśmy się. Wciąż zdawało mi się, jakby nadal była przy mnie, jakbym musiał się tylko rozejrzeć, by na nią spojrzeć. Pozostała siłą napędową, jak łódź wypłynęła na staw młyński, poruszając się coraz wolniej. Tak długo byłem w cieniu tego wielkiego domu, zamknięty w mroku, że całe światło, ten płonący świat – a miało to miejsce czerwcowego dnia w Londynie – wydawały się nierealne i nie do zniesienia. Ponad nim płynęły powolne, zanikające minuty, przeszłość i przyszłość zaczęły istnieć. Czuję się tak, jakbym stał między nimi w szczelinie kruszących się skał.

Poruszałem się mechanicznie, szykowałem mieszkanie, wprowadzałem się i wychodziłem z ogromnego mauzoleum klubu w odrętwieniu. Nagle przypomniałem sobie, że o czymś myślałem, mówiła przecież o Churchill. Rankiem poprzedniego dnia dostałem od niego list. Kiedy go przeczytałem, Churchill i jego *Cromwell* zjawili się w moim umyśle niby absurdalne zjawy. Jeden równie nierealny, jak i drugi – niczym obce istoty. Wydawało mi się, że mijały mnie eony im podobnych... Należeli do przeszłości, jak miniony rok. Ich wspomnienie nie przyniosło nieprzyjemnych wrażeń, które z reguły przychodzą na myśl o niedawnych *temps jadis*²⁵, było bardziej jak smuga róży w szary wieczór. Przekazałem list, wyrzuciwszy go na wpół przeczytanego do śmieci. Zdawało mi się, że gdzieś istnieje przystań, do której dryfowałem.

Teraz powinienem znów zebrać wszystkie listy. Postanowiłem wytrwale pracować, aby uchwycić nici przeszłości i przywrócić je do życia, jak się to robi z topielcami. Z apatią zająłem się pracą. Pozostawała jeszcze sprawa do załatwienia dla mojej ciotki, która zabierze mnie do

Etchingham, coś związanego z zarządcą. Myśle, że starsza pani wpadła na pomysł wprowadzenia mnie na pozycję, którą – jak milcząco oczekiwała – powinienem zająć. Miałem pojechać, zobaczyć, jakie zaszły zmiany i zorganizować powrót ciotki. Byłem tak zmęczony, zwałłem się z nóg, a dzień miał przed sobą jeszcze tak wiele długich godzin, że instynktownie rozpoznałem, iż jeśli mam z tego wyjść o zdrowych zmysłach, muszę w dalszym ciągu męczyć się, póki nie padnę. Tego wieczoru udałem się do Etchingham. Wysłałem posłańca do domu Churchilla, czekając na pozytywną odpowiedź, a potem usnąłem jak zabity.

Znowu obudziłem się w świecie, w którym istniały zarządca ziemi i dwór. Miałem wrażenie, że odzyskałem siły na widok słonecznych promieni na trawnikach, łagodnych, złocących się murów długiego rzędu zabudowań, na dźwięk dzwonów, które cudownie słodko płynęły nad miękką murawą. Uczucie nie pochodziło z wnętrza przyszłego posiadacza majątku, ale z dogłębnej świadomości tego, co oznaczały te rzeczy. Wtedy go nie poznałem, ale później zrozumiałem. Na razie wystarczyło znów mieć siłę, aby postawić stopę na ziemi, zaczynając od pięty. Na ulicach miasteczka panował odświętny nastrój. Nie wywieszano co prawda flag, ale zdawało się, jakby oczekiwano jakiegoś ważnego wydarzenia.

Po zakończeniu wycieczki po domkach zarządca wyjaśnił, że w okolicy ma się odbyć święto – „pokaz drobiu z politycznym akcentem”, a ten „akcent” pod patronatem panny Churchill. Sam Churchill również miał przemawiać, a może nawet złożyć jakieś oświadczenie. W gospodzie zastałem znajomych mi reporterów z Londynu. Wyrazili radość na mój widok i przy obiedzie dali znać, „co się mówi” o wydarzeniach, które znałem aż za dobrze. Większość z nich miało minę niczym adwokat mojej ciotki, który zwykł mawiać: „Nawet ja nie zdawałem sobie sprawy...”, chociaż oni akurat nie musieli ukrywać zaskoczenia. „Nie można wiedzieć wszystkiego”. Mimo to z dowcipem rozprawiali o wszystkim, spierając się między sobą, jednak byli zaskakująco jednomyślni co do skutków, paniki i głosów domagających się oczyszczenia atmosfery. Niezwykłym zdawało się, że wielki de Mersch majaczył na horyzoncie. Zupełnie, jakby cały świat skupiał się na nim, jakby reprezentował ducha terażniejszości, który musi zostać oczyszczony przez spalenie, zanim wszystko wróci do normy. Wiedziałem, co reprezentuje... Ale tak to właśnie wyglądało.

To była część mojego programu, obecność na wystawie drobiu. Po przemówieniu miałem wrócić do domu z Churchilllem. Niezwykłe, lecz żywiłem poczucie obowiązku. Wyszedłem raczej późno z reporterem „Godziny”, który chciał mi wyświadczyć przysługę, wprowadzając bez opłaty – to był jego sposób na uprzyjemnienie sobie życia, ja zaś miałem reputację przyjaciela celebrytów. Niesamowitym było znaleźć się znowu w centrum tych spraw, spacerując po zatłoczonym, zielonym trawniku, otoczonym wysokimi drzewami oraz tu i ówdzie rozrzuconymi wesoło pasiastymi namiotami zwanymi markizami. Te twarze i stroje! Jeszcze przedwczoraj zdawały się tak odległe.

Były tam wszystkie wielkie damy ze świty panny Churchill, w sukniach z muślinu, szeleszczących, córki na wydaniu. Ciągłe słyszałem szczebiot głosów, zaś wieśniacy, ubrani buro, pozostawali niemi.

Jedna z tych wielkich dam obserwowała mnie, gdy stałem na środku otwartej przestrzeni, przyglądając mi się przez oprawione w skorupę żółwia okulary na końcu długiej rączki, którą na mnie skinęła.

– Jest pan wolny? – zapytała.

Pretendowała do roli osoby wpływowej w hrabstwie, tak jak moja ciotka, która niewątpliwie wiodła prym dzięki swojej działalności, decydowała, kto może ją odwiedzać, i podobnie, jak panna Churchill, zajmowała się polityką.

– Jeśli tak, mógłby mi pan towarzyszyć? Moja córka jest ze swoim młodzieńcem. Tak się to mówi?

Była wspaniałą damą, która mierzyła prawie sześć stóp wzrostu i którą można by nazwać tęgą, gdyby tylko ktoś się odważył.

– Muszę się poskarżyć – ciągnęła. – Muszę z kimś porozmawiać. O, tu, proszę, tędy. – Wskazała rączką swoich okularów klatkę z czarnymi kurami o lśniącym pierzu. – Sam pan widzi... Nawet o mnie nie wspomnieli! A zapewniam, że wiele trudu kosztowało mnie to. Przecież chodziło tylko o to, by dać przykład najemcy. Niebawem. Dają nagrodę jednemu z naszych najemców... To tak, jakby powiedzieć mu, że ma być dla mnie wzorem. No i nie dziwota, że ten kraj schodzi na psy. Zapewniam pana, że po śniadaniu zebrałam resztki z talerzy – jak zalecają hodowcy drobiu – i karmiłam je własnymi rękoma.

W hrabstwie takie rozmowy uchodziły za humorystyczne, a zaprawione irlandzkim smutkiem, również tak brzmiały.

— I to mi przypomina — ciągnęła dalej — że ten kraj schodzi na psy, podobnie jak mój mąż. Nigdzie go pan nie widział, prawda? Jest jednym z sędziów, o, dostanie mu się w sprawie moich orpingtonów. No więc każdego ranka po tym, jak tylko otworzy tę swoją gazetę, mówi, że... Ach, pan był w Paryżu, prawda? Ze swoją ciotką. Spotkał się pan z tym słynnym księciem de Mersch? — Spojrzała na mnie z rozbawieniem przez okulary. — Będę pana maglować — zapewniła. — To mój obowiązek, którego się ode mnie oczekuje. W imieniu hrabstwa mam przemawiać do kobiet, które się na tym nie znają. Więc proszę mi o nim opowiedzieć. Czy to on jest sprawcą całej tej hecy? Czy to przez niego ten człowiek popełnił samobójstwo? Tak mówią. Naprawdę był zamieszany w rojalistyczny spiszek? A ludzie, którzy teraz bankrutują wraz z nim, też byli zamieszani?

— Ja... naprawdę nie wiem — odparłem. — Jeśli pani tak twierdzi...

— Och, zapewniam, że mam rację — odpowiedziała. — Churchillowie — wiem, że jest pan ich przyjacielem — nie mają wierniejszego ode mnie sojusznika i byłabym szczęśliwa, mogąc zaprzeczyć tym plotkom. Ale to nie jest łatwe. Zapewniam pana, że robię, co mogę. Rozmawiam z najstraszliwymi ludźmi, zaprzeczam, że w ogóle pan Churchill mógłby być w to zamieszany. Wiadomo, że to niemożliwe, ale co robić? Powtarzałam wielokrotnie, choćby żonom sklepikarzy, a nawet i samym sklepikarzom, że pan Churchill jest mężem stanu i że jeśli upiera się, by wspierać budowę kolei tego okropnego człowieka, to znaczy, że leży to w interesie państwa. Mówię im, że...

Przerwała na chwilę, aby zaczerpnąć tchu, a następnie kontynuowała:

— Rozmawiałam dziś rano z pewnym człowiekiem, raczej inteligentnym i całkiem miłym. Mówię mu: „Nie widzi pan, mój drogi panie Tull, że to kwestia polityki międzynarodowej. Jeśli wielki książę nie dostanie pieniędzy na swoją kolej, wielki książę zostanie wykluczony ze swego — co on tam ma — księstwa? A to byłoby bardzo niebezpieczne, biorąc pod uwagę obecny stan rzeczy, a poza tym...”. Mężczyzna taktownie słuchał, ale widziałam, że nie był przekonany. No więc znów...: „Poza tym” — powiedziałam — „jest też kwestia samej Grenlandii. My, Anglicy, musimy ją przejąć... pręcej czy później. To dotyczy także pana. Ma pan

syna, który nie chce mieszkać w małym miasteczku, więc musi go pan wysłać za granicę – do niewielkiej stolicy. Cóż, Grenlandia to miejsce dla niego idealne”. Mężczyzna spojrział na mnie i prawie pokręcił głową z niedowierzaniem. „Pani wybaczy, ale nie” – powiedział. „Pan Churchill jest ponad tymi sztuczkami. Cóż, wiem o tym, bo dobrze go znam. Ale... tak czy inaczej, szanowna pani, nie można dotknąć smoły i nie sparzyć się, a przynajmniej ludzie będą myśleć, że tak się stało, to znaczy ci, którzy nie wiedzą, o co chodzi. Wszystkie obce kraje, wielkie księstwo i zdobycie Grenlandii, są ważne, ale tak naprawdę najważniejszą dla mnie rzeczą jest następująca sprawa. Mój sąsiad Slingsby miał trochę pieniędzy i zrobił prospekt. Wyglądało to bardzo dobrze, bardzo dobrze, i przyniósł go do mnie. Ja nie miałem z tym nic wspólnego, wszystko to pomysł Slingsby’ego. No cóż, teraz Slingsby jest bez grosza przy duszy, a jego żona, urodzona szlachcianka, też cienko przędzie. I mnie mogłoby to spotkać, gdyby – że tak powiem – Bóg nade mną nie czuwał. Cóż, Slingsby jest dobrym człowiekiem i przez całe życie ciężko pracował, a teraz okazuje się, że prospekt ten dotyczył kombinacji z de Merschem. »Fantastycznych planów»«, jak nazywa je gazeta, którą czytuję. Wiele z nich zaczęło się od de Merscha lub jego agentów. Po co? Ten de Mersch może sobie być najbogatszym człowiekiem na świecie i filantropem, ale co z moim sąsiadem? Jak to ma się do filantropii? A potem pojawia się pan Churchill i mówi tak: »Wszystko cudownie, ale ten sam pan Mersch jest wielkim księciem w tym czy innym miejscu i musimy go popierać, bo będą kłopoty z mocarstwami«. A co mnie obchodzą mocarstwa czy nawet Grenlandia, skoro Slingsby, człowiek, z którym paliłem fajkę każdego wieczoru, wylądował w przytułku? A w całym kraju są setki takich Slingsby’ów. Niby sam jest sobie winien. Ale był dobrym człowiekiem. Nawet ja byłem w szoku. Człowiek nie wie, co dzieje się we własnym miasteczku”. Zaraz, czy ja pana nie zanudzam?

Przez chwilę nie odpowiadałem.

– Ja... nie miałem pojęcia – odparłem. – Długo mnie nie było i nie zdawałem sobie sprawy z... nastrojów.

– Miał pan szczęście – odpowiedziała. – A my cierpieliśmy, daję słowo.

Wierzyłem, że musiała cierpieć. Trzeba było naprawdę wiele, by wywołać u niej narzekanie. Jej pełne kształty zwiotczały, gdy zamknęła powieki, wpatrując się w czubek parasolki, którym dotykała murawy. Siedzieliśmy na ogrodowych krzesłach w cieniu ogromnych wiązów. Z daleka słychać było odgłosy przygrywającej kapeli. Widziałem czerwone stroje muzyków prześwitujące spomiędzy białych sukienek.

— To nie było nawet najgorsze — powiedziała nagle, podnosząc oczy i wbijając wzrok w pnie drzew. — Ten człowiek czytał gazety i podzielił się ze mną swoimi przemyśleniami. „Ktoś musi zostać za to ukarany” — powiedział. „Musimy im pokazać, że nie można bratać się z takimi niegodziwcami, nie ponosząc żadnej kary. Nie twierdzą, że chodzi bądź kiedykolwiek chodziło o pana Churchilla. Znam go i mu ufam. Ale nie żyję sam na świecie, a inni tak właśnie o nim mówią. Cóż, gazety donoszą albo i nie, lecz — co jest jeszcze gorsze — on wcale nie dementuje tego. Mówi się, że ten człowiek jest nikczemnikiem i w Grenlandii kazał mordować czarnych. Churchill mówi, że należy ich chronić, tak właśnie mówi. Cóż, może i tak, ale w takim wypadku należałoby pomóc także Slingsby’emu, a tak się nie stało. Nie, droga pani, musimy najpierw uporządkować własne podwórko, zanim pomyślimy o mocarstwach lub miejscach takich jak Grenlandia. Jaki jest pożytek ze »zdrowej polityki«, o której mówi pan Churchill, jeśli nie możesz komuś powierzyć własnych pieniędzy i musisz żyć z kapitału? Jeśli nie możesz spać w nocy, zastanawiając się, czy jutro nie znajdziesz się czasem w przytułku, jak Slingsby? Pierwszym obowiązkiem ludzi na stanowisku pana Churchilla — tak to widzę — jest sprawienie, byśmy mieli zaufanie do interesów. Tego właśnie chcemy, nie Grenlandii. Tak wszyscy się czujemy i pani też, bo inaczej, szanowna pani, bo inaczej nie rozmawiałaby pani o tym z kimś takim jak ja. Bo ja, proszę wybaczyć, jestem, byłem i zawsze będę prawdziwym konserwatystą, więc jeśli chodzi o głosy, oddałbym wszystkie na pana Churchilla. Ale jest wielu, którzy by tego nie zrobili, wielu wierzy w insynuacje”.

Dama zatrzymała się i westchnęła szeroką pierśią.

— Cóż mogę rzec? — dodała. — Znam pana Churchilla i lubię go. Każdy, kto go zna, lubi go. Jestem mu oddana, proszę o tym pamiętać. Nie zajmuję się plotkami, jestem za „zdrową polityką”, jak Churchill. Ale, jak

powiedział ten człowiek: „Wielu wierzy w insynuacje”. Niemal chciałabym, żeby Churchill... Jednak rozumie pan, co miałam na myśli, mówiąc, że cierpieliśmy.

— Ach tak, rozumiem — przytaknąłem. Zaczynałem rozumieć. — A Churchill? Nie ma zamiaru się wycofać?

— A chciałby pan tego? — zapytała ostro. — Gdyby pan mógł, namawiałby go pan? — Jej ton brzmiał prowokacyjnie. — Jestem za „zdrową polityką” bez względu na cenę. Jego obowiązkiem jest nawet poświęcić się, jeśli zajdzie taka potrzeba.

— Zgadzam się z panią — odpowiedziałem. — Z całego serca.

Jej entuzjazm był zaraźliwy, lecz niepotrzebny.

— Och, przecież on zostanie — zaczęła ponownie po konsultacji z własną parasolką. — Usłyszysz go pan za chwilę. Dziś dzień oblężenia. Straci pan pokaz ciężkiej artylerii, jeśli pan tu ze mną zostanie. Robię to celowo, proszę poczekać, aż skończą. Wszyscy, dosłownie wszyscy, aż się trzęsą. Mój mąż będzie na mównicy – i trzęsie się razem z nimi. Taki już jest. Przez cały dzień i czasem o dziwnych porach w nocy rozmawiam z nim; rozmawiam z nim i uciszam go. Co dla niego znaczy opinia publiczna? To człowiek ze wsi, a nie z miasta – tego rodzaju rzeczy nie mają dla niego znaczenia. Tę sprawę powinni załatwić Żydzi w City. W nocy rozumiem wszystko, ale rano gazety zaprzepaszczają cały mój trud. Zaczyna mówić o swoim mandacie poselskim, który dla niego zdobyłam. Od lat jestem „głosem hrabstwa”. Cóż, wkrótce będzie to głos bez hrabstwa... A może nie? Stary porządek się zmienia, więc postanowiłam, że poczekam, aż starcy w perukach wymamrotają swoje przemówienia, a potem wyjdę środkowym wejściem i posłucham Churchilla z widocznymi oznakami aprobaty. Dziś wiele nie zdołała, minął już czas, kiedy takie przemówienie mogłoby zmienić przebieg wyborów... O, a tam stoi ów młodzieniec z Effie. Pora na nas.

Podniosła się i maszerowała z miną człowieka idącego na stos przez opuszczoną ruinę w kierunku młodego mężczyzny, który przechodził pod perkalową flagą na bramie.

— Wszystko w porządku, Willoughby — oznajmiła, gdy znaleźliśmy się u celu. — Znalazłam kogoś, kto będzie mi towarzyszył, możesz wrócić do Effie.

Opalony młody człowiek podziękował mi.

— Co za ulga, Granger — powiedział. — Nie rozumiem, czemu się zgodziłeś. Ja jestem zwerbowany, ale ty...

— Jest lepszy od ciebie — powiedziała jego przyszła teściowa. Płynęła powoli obok mnie z niemal heroiczną postawą matrony. — Widzi pan, jaka to doskonała okazja? Mój mąż jest zazdrosny.

Wspaniale było znów zobaczyć Churchilla, który stał tam samotnie, z niezłomnością chłopca pośród zgiewu oklasków. Nagle zrozumiałem, dlaczego go tak kocham, tego wysokiego, siwego mężczyznę z subtelnymi, niemal groteskowymi manierami. Zafascynował mnie czystą siłą malowniczości, niczym zapomniane średniowieczne miasto. Martwiłem się o niego jak o umierający obszar nad równinami. Nie chciałem, aby stracił choćby kawałek ze swej chwały, swej sławy. Chciał prowadzić „zdrową politykę” wobec tych wszystkich ludzi. Wstał i mówił łagodnie, przekonująco, bez stresu, emocji, bez gestykulacji innej niż od czasu do czasu drżenie ręki, w której trzymał okulary. Gdyby nie dreszcze, które przechodziły przez słuchaczy, nikt by nie odgadł, że to przemówienie bojowe. Myśleli o swoich Slingsbysach, a on starał się traktować ich jak ludzi racjonalnych.

Niesamowite było siedzieć tam w otoczeniu muru ludzi jednego typu, myślących tylko o powrocie. Wszyscy mieli świadomość, że nieznaną im siłą ciągnęła ich do przodu przez krawędź lodowca, w szczelinę. Chcieli wrócić, walczyli rozpaczliwie, by wrócić na swój sposób, który rozumieli i znali. Ciągnęli desperacko ciężką linę, ale to ona ciągnęła ich do przodu. Churchill stanął tam i powtórzył: „Tylko ja mam na to sposób – zdrową politykę”, a jego słowa przebiegną po całym kraju, padając na głuche uszy ogarniętej paniką masy, która nie mogła zrozumieć, jak istotny jest spokój w obliczu niebezpieczeństwa, a którego on oczekiwał jako czegoś nieprawdopodobnego. Na końcu zawołał mnie do małych drzwi z tyłu budynku. Wydawało się, że przemówienie wleciało mu z głowy znacznie szybciej niż mnie.

— Przyjechałeś — powiedział. — To dobrze, a więc... chodźmy nieco... na ubocze. Moja ciotka zabierze nas po drodze. — Położył rękę na moim ramieniu i szybko popchnął mnie jasną, szeroką ulicą. — Przykro mi, że przyszedłeś właśnie po to, ale... trzeba to zrobić.

W jego głosie było coś w rodzaju obojętności, brak jakiegokolwiek żywotności. Serce mi zamarło. To było tak, jakbym znajdował się u boku chorego, który nie zna swego stanu i nie wolno mu o nim powiedzieć, więc trzeba udawać, że samemu też nic się nie wie. Na ulicy uderzyły mnie zmiany, jakie w nim zaszły. Jakbym dostał w głowę obuchem. Podczas beznadziejnego poszukiwania światła jego szarość, dygot, dystans do otaczających go rzeczy powróciły.

— Wyglądasz na nieco sfatygowanego — powiedziałem. — Chyba nie powinniśmy rozmawiać o pracy. — Jego myśli wydawały się wracać z dużej odległości, z nieskończonych mil za horyzontem miękkich wzgórz tego dostatniego kraju. — Potrzebujesz odpoczynku — dodałem.

— Ja... och, nie — odpowiedział. — Nie mam czasu... do końca sesji. Odzwyczailem się od tego.

Zaczął energicznie mówić o *Cromwellu*. Dowody wyłoniły się z nieskończoności i wymagały uwagi. Istniała niezliczona ilość drobnych spraw, rzeczy do przepisania i poprawek. Nie mogłem się na nich skupić.

Nagle dotarło do mnie, że też należę do tego świata, że wróciłem do niego niczym zza grobu, że jemu winien jestem posłuszeństwo. Ona sama to rozpoznała, ona sama kazała mi powiedzieć, co przeciw niemu szykuję. To też obowiązek, a on był moim przyjacielem. Ale spotkanie twarzą w twarz stało się prawie niemożliwe. Niemożliwe było nawet ujęcie tego w słowa. Same pomysły wydawały się nie do przetłumaczenia, istne szaleństwo. Znalazłem się w pozycji, jaką zajmowałem na początku naszych stosunków: konieczności wyjaśnienia – powiedzmy, Persowi – zasad działania telegrafu. I nie potrafiłem sprostać zadaniu. Jednocześnie musiałem coś zrobić. Musiałem. Byłoby obrzydliwe, gdyby trzeba było żyć wiecznie samotnie ze świadomością tego rodzaju zdrady milczenia. Ale jak mogłem mu wytłumaczyć tak, by zrozumiał? Od jakiego zdania zacząć? Bez uderzania w struny apologetyczne, bez wstępu czy jak? Uświadomiłem sobie, że muszę się spieszyć. Rozglądał się po długiej, białej drodze za powozem, który miał nas zabrać.

— Mój drogi... — zacząłem. Musiał zauważyć zmianę w moim tonie i spojrział na mnie nagle z uniesionymi brwiami. — Wiesz, że moja siostra poślubi pana Gurnarda...

— Nie — odparł. — To znaczy... coś słyszałem. — Zaczął mi gratulować.

— Nie, nie — przerwałem mu pośpiesznie. — Nie o to chodzi. Ale wiedziałem, że Gurnard rozważa... Zamierza odciąć się od ciebie w sprawach publicznych.

Na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

— Mój drogi... — zaczął.

— Och, nie jestem pijany — powiedziałem z goryczą — ale byłem za kulisami od dłuższego czasu. I nie mogłem ... nie mogłem zostawić tego bez słowa...

Zatrzymał się na drodze i spojrzał na mnie.

— Tak, tak — powiedział. Śmiem twierdzić... Ale do czego to prowadzi?... Nawet gdybym mógł cię wysłuchać, nie mogę wyjść za kulisy. Pan Gurnard może różnić się ode mnie w pewnych rzeczach, ale nie rozumiesz?

Szedł powoli, lecz znów się zatrzymał.

— Lepiej zapomnijmy o tych sprawach. Oczywiście, że nie jesteś pijany, ale człowiek tak się martwi pewnymi sprawami...

Mówił bardzo łagodnie, jakby nie chciał mnie urazić tym zamknięciem drzwi. Wydawało się, że nagle zestarzał się i osiwił. W zakurzonej rzędzie żywoplotu była luka, więc przeszedł przez nią, ciągle rozmyślając. Po chwili znów na mnie spojrzał.

— Zapomniałem — powiedział. — Chciałem zasugerować, byśmy tu poczekali, jestem trochę zmęczony.

Usiadł na górnej belce i zamyślił się, oglądając swe okulary. Poszedłem do niego.

— Wiedziałem, że nie można słuchać... tego rodzaju rzeczy. Ale były powody. Czuję się zmuszony. Wybacz.

Spojrzał na mnie, jakby zapomniał o mojej obecności.

— Tak, tak — zapewnił — mam pewien... Nie mogę znaleźć właściwego wyrażenia, powiedzmy, że szanuję twoje słowa i motywy, ale widzisz, na przykład tacy moi koledzy... Nie mogłem do nich pójść... — Stracił wątek.

— Prawdę mówiąc — powiedziałem w nagłym przypiływie szczerości — to nie jest sprawa polityczna, ale osobista. Powiedziałem ci, ponieważ możliwe, że mogę ci pomóc osobiście i dlatego chciałem, abyś... walczył z całym siłą. — Użyłem jej własnych słów. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

— Dziękuję — rzekł. — Myślałem, że uważasz to za przegraną sprawę — dodał z odrobiną humoru, który był jak słoneczna godzina w zimowy dzień. Nie odpowiedziałem. Niedaleko drogi powóz panny Churchill zakręcił w polu widzenia, lśniąc w słońcu i wzniecając towarzyszącą mu chmurę pyłu, która przeleciała niczym dym przez lukę żywoplotu.

— Więc nie myślisz o mnie jako o polityku. — Churchill wydedukował z uśmiechem. — Lepiej nie mów tego mojej ciotce.

Wieczorem poszedłem z Churchillem do miasta. Nie miałem nic do załatwienia, ale nie chciałem myśleć. Pragnąłem być wśród ludzi, wśród tłumów, zostać oszołomiony, nic nie słyszeć poza zgiełkiem, doświadczyć zaślepienia blaskiem świateł.

W przedziale Churchilla znajdowało się mnóstwo ludzi, obok mnie siedzieli jakiś wojskowy i miejscowy poseł. Ich umysły zajmowały finansowe skandale, próbowali więc przekonać mnie do swych opinii. Zapewniłem, że nic nie wiem na ten temat, a oni zaczęli tym bardziej zabiegać o moje oświecenie.

— Wszystko wynika z tego, że chcieli chwycić wiele srok za jeden ogon — podsumował poseł. — Staromodne małe przedsiębiorstwa miały swoje wady, ale – proszę pamiętać – te gigantyczne trusty... Czyż nie tak, generale?

— Całkowicie się z panem zgadzam — odburknął generał — ale równocześnie...

Ich głosy przenikały się, nierozróżnialne, co było nawet kojące. Wydawało mi się, że słucham brzęczenia młocarki – monotennie powtarzających się dwóch dźwięków – wyższego i niższego. To, co widzialne, stało się zamglone, zespolone.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Do Londynu dotarliśmy późnym wieczorem, o zmierzchu letniego dnia. Hałas, pośpiech i krzątania przyjezdnych skierowały moje myśli na inny tor. Gdy tak stałem przed drzwiami wagonu, poczułem przyjazną dłoń na ramieniu.

— Proszę się tym zająć. — Przy moim uchu rozległ się głos Churchilla. — Proszę wydać odpowiednie polecenia kopistom.

— Jutro pójde do muzeum — odparłem. Były tam pewne dodatki do Życia Cromwella – wyciągi z broszur, których nie mieliśmy.

Minister skinął mi głową, spiesząc do swego powozu. Otworzył drzwiczki i odjechał.

Doskonale pamiętam jego wysoką, szczupłą sylwetkę, schyloną, gdy wchodził do karety, tak żałośnie samotną, żałośnie przygniecioną jakimś ciężarem. Doskonale pamiętam blask ścianek powozu odbijających mętne światła londyńskiego dworca, wyprostowanego woźnicę sztywno przywracającego do porządku konia, wyciągniętą chudą rękę, błysk bieli, gdy sięgała klamki. Było coś bardzo osobistego, typowego dla tego człowieka w ruchu ręki, w jej niepewnym wyciągnięciu, w delikatnym, na poły nieśmiałym i niemal bezcielesnym uchwycie. Radość z przyjaznego poklepania po ramieniu umiała mi kilka kolejnych minut samotności, jego ciężar na moim ciele dawał wytchnienie myślom. Obawiałem się, że moje bezcelowe ujawnienie tajemnic zaprzepaściło jego szacunek. Nic nie powiedział, nie dał po sobie poznać, ale bałem się. W wagonie kolejowym siedział daleko ode mnie, zagrzebany w dokumentach. Ale ten dotyk wystarczył, by przywrócić mi dobre samopoczucie, a nawet pozwalał na pewne domysły. Przynajmniej pokazał, że nie żywi wobec mnie żadnych pretensji, w przeciwnym razie by mnie nie dotknął. Może nawet był mi wdzięczny, nie przez wzgląd na pracę, ale mą życzliwość. Cokolwiek w nim wyczytałem, to był ostatni raz, kiedy go widziałem, ostatni, kiedy mnie dotknął. Tak bardzo go kochałem... Sprawy potoczyły się jednak zbyt szybko.

W umiarkowanie dobrym nastroju przeszedłem te kilka jardów, które oddzielały mnie od klubu. Bojąc się samotności, usiadłem przy stole, gdzie siedział już mały, łysy Anglik hinduskiego pochodzenia ze sztuczną szczęką, człowiek, który wprawiał mnie w napady nerwowej irytacji. Był moim bardzo dalekim wujem. Z reguły unikałem go, ale tego wieczoru postanowiłem zjeść z nim kolację. Był osobą o nieskończonej kolekcji mętnych wspomnień. Wieloletni pobyt wśród oparów indygo wpłynął na jego pamięć, czemu sprzyjały tylko sporadyczne wizyty w Anglii.

Opowiedział mi historie o moim biednym ojcu i mej drogiej matce, a także o panu Bromptonsie i pani Kenwards, którzy bywali u mych rodziców jeszcze w latach sześćdziesiątych.

— Twój biedny, drogi ojciec był wtedy w szczególnie ciężkiej sytuacji — powiedział. — Musiał walczyć o byt. Dla mnie też był to zły czas. Szkodniki zaatakowały wszystkie moje plantacje, więc nie mogłem nieszczęśnikowi pomóc. Z całym szacunkiem, ale sądzę, że Kenny Granger potraktował go bardzo źle. Mógł zrobić coś dla niego — miał możliwości, miał wpływy.

Kenny był moim wujem, głową rodziny, mężem ciotki.

— Byli skłóceni — powiedziałem.

— Wiem, wiem — wymamrotał staruszek — ale wciąż... dla swojego jedynego brata... Jednak ty radzisz sobie nieźle. Ciulasz grosz do grosza, co? Ktoś mi kiedyś powiedział — nie pamiętam, kto to był — że masz przed sobą przyszłość. No tak, przyszłość.

— To miłe ze strony tego kogoś — zapewniłem.

— A teraz widzę — ciągnął dalej, podnosząc egzemplarz porannej gazety, nad którą zastałem go żującego swój filet z łososia — teraz widzę, że twoja siostra wychodzi za męża za ministra. Ach! — Potrząsnął swoją tępą głową. — Pamiętam was oboje, jak byliście małymi szkrabami.

— Ale przecież chyba nie było jej jeszcze na świecie.

— Och, tak — potwierdził — to było, kiedy przyjechałem w 78. Pamiętała też, że przywiozłem jej lalkę z kości słoniowej.

— Widział ją wuj? — zapytałem.

— Och, odwiedziłem ją dwa lub trzy tygodnie, co ja mówię, miesiące temu. Jakby zdjąć skórę z twojej biednej, drogiej matki, gdy była w jej wieku. Powiedziałem o tym twojej ciotce, ale oczywiście nie pamiętała. Pobrali się dopiero po tej kłótni.

Nagły niepokój zmusił mnie do rezygnacji z letniego obiadu. Gdy powróciłem do świata, wróciła też rozpacz. Miałem problem – chciałem ją odzyskać. Kiedy straciłem z nią kontakt, stała się bardziej ideą niż człowiekiem, a teraz odwrotnie. Istniały dwa sposoby. Muszę starać się o jej rękę tak, jak stara się o rękę osoby niedostępnej, zmusić ją do ucieczki, porzucenia, odrzucenia wszystkiego, albo muszę udać się do niej jako odpowiedni konkurent mający udziały w majątku Etchinghamów, a co za tym idzie – perspektywy. Ten fantastyczny starzec ze swymi wspomnieniami zepsuł mi drugą opcję. Wcześniej czy później trzeba zdać sobie sprawę, że ziemianin nie może poślubić swojej rzekomej siostry bez skandalu. A tak bardzo jej pragnąłem.

Działała na mnie jak jakiś niewiarygodny środek pobudzający, z dala od niej byłem jak pijak, któremu zabrano trunek, jak opiumista bez narkotyku. Prawie nie istniałem. Ledwo myślałem.

Miałem coś do załatwienia w domu ciotki, dostarczyć jakieś polecenie, zapytać życzliwie o zdrowie, lecz tak naprawdę chciałem ją zobaczyć, zdobyć od niej jakieś informacje, wy badać teren, zapytać o warunki.

Nastąpiła zmiana w wyglądzie domu, zrobił się jaśniejszy, co wskazywało na polepszenie statusu rodziny. Siostry nie było. Czulem odrazę, że dokąś poszła, że mogłaby rozmawiać z kimkolwiek i w ogóle istnieć beze mnie. Szedłem ponuro przez ulicę w stronę skwerku. Kiedy skręciłem za róg, odwróciłem się. Patrzyłem przez ramię na front domu, zastanawiając się, które okno jest jej.

„Jak zakochany szczeniak, no dosłownie jak zakochany szczeniak” – wyrzucałem sobie. Moje poczucie humoru wracało. Rozpoczęła się pielgrzymka w poszukiwaniu towarzystwa.

Londyn zdawał się pustynią mniej bezludną, niż można to sobie wyobrazić. W te piękne letnie wieczory ulice były zatłoczone, żywe, tętniły krokami, trajkotały gwarem głosów i śmiechu. Nie dało się chodzić, nie deptać sobie po piętach. Można niemal oślepnąć od ciągłego mijania twarzy. To jak przebywanie na polu pszenicy z oczami utkwionymi w poszczególnych kłosach, których nie sposób rozróżnić. Ze swoją wzgardą dla tych wszystkich twarzy, tych wszystkich zadowolonych twarzy, czulem nad nimi intelektualną wyższość, wynosiłem się nad poziomy rozrzedzonego powietrza. A na dole bawili się oni. Ja lepiej

rozumiałem sens życia, a oni lepiej żyli. To mnie wtedy uderzyło – na Oxford Street. Panował tam świetny humor, absolutne lekceważenie drobnych niedogodności, niedogodności tłumu, ignorancja wobec faktu bycia jednostką. Była to poezja miękkiego światła, poezja letniego nocnego chłodu, a oni potrafili się z tego cieszyć. Pojawiłem się przy dawnym sądzie w pobliżu Bedford Row.

– Niech się dzieje wola Boża – powiedziałem. – Ja też się zabawię.

I zrobiłem to.

Poezja starych, opuszczonych dzielnic nagle do mnie dotarła. Wszystkie te małe, pospolite myśli, wszystkie typowe skojarzenia dla gregoriańskiego Londynu. Chwilowo przestałem się troszczyć o sens.

Szukałem Leiego – nie było go w domu. Dzielnica obfitowała w domy ludzi, których znałem, znakomitych młodych ludzi, którzy pisali dla gazet, którzy redagowali gazety, którzy projektowali afisze, którzy zawsze byli tacy sami. Człowiek zapomniał o nich na rok lub dwa, natknął się na nich ponownie, a oni nic się nie zmienili – wciąż pisali dla tych samych magazynów, ciągle redagowali, projektowali te same afisze. Byłem w nastroju, by na nowo zejść do ich mieszkań i spotkać się z tymi samymi doskonałymi żonami, które sporządzają uczciwe kopie tych samych rękopisów, z tą samą wesołością tej samej pośledniej whisky, brązowej, bladej lub podejrzanie wyglądającej, w ciężkich karafkach. Karafki z kryształu i ten sam pośledni tytoń z Wirginii w tych samych ilościach i tych samych puszkach.

Byłem w nastroju do odszukania tej równowagi, tego doskonałego artykułu pierwszej potrzeby, którym były ich poglądy na życie i literaturę. Chciałem to jeszcze raz zobaczyć, ponownie usłyszeć, jak wypełniają niezmiennie przydzielone kolumny dzienników, tygodników lub miesięczników. Chciałem znów odetchnąć tą łagodną atmosferą, w której nie ma już nadziei ani lęków. Ale niestety...!

Dzwoniłem dzwonkiem do dziwi ponurej, centralnej dzielnicy Londynu. Wiadomo, jak się to robi. Naciska się guzik pod nazwiskiem osoby, której się szuka – trzy albo może cztery razy na próżno. Dzwoni się do gospodyni, a dzwonek odbija się echem, coraz słabszy i słabszy, stopniowo stłumiony przez piwniczną atmosferę. Po jakimś czasie zza drzwi wychylają się głowy beznadziejnych reliktyw przeszłości, jakiejś

wczesnowiktoriańskiej wdowy czy sieroty w nieprawdopodobnym wieku. Pyta się o pana takiego a takiego, jest poza domem. Williams spodziewa się rozrostu rodziny i udał się wraz z *madame* na wieś. A Waring? Poszedł nie wiadomo gdzie. A Johnson, który mieszkał pod numerem 44, przyjeżdża do miasta tylko we wtorki.

Wyczerpałem wszelkie możliwości w tej części Bloomsbury, nagabując najróżniejsze typy gospodyń domowych. Reszta Londynu podzieliła się na strefy. Pomiędzy tą dzielnicą a Kensington ludziom, których znałem, nie można było składać wizyt po kolacji. Ci, którzy mieszkali w Chiswick i poza nim, żyli na końcu świata. Człowiek był związany konwenansami czasów.

Wybiła godzina dwudziesta druga, gdy stałem u progu drzwi Johnsona. Muszę się z kimś spotkać, muszę z kimś porozmawiać, zanim położę się spać w beznadziejnym pokoju w klubie. To prawda, że mogę znaleźć jakiegoś zagorzałego polityka w palarni, ale to ostatnia deska ratunku, desperacka i haniebna *pis aller*²⁶.

Był jeszcze Fox, powinienem go znaleźć w biurze. Ale musiałem zmienić ton, zanim mogłem spokojnie kontemplować spotkanie z taką osobistością. Przygotowywałem się do stawienia czoła wszystkim wybitnym pod względem etycznym młodym mężczyznom, a Fox był z etycznego punktu widzenia daleki od doskonałości, w średnim wieku, okrągłutki, sprytny, geniusz marnej konduity. Wprowadziłem konieczną zmianę w moim nastawieniu i szedłem na ziemię.

Pokój w stylu Watteau został dodatkowo ożywiony wprowadzeniem szkarłatnej, pluszowej sofy o wyszukanym wyglądzie. Obok niego stało kilka elektrycznych lamp. Jaskrawy odcień ich zieleni sprawił, że kolory pasterskich paneli ściennych jawiły się niemal nieziemsko, rzucając dziwaczne cienie. Wokół kanapy stały krzesła z ułożonymi na nich stosami papierów, na podłodze leżało ich jeszcze więcej, niczym jesienne liście, o których się śpiewa. Leżał tam Fox spowity pledem z Szetlandów – dobrym pledem, który był jedynym porządnym dziełem w tym rozdzierająco tandetnym miejscu. Fox był okrągły jak zawsze, ale jego rysy wyraźnie zaostrzyły się, a pod oczami pojawiły się wory, rzucając głęboki cień dzięki światłu, przy którym czytał. Wszedłem niezapowiedziany i

powitałem go obojętnym spojrzeniem, które przekształciło się w grymas zadowolenia, gdy dostrzegł mnie w przyćmionym świetle:

— Witaj, stary przyku — rzekł z rozpaczliwą żartobliwością. — Niezwykle się cieszę, że cię widzę. — Przerwał, by zaczerpnąć tchu. — Wykończony jestem — kontynuował. — Ta sama stara sprawa: lumbago. Zaczęło się zaraz po tym, jak przybyłem tu dziś po południu. Posłałem kogoś, żeby kupił mi kanapę i oto tkwię tu od tamtej pory. No i cóż. A co się tu sprowadza? Nie odpowiadaj, wiem wszystko. Muszę mówić, aż atak dobiegnie końca, bo inaczej będę krzyczał i przerwę Soane'owi pisanie wstępniaka. No więc, skoro już przyszedłeś, pomożesz mi zamknąć ten numer „Godziny”, prawda? A potem pomożesz mi się rozebrać i położyć.

Kontynuował w podobnym tonie, wyolbrzymiając humorystyczne akcenty z dość dzikim śmiechem. W końcu zatrzymał się z tłumionym „ach!” i głęboko westchnął.

— To już koniec — stwierdził. — Bądź tak uprzejmy i nalej mi kropelkę brandy.

Dałem mu kieliszek, a potem wyjaśniłem, że nie mogę pracować w „Godzinie”, nie pogodziłem się z de Merschem.

— Straciłeś na nim pieniądze? — zapytał wesoło.

Wyjaśniłem obszerniej, że chodziło o pewną kobietę.

— Och, no tak — powiedział Fox. — Ten człowiek jest głupcem... Ale de Mersch nie liczy się zbyt w tym spektaklu. Nie ma nawet pieniędzy, więc możesz schować dumę do kieszeni lub gdziekolwiek ją trzymasz. Już wszystko w porządku. No i cóż. To tylko mała zmiana.

— Ale wszyscy mówią... Sam powiedziałeś...

— To jasne — odrzekł. — Ale nie sądzisz chyba, że gram drugie skrzypce przy kanalii takiego kalibru, prawda?

Spojrzał na mnie z pewną powagą. Przypomniałem sobie, jak już kiedyś wspominałem, że Fox jest osobowością – potęgą. Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak całkowicie różni się od każdego człowieka, jakiego znałem. Był na tyle zaskakujący, że należał do innej rasy. Spojrzał na mnie nie tak, jakby zastanawiał się, czy oddałem mu należne mu pieniądze czy nie, ale jakby był zdumiony moim brakiem percepcji tego faktu. Położył rozczochraną głowę na pluszowych poduszkach.

— Możesz kopnąć go tak, że polecą stąd na Grenlandię — powiedział. — Nie będę po nim płakał. Odpowiada mi trzymanie go, a kopanie może przywrócić mu równowagę. Mam go dość i powiedziałem mu to. Wiedziałem, że jest jakaś kobieta. Ale nie martw się. Jestem z tobą...

— Jeśli tak jest... — zacząłem.

— Och, no i tyle — odpowiedział.

Pomogłem mu zamknąć numer, przejąłem część jego pracy. To wszystko było elementem powrotu do życia, niczym wkładanie zardzewiałej zbroi. Chciałem przeczekać noc. Byłem zresztą do tego przyzwyczajony. Fox miał kilka takich napadów w ciągu roku i podczas większości z nich pomagałem mu przez całą noc, dwa lub trzy razy. Kiedyś przez pięć nocy bez przerwy. Te dwie lub trzy dziwaczne godziny tamtej nocy dały mi jednak nowe wyobrażenie o Foxie. To było tak, jakbym nigdy wcześniej go nie widział. Ataki stawały się coraz bardziej zjadliwe wraz z nadejściem nocy. Jęczał, chichotał i mówił najbardziej zdumiewające rzeczy, bełkocząc i szarpiąc mi nerwy. U szczytu ataku śpiewał hymny, a potem, gdy minął, niesamowita jasność umysłu powróciła. Dało mi to, jak wspominałem, nowy wgląd w Foxa. Jakby przez cały czas, gdy go znałem, odgrywał rolę i to tylko teraz, w delirium bólu, w szaleństwie, w obłądnie pijaństwa, pojawiły się fragmenty prawdziwego człowieka, które wyszły na wierzch. W końcu zacząłem bać się samotności spędzonej z nim w martwych porannych godzinach, marząc, by móc położyć się spać wśród mało inspirujących marmurowych mebli mojego klubu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W południe następnego dnia odwiedziłem Foxa w jego mieszkaniu. Leżał rozciągnięty na sofie – było oczywiste, że w najbliższym czasie muszę przejąć wszystkie jego obowiązki. Powitał mnie słowami:

– Nie zapełniaj gazety tymi swoimi geniuszami, nie ma co się przepracowywać. Właściwie to nie masz zbyt wiele do roboty poza pilnowaniem, by temu małemu bydlakowi Evansowi nie przewróciło się do reszty w głowie. Chciałby się mnie pozbyć, myśli, że beze mnie doskonale da sobie radę.

Wyraziłem pogardę dla Evansa i pożegnałem się.

– Och, a tak w ogóle to... – zawołał za mną Fox. Odwróciłem się. – Poczta z Grenlandii powinna dziś dotrzeć. Jeśli Callan zamierza otworzyć swoje przeciwpowodziowe śluzę, to możesz dać ten materiał. To dobry facet, a sprawa jest ważna, zresztą sam wiesz.

– Jak mniemam, Soane powinien na to rzucić okiem? – zapytałem.

– Oczywiście – odpowiedział. – Ale powiedz mu, żeby ściśle trzymał się poleceń starego Calla. Wbij mu to do głowy. Gdyby się upił i dołożył jakieś swoje pomysły, napytałby sobie tylko biedy. Ludzie czekają na teksty Calla. Wiesz co? Zaproś go po prostu na obiad, dobrze? Miej na niego oko i wbij mu do łba, że musi trzymać się tego, co powie Callan.

– Soane jest tak samo marudny, jak zwykle? – zapytałem.

– Nie – odpowiedział Fox. – Będzie zadowolony, jeśli mu się wbije do głowy, co trzeba.

Przeszył go długi i ostry skurcz. Wezwałem służącego i wyszedłem, by mógł odpocząć.

W biurze „Godziny” zostałem powitany korektą tekstu Callana. Evans, siedzący po drugiej stronie pokoju, wręczył mi go na dzień dobry.

– Przypuszczam, że to musi wejść, więc przygotowałem tekst – oznajmił.

– Jasne, że musi wejść – zapewniłem. – Ale najpierw trzeba iść do Soane’a.

— Soane'a jeszcze nie ma — odpowiedział. W jego głosie wyczułem ton jadowniczej rozkoszy. Evans ucieszyłby się, gdyby wszystko skończyło się fiaskiem.

— No cóż — odparłem nonszalancko — mamy mnóstwo czasu. Niech pan zostawi miejsce w kolumnie. Wyślę kogoś, by upolował Soane'a.

Czułem, że muszę działać. Nie obchodził mnie zbytnio los gazety, ale żywiłem wyraźną antypatię do tego, co robił Evans — ten szalony Walińczyk, opętany uporem. Wiedziałem, co się wydarzy, wiedziałem, że Evans udawał skończonego idiotę, beznadziejnego głupka, jakiego można znaleźć jedynie wśród najbardziej prymitywnych przedstawicieli jego narodu. Czekał mnie dzień pełen drobnych zmartwień. W tych okolicznościach był to jednak dar z nieba. Takie sprawy odciągały moje myśli od większych problemów. Nie ma czasu na rozmyślanie, gdy galopuje się na narowistym ogierze. Evans był świadom, że nie bardzo znam się na szczegółach technicznych. Przez cały dzień nie pozwalał mi o nich zapomnieć.

W wolnych chwilach próbowałem przeczytać artykuł Callana. Okazało się to niemożliwe. Zaczynał się opisem nędznego życia Grenlandczyków i zawierał tandetne fragmenty mające opiewać lokalny koloryt. Wiedziałem, co będzie dalej. Tak wyglądali Grenlandczycy przed czasami de Merscha, który w stylu Callana został odmalowany na podobieństwo specjalnego komisarza, by podkreślić chwałę i cnotę jego dzieła odnowy. Następnie, w potoku superlatyw, opisane zostało samo dzieło. Wiedziałem doskonale, co znajdę dalej i dosłownie nie byłem w stanie przeczytać więcej niż pierwsze dziesięć linijek.

Wszystko szło nie tak. Drukarze wpadli w nagły szal zadawania idiotycznych pytań. Do Evansa przychodzili posłańcy, a ten wysyłał ich do mnie.

— Pan Jackson chce wiedzieć...

Czwarty z posłańców, których wysłałem do Soane'a, wrócił z wiadomością, że ten przybędzie o wpół do dziewiątej. Zamówiłem najmocniejszą kawę, jaką można dostać w tym mieście.

Soane przyszedł, twierdząc, że jest chory, bardzo chory. Pragnął pokrzepić się szampanem. Kazałem podać kawę.

Człowiek ten był synem irlandzkiego lorda. Miał doskonałe rysy – trochę już przywidłe – i w ogóle wspaniałe maniery. Jego nos stanowił cud klasycznej rzeźby, ale powódzie czasu poczerwieniły i splamiły go – nie nachalnie, lecz ironicznie, jego włosy zrobiły się szare, oczy miał przekrwione, a ciężkie wąsy nierówne. Emanował szacunkiem, jaki odczuwa człowiek, który żyje i nie przejmuje się kłębą. Jawił się jako nietypowy geniusz z przypadku, co sprawiało, że w oczach Foxa warto było mu wybaczyć pewne braki.

Wypiłem kawę i wskazałem kanapę, na której siedziałem poprzedniej nocy.

– Cholera – powiedział. – Jestem chory, mówię ci. Chcę...

– Rozumiem! – wtrąciłem. – Chcesz odpocząć, przyjacielu. Oto artykuł Calla. Chcemy czegoś specjalnego. Jeśli nie czujesz się na siłach, pošę po Jenkinsa.

– Cholerny Jenkins – powiedział – Jestem gotowy.

– Rozumiesz – powiedziałem – masz pisać wyłącznie w kolumnie Callana. Nie wstawiaj żadnych informacji z zewnętrznych źródeł. I rób to tak, jak chcesz, byleś trzymał się kolumny.

Chrząknął z rezygnacją. Zostawiłem go leżącego na kanapie, pijącego kawę. Zapaliłem mu światło, tak jak wcześniej Foxowi. Kiedy wychodziłem na obiad, zdawało mi się, że dobrze znam tego człowieka pochylającego zamglone oczy i filozoficznie rozmyślającego nad naturą rzeczy.

Kiedy wróciłem, Soane ze swej sofj powiedział coś, czego nie zrozumiałem – coś o Callanie i jego artykule.

– Och, na miłość boską, nie denerwuj mnie! Napij się jeszcze kawy i trzymaj wytycznych Calla. Tak powiedział Fox. Nie ja za to odpowiadam.

– Diabelsko dziwne – mruknął Soane. Zaczął pisać ołówkiem. Z tonu jego głosu wiedziałem, że osiągnął etap, w którym można oczekiwać czegoś wspaniałego, naprawdę niezwykłego.

Bardzo późno Soane zakończył wstępniak. Podniósł wzrok, kiedy postawił ostatnie słowo.

– Mam to napisane – powiedział. – Ale... co u diabła jest nie tak? Jak zegar z pękniętą sprężyną.

Zadzwoiłem, żeby ktoś zabrał kopię.

— Twoja metafora jest dla mnie za mądra, Soane — zauważyłem.

— Tak jest właściwe za każdym razem, gdy nazywasz mnie sprężyną. Zostałem nakręcony, żeby pisać o starym de Merschu i jego Grenlandii. Marne to były czasy, mówię ci. A potem nagle...

Pojawił się chłopiec i zabrał egzemplarz.

— Nagle — kontynuował Soane — coś zostało... Przypuszczam, że coś się wydarzyło i zrobił się brzęęęęęęę, ręce opadają, stary de Mersch i Grenlandczycy podskakują na dnie, jak ciężary.

Huk wielkich pras odbijał się od ram okiennic. Soane wstał i podeszedł do jednej z szafek.

— Bezsensowna praca — powiedział. — Ale porównanie właściwe, prawda?

Zrobiłem jeden szybki krok w kierunku dzwonka obok biurka. Dowód z artykułu Callana, o którym pisał Soane, leżał pognieciony na brązowym biurku Foxa. Podeszedłem do niego. Kiedy wyciągnąłem rękę, rozwiązanie wpadło mi do głowy, nie czyniąc hałasu większego niż kula pistoletu, lecz niosąc z sobą ból i niedowierzenie.

Przypomniałem sobie poranek w Paryżu, kiedy powiedziała mi, że zachęciła jednego z poruczników de Merscha, by go zdradził, nie ukrywając przed Callanem prawdziwych okropności *Système de Groënlandais* – bitych, masakrowanych, nieszczęśliwych tubylców, głodu, problemów, chorób i zbrodni. Nagle przed moimi oczami pojawił się wysoki, wąski pokój w domu ciotki, otwarte drzwi i bramy, a potem wizyta niestrudzonego gubernatora prowincji – mężczyzny, który miał pokazać wszystko Callanowi, z tym jego drażniącym: *C'est entendu*²⁷...

Przypomniałem sobie wyraźnie tę scenę; jej słowa, jej wygląd i moją zupełną niewiarę. Przypomniałem sobie także, że nie uchroniło mnie to przed chwilowym poczuciem buntu przeciwko tej nieugiętej intencji zdrady, która miała być kolejnym krokiem ku odziedziczeniu Ziemi. Odrzuciłem ideę, lecz sama się zjawiała. Stałem twarzą w twarz przed jej wszystkimi znaczeniami i konsekwencjami. Callanowi pokazano rzeczy, których nie widział, więc napisał prawdę tak, jak ją rozumiał. Jego artykuł był niewielki sam w sobie, ale wysłano go z ogromnym rozmachem ryku trąb de Merscha. Był człowiekiem, któremu można uwierzyć. Zwolennicy de Merscha mawiali praktycznie: „Jeśli nas potępi, będziemy potępieni”.

A teraz, gdy przyszło potępienie, oznaczało to, jak mi się zdawało, zniszczenie dla każdego, kogo znałem, pracowałem, widziałem lub słyszałem w ostatnim roku. To była ruina dla Foxa, dla Churchilla, dla ministrów i dla mężczyzn, którzy rozmawiają w wagonach kolejowych, dla sklepikarzy i dla rządu, było to zagrożenie dla instytucji, które trzymają nas w przeszłości, stanowiąc gwarancję na przyszłość. Bezpieczeństwo wszystkiego, co godne wiary i szacunku, uwikłane zostało w sidła okrutnego oszustwa, a jego ujawnienie spoczywało w moich rękach. W tę noc miałem władzę nad prasą. Ludzie czekali na to oświadczenie. Ostatnią kartą de Merscha była filantropia, jego modelowy stan i szczęśliwi tubylcy.

Brzęczyk prasy sprawił, że podłoga pod nogami drgnęła, a cały budynek zawibrował, jakby zatrzęsała się ziemia. Pozostałem sam ze swoją wiedzą. Czy ona wiedziała? Czy natchnęła mocą moją rękę? Byłem sam i byłem wolny.

Zacząłem czytać ten dowód, podnosząc kartkę do światła. To był fikcyjny akt oskarżenia, ale pod mizerną retoryką mężczyzny kryły się prawdziwe oburzenie i ból. Znalazłem zdumiewające szczegóły okrucieństwa wobec nieszczęśliwych, bezradnych i bezbronnych, obnażono chciwość i samolubstwo. Ale bardziej odrażające zdawało się ujrzanie bez maski tych kłamstwa, które skrywały się pod słowami od wieków zachęcającymi ludzi do szlachetnych czynów, ofiary z samych siebie, heroizmu. Przeraziło mnie to nagłe przekonanie, że wszystkie tradycyjne ideały: honor, chwała, sumienie zostały zaprzęgnięte do podtrzymania gigantycznego i okropnego oszustwa. Kłamstwo rozpleniło się ukradkiem, wżarło się w jądro wierzeń i przekonań, które opieramy na naszym pomoście między przeszłością a przyszłością. Stary porządek rzeczy musiał żyć lub ginąć z kłamstwem. Widziałem to wszystko z intensywnością i jasnością objawienia, widziałem to tak, jakbym przespał cały rok pracy i marzeń, budząc się do prawdy. Widziałem to wszystko, widziałem jej zamiary. Co mogłem jednak zrobić?

Emocje przyszły bez mojego udziału. Palce, które trzymały zadrukowane karki, ześlizgiwały się po druku.

— Głupia sprawa — odparł Soane. Patrzył na mnie znad szafki, którą otworzył. — Nieźle namieszałem, tak swoją drogą. — Jego głos brzmiał

głucho, dochodził z wnętrza szafki. Wyciągnął dużą butelkę z oszronioną szyjką.

— Jutro pokrzyżuję czyjeś plany, prawda? — zapytał bardzo głośno.

Jego głos działał na mnie jak lekkie potrząśnięcie fiolką pełną wcześniej przygotowanych chemikaliów. Skryształizował je nagle za pomocą małego kliknięcia. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Zrozumiałem, że zawile intrygi zależały od tego, co zrobiłem w ciągu kilku minut. Teraz spoczęło na mnie zadanie wyciągnięcia ręki do przycisku w ścianie lub przyzwolenie na to światu, by: „...prawdomówność... tego rodzaju rzeczy” – jak mówiła – rozpadły się na kawałki. Stukot maszyn sprawiał, że stałem się kołczanem stłumionych emocji. Mogę ich powstrzymać. Albo nie mogę. To zależy ode mnie.

Miałem wszystkich w garści, byli tacy mali. Jeśli pozwolę, żeby to się skończyło, skończy się całkowicie i rozpocznie nowa era.

Soane wyciągnął parę smukłych kieliszków. Stuknęły, podczas gdy szukał czegoś w szafce.

— Ech, co? — powiedział. — Jest dość silny, prawda? Trzeba wstrząsnąć niektórymi z popleczników, co? Ustawa wchodzi jutro... Sądzę, że trochę pomoże. — Szukał uporczywie korkociągu.

Ale to było właśnie to – pomogłaby pozbyć się niektórych popleczników – i zapewnić Gurnardowi doskonałą wymówkę. Wiedziałem, że Churchill pozostanie wierny swojej linii, zdrowej polityce. Ale tak wielu ludzi, którzy przyłgnęli do Churchilla, teraz odpadnie, a Gurnard oczywiście doprowadzi ich do zwycięstwa.

To był wyrok kryminalny. Callan miał wejście niczym komisarz – w akompaniamencie bębnow. Do niego należał ten raport, ten wrzask. Jeśli rozbrzmi nad dachach domów, jeśli do tego dopuszczę, nastąpi koniec zdrowej polityki oraz Churchilla. Żadna różnica, że to Churchill tworzy zdrową politykę, ponieważ nie było w kraju nikogo wystarczająco rozsądnego, by to pojąć. Chcieli czystości na wysokich stanowiskach, a tu chodziło o definitywny, kryminalny akt oskarżenia przeciwko de Merschowi. A de Mersch w pewnym sensie i tak musiałby zostać zlinczowany, bez względu na politykę.

Chciała tego i na całej Ziemi była to jedyna pożądana rzecz. Gdybym pokrzyżował jej szyki... co by zrobiła? Spojrzałem na Soane'a.

— Co by się stało, gdybym zatrzymał prasę? — zapytałem. Soane przekreślał korkociąg w drucie butelki z szampanem.

To było nieuchronne. Na Ziemi nie widziałem nic oprócz niej. Co jeszcze istniało na świecie. Wino? Światło słońca? Wiatr na wrzosowisku? Zaszczyty! Mój Boże, jakież wielki byłby to zaszczyt, gdybym tylko ją miał oglądać. Czy honory, wino, słońce lub wiatr kiedykolwiek darują mi to, co mogłaby dać ona? Niechże przeminą.

— Co by się stało, gdyby co? — Soane mruknął: — Cholerny drut!

— Och, myślałem o czymś — odpowiedziałem. Drut drgnął z lekkim trzaskiem i zaczął rozluźniać korek. Czy miałem przepuścić światło przez wzgląd na... na przykład Foxa, który mi zaufał? Do diabła z Foxem. Oraz Churchilllem i tym, co reprezentował, prawdopodobieństwo, wielkość i duch przeszłości, z których wytrysnęło moje sumienie i sumienia marzącym milionów wokół mnie, kobieta na pokazie drobiu z rolnikami i sklepikarzami. Niechże przeminą!

Soane włożył mi do ręki jeden z napełnionych kieliszków. Wydawało się, że powstaje z nieskończonego, zapomnianego kształtu. Usiadłem przy biurku naprzeciwko niego.

— Doskonały pomysł — powiedział nagle. — Powstrzymać te przeklęte maszyny i wykiwać starego Foxa. Ma w sobie coś szatańskiego. I, na Jowisza, z rozkoszą potraktowałbym go nożem. Przysięgam na Jowisza! A potem rzucić wszystko i wyjechać na Wyspy Szczęśliwe. Mam dość tego pieskiego życia... Można byłoby zdobyć kupę forsy, gdyby wiadomo było, że ten krach nadejdzie. Lecz nie można dostać się do istoty rzeczy. Zero szczęścia, zero szczęścia, co?

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Miał przekrwione oczy i potargane, siwawe włosy. Zastanawiałem się, kim jest. „*Il s'agissait de...?*”²⁸. Wydawało mi się, że wróciłem do Paryża, lecz nie mogłem myśleć o tym, o czym myślałem. Wypiłem kieliszek wina, a on napełnił kolejny, który też wypilem.

Ach, tak – nawet wtedy ta sprawa nie została rozstrzygnięta, nawet teraz, gdy rozpoznałem, że Fox i reszta nie mieli żadnego znaczenia... Pozostało udowodnić, że nie jestem zwykłym przedmiotem, pionkiem w grze. Tkwiałem w samym jądrze tego. W końcu los mnie tam zawiódł, ślepy los, zbieg wszystkich drobnych okoliczności, które prowadzą w

nieuniknioną przyszłość. Gdybym udaremnił jej plany, to ona... co by zrobiła? Musiałaby zacząć wszystko od nowa. Nie zemściłaby się. Lecz co by się stało, gdyby nigdy więcej na mnie nie spojrzała?

Sprawa sprowadzała się do kwestii polityki. A może była to żądza?

Stukot kół ciężkich wozów i końskich kopyt na bruku brzmiał dla mych uszu niczym uderzenie młota dochodzące ze studni na podwórku. Soane skończył butelkę, podszedł do szafki, zatrzymał się przy oknie i stanął.

— Silne chłopy, ci tragarze — powiedział. — Nie udźwignąłbym tyle papieru, a w każdym razie nie z tym moim świństwem w środku, nie mówiąc już o Callanie. Można by pomyśleć, że wozy się załamia.

Zrozumiałem, że ładują na wozy paczki z gazetami. Nadal był czas, aby ich zatrzymać. Bardzo szybko wstałem i podszedłem do okna. Chciałem zawołać, żeby przestali. Otworzyłem skrzydło.

Oczywiście nie powstrzymałem ich. Rozwiązanie chlusnęło na mnie wraz z oddechem świeżego powietrza. To było absurdalnie proste. Gdybym ją powstrzymał, to cóż, szanowałaby mnie. Ale jej życiowy interes sprowadzał się do odziedziczenia Ziemi i gdyby mnie szanowała, tym lepiej dostrzegłaby, że jestem siłą, która odepchnęła ją od właściwej drogi, „chorobą”, jak mnie nazwała. Jedyne, co muszę zrobić – mówiłem sobie – to pokazać jej, że... że miałem ją w garści i że lojalnie współpracowałem.

Rzecz była tak prosta, iż triumfowałem, triumfowałem pełnym kieliszkiem wina, triumfowałem, spoglądając w dół na mroczny dziedziniec, na którym latarnie tańczyły w promieniach świetlistej lampy. Połączone litery rozrzucone po całym oknie płonęły nazwami niezliczonych przedsięwzięć Focha. Cóż, on był potęgą, ale to ja triumfowałem. Współpracowałem lojalnie z siłami przyszłości, chociaż nie chciałem mieć udziału w odziedziczeniu Ziemi. Chciałem tylko zmienić przyszłość.

Jeden z wielkich wozów wpadł w ruch wśród deszczu dźwięków, które wirowały w górę dookoła studni. Czarny daszek kołysał się jak nogi słonia, gdy mijał mój balkon. Zniknął – też współpracował, a za kilka godzin

ludzie na drugim krańcu świata będą wznosić ręce. Och, tak, współpracował lojalnie.

Zamknąłem okno. Soane trzymał w ręku butelkę szampana. W drugiej miał papierowy nóż od Foxa – metalowy przedmiot, japoński sztylet czy też nóż Deccana. Odciął korek od butelki.

– Myślałem, że masz zamiar rzucić robotę – powiedział. – Nie zatrzymałbym cię. Mam tego po dziurki w nosie. Popatrz... dzisiejszego wieczoru... ta piekielna sztuczka Foxa... I ja też pomogłem... dlaczego?... Muszę coś jeść – przerwał – ...i pić – dodał. – Ale w tym drobnym gościu kryje się głód nieskończonych głupców. Niektórzy utracą dobre imię... Nie obchodzi mnie to, wypisałem się. Pa pa... Po co on to robi? Pieniądze? Strach? Powinieneś wiedzieć. Ty też musisz w tym tkwić. Z głodu nie umierasz. Niesłychane, co ludzie są w stanie uczynić, by utrzymać swoje przywary. Ech? – Zachwiał się lekko. – Nie pijesz. A jaka jest twoja przywara?

Spojrzał na mnie bardzo wyzywająco, ściskając szyję pustej butelki. Jego pijany, apodyktyczny blask zdawał się na mnie skupiać w nędznym boju z życiem, nagradzonym przez nędzną wolność. Jawił mi się jako żaloszny i wstrętny, lecz w jakiś sposób wydał się groźny.

– Nie zdołasz mnie przestraszyć – rzekłem w odpowiedzi na dziwny lęk, który we mnie wzbudził. – Nikt nie zdoła.

Poczucie własnej niezłomności było pierwszym posmakiem osiągniętego triumfu. Skończyłem ze strachem. Ten biedny diabeł przede mną jawił się nieskończenie oddalony. Zagubił się, ale był tylko jednym z zagubionych, jednym z tych, których widziałem przygniecionych przez falę powodzi, którą wznieciłem. Zostałby zniszczony w dobrym towarzystwie, zniknąłby z mych oczu razem z przeszłością, którą znali i z przyszłością, na którą czekali. Zdawał się odrażający.

– Skończyłem z tobą – powiedziałem.

– Ech, co? Kto niby chce przestraszyć? Chciałem poznać twoje przywary... Nie zdradzisz ich, co? Możesz bez obaw... Jestem skończony... Więc... nie chcesz mi powiedzieć?... Czas się kończy... dla mnie. Zapytaj policjanta... Wynoszę się...

– Będziesz musiał – zapewniłem.

— Co... wyrzucasz mnie?... Wyrzucasz niezastąpionego Soane'a za burtę jak wyciśniętą cytrynę?... Mógłbyś?... Co by powiedział Fox? No co?... Ale nie możesz, mój chłopcze, nie ty. Mówię ci... nie możesz... nie możesz... nie ty. Zanim... mam dość... Wyjadę na Wyspy... na Wyspy Szczęśliwe... Będę... nie, nie aniołem takim, jak Fox... i... och, zostanę poławiaczem pereł. Będę leżał na białym piasku, w słońcu... pod niebieskim niebem i palmami? S.S. Waikato. Mam dość... Dowcipniś z siebie... Wyjedź ze mną. Ciepły piasek, ciepółko, nie chciałbyś? — Zdawał się urażony. — Cóż, wynoszę się. Odprowadź mnie do dorożki, kolego, przyzwoity z siebie facet. Żaden tam żebrak, który sprzedałby swojego najlepszego przyjaciela za parę groszy... lub jakąś kobietę. Zobaczymy się ostatni...

Nie wierzyłem, że wyjedzie nad Południowe Morza, ale zszedłem na dół i patrzyłem, jak maszeruje ulicą, lekko zataczając się bladym świtem. Zdaje mi się, że to chłód nocy wywołał we mnie dreszcze. Czuję nieograniczoną wiarę w przyszłość, nic nie stało na przeszkodzie między nią a mną. Echo kroków na kamiennych płytach towarzyszyło mi, wypełniając pustą ziemię dźwiękiem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dotarłem bez przeszkód do klubu i wspiałem się na górę. Ogarnęło mnie uczucie spokoju. Odpocząłem po zwycięskiej walce, której znaczenie było zbyt wielkie, by je pojąć i cieszyć się nim od razu. Wiedziałem tylko, że się udała, ponieważ wydawało się, że nie ma już nic więcej do zrobienia. Wszystko wypoczywało – nawet sumienie, nawet pamięć zapadły w stan podobny do śmierci. Unosiłem się nad nimi, a myśli poruszały się spokojnie, jakby w nowym świetle, podobnie jak ludzie poruszają się w promieniach słońca nad grobami zapomnianych zmarłych. Czuję się jak człowiek u progu długiego urlopu – nieskończonego pola bezczynności, przepelniony wielkim szczęściem – szczęściem zbyt wielkim dla słów, zbyt wielkim dla radości. Wszystko było rozkoszne i mgliste, bez kształtów, bez osób. Przez myśl przelatywały mi nazwiska: Fox, Churchill, moja ciotka, lecz zdawali się ledwie żyjącymi ludźmi widzianymi z góry, przemykającymi w mroku, bez indywidualnych cech. Poruszali się w dolinie, z której ja się wynurzyłem. Musiałem o nich śnić.

Wiem, że marzyłem o niej. Ona sama wyróżniała się spośród tych kształtów. Wyglądała olśniewająco. Oślepiła cudownym spokojem, a ja przygotowałem się na wstrząs miłosny, wstrząs, który dobrze znałem, który znali wszyscy ludzie, ale ten będzie większy. Transcendentalna, straszliwa, lecz odpowiednia nagroda za poświęcenie całej przeszłości. Nagle przemówiła. Usłyszałem odgłos przypominający szelest wiatru wśród drzew i targnął mną wstrząs nieznanego uczucia składającego się ze strachu i entuzjazmu, jakby nie była kobietą, lecz tylko głosem, który wypowiada dziwne, nieznanne słowa osobliwym tonem – kuszącym, obiecującym i zdradzieckim, bez namiętności miłości czy nienawiści. Słuchałem. Był jak wiatr między drzewami małego lasu. Bez nienawiści... bez miłości. Bez miłości. Rozległ się huk walącej się świątyni. Zostałem wyniesiony nad ziemię, przytłoczony, zmiażdżony przez ogrom ruin i smutku. Otworzyłem oczy i ujrzałem słońce przeświecające przez okiennice.

Wydaje mi się, że pamiętam zaskoczenie. Nie wiem, dlaczego. Być może to efekt długotrwałej katastrofy, która we śnie zgasiła również słońce. Podobało mi się to jednak i leżałem tak przez jakiś czas, ciesząc się – jakby to powiedzieć – jego zwyczajnością. Słońce dnia wczorajszego i jutrzejszego. Przyszło mi do głowy, że poranek musi już się kończyć, poderwałem się zatem energicznie jak człowiek wstający do pracy. Lecz gdy tylko stanąłem na nogach, poczułem się zmęczony. W rzeczywistości nie miałem nic do roboty. Wszystkie mięśnie drgały z przepracowania. Kiedyś doświadczyłem tych wrażeń po godzinie desperackiego pływania, gdy uratowałem się przed wypłynięciem na pełne morze w trakcie przyływu.

Nie. Nie było nic do roboty. Zszedłem na dół, a całkowite poczucie bezcelowości wyrzuciło mnie przez wielkie drzwi, które bezszelestnie zamknęły się za mną. Zwróciłem się w stronę rzeki, a na szerokim nasypie otoczyło mnie słońce, przyjazne, znajome i ciepłe jak troska starego przyjaciela. Czarna, pusta barka dryfowała, niezdarna i niezgrabna, a samotny człowiek walczył w niej z narowistym prądem, napinając ramiona, wznosząc twarz do nieba przy każdym wysiłku. Wiedział, co robi, choć to rzeka wykonała za niego pracę.

Jego wysiłki przypomniały mi, że i ja też mam coś do załatwienia. Oczywiście, że miałem. Zawsze się ma. Ale jakoś nie mogłem sobie przypomnieć, co to takiego. To było nie do zniesienia, a nawet niepokojące; ta pustka, pustka godzin, które pozostały do wieczora znów się pojawiła, aż nagle przyszło mi do głowy, że muszę zrobić notatki w British Museum dla naszego *Cromwella*. Nasz *Cromwell*. Nie było już *Cromwella*. Żył i pracował dla przyszłości, a teraz przestał istnieć. Jego przeszłość, a nasza przyszłość dobiegła końca. Barka z mężczyzną, który wciąż wiosłował, zniknęła mi z oczu, przepływając pod łukiem mostu jak przez portal do innego świata. Ogarnęło mnie dziwne poczucie samotności. Odwróciłem się plecami do rzeki tak pustej jak mój dzień. Powozy i karety ciągnęły nieprzerwanie ze stłumionym stukotem kół i końskich kopyt. Duży wóz dodał do tych dźwięków nutkę grzmotu i szczeń łańcuchów. Zaciekawilem się, że nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego poruszają się. Przeszłość, która je stworzyła, dobiegła końca, a ich przyszłość pochłonęła nowa koncepcja. A co stanie się z Churchillem? On

także pracował dla przyszłości. Chociaż będzie żył, to jakby przestał istnieć. Wywoływałem go w tej przejmującej myśli, lecz nie przyszedł sam. Przyjechał ze wszystkimi pokonanymi w tej ukradkowej, niewidocznej rywalizacji o ogromną stawkę, w której byłem jednym ze zwycięzców. Nacierali na mnie. Widziałem Foga, Polehamptona, samego de Merscha, tłum mężczyzn bez nazwisk, kobiety, które w sobie rozkochałem, mężczyzn, których witałem uściskiem dłoni, ironiczną twarzą Leiego, pełną wyrzutu. Byli blisko, coraz bliżej, wystarczająco blisko, by ich dotknąć. Nie tylko ich widziałem, czułem ich wręcz. Ich burzliwe i ciche poruszenie zdawało się rozrywać mi pierś.

Nagle zerwałem się na równe nogi – uczucie, które przedtem mnie wypełniało, wcale nienowe wspomnienie strachu sprawiło, że byłem szybki. Głos zdawał się mówić wyraźnie niezrozumiałe słowa, które wcześniej mnie poruszyły. Strome ściany ogromnych budynków w pobliżu zdawały się przewracać, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi i przez chwilę ujrzałem za nimi nieznaną głębię, które wcześniej nie dostrzegałem. Zupełnie jakby cień unicestwienia przemknął po nich wraz z promieniem słońca. Potem wszystko wróciło do normy, domy znieruchomiały, ale ich wygląd był już odmienny.

„To zbyt absurdalne” – powiedziałem do siebie. – „Nie czuję się dobrze”. Z pewnością nie nadawałem się do żadnej pracy. „Ale jakoś muszę przetrwać ten dzień. – Jutro... jutro...”

Miałem bladą wizję jej twarzy, która ukazała mi się o zachodzie słońca pierwszego dnia, kiedy ją spotkałem.

Wróciłem do klubu na obiad. Nie miałem apetytu, ale dręczyła mnie myśl o trwającym całą wieczność popołudniu, które mnie czekało. Siedziałem beczynnym przez długi czas. Za moimi plecami rozmawiało dwóch mężczyzn.

– Churchill... Och, nie lepszy niż reszta. Chce tylko, by się o nim dowiedziano. Mam nosa do tego typu rzeczy, coś wisi w powietrzu. Absurdem jest twierdzić, że nic nie wiedział... Znasz „Godzinę”?

Wstałem, aby odejść, ale nagle znalazłem się przy ich stole.

– Jest pan niesprawiedliwy – powiedziałem.

Spojrzeli na mnie z ogromnym zaskoczeniem. Nie znałem ich i poszedłem dalej. Ale słyszałem, że jeden z nich pyta:

- Kim jest ten człowiek?
- Och, to Etchingham Granger...
- Jakiś wariat? — dywagował drugi.

Powoli zszedłem po wielkich schodach. Wokół telegrafu tłoczyła się grupa ludzi, inni przybiegali lekkim kłusem, patrzyli nad głowami i ramionami.

— Co się stało? — zapytałem jednego z nich.

— Och, mówi Grogam — powiedział i mnie wyprzedził. Ktoś zajmujący miejsce z przodu przeczytał:

— Marszałek izby (sir C. Grogram, Devonport) powiedział, że... — Słowa cichły mi w uszach, gdy głos mężczyzny podążał za skokami małego aparatu. — ...rząd oczywiście nie mógł... zmienić swej polityki wobec... koło jedenastej godziny... na rozkaz... zupełnie nieodpowiedzialnej osoby w jednej z... codziennych... gazet.

Zastanawiałem się, czy słowa starego Grograma o „nieodpowiedzialnej osobie” odnosiły się do Soane’a czy też Callana, kiedy usłyszałem nazwisko Gurnarda. Odwróciłem się z irytacją. Nie chciałem słyszeć, jak ten głupiec odczytywał słowa... To było jak ostrzeżenie – niczym krakanie kruka w starej balladzie.

Powoli zacząłem schodzić do palarni. W cyrkowym mroku schodów powitał mnie głos natręta.

— Halo, Granger! Halo, Granger!

Obejrzałem się. Ten człowiek był jednym ze szcurków niższego dziennikarstwa. Krępy, rumiany astmatyk, którego masa mięśniowa większy pożytek przyniosłaby zarówno państwu, jak i jemu samemu, gdyby służył jako kawalerzysta. Sapnął ciężko w moją stronę.

— Wołam i wołam. — Jego oddech świszczał. — Co tam słyhać w „Godzinie”?

— Skąd mam wiedzieć? — odpowiedziałem szorstko.

— Powiedzieli, że wziąłeś to wczoraj. Grałeś rolę diabła, prawda? Ale przypuszczam, że sam tego nie wymyśliłeś?

— Nie, nigdy niczego nie wymyślałem.

— Oczywiście nie chcę się wtrącać — powtórzył. W mroku zaczynałem dostrzegać grymas na apoplektycznej twarzy. — Ale powiedz, w co ten de Mersch pogrywa?

— Lepiej sam go spytaj. — To była niesamowicie ohydna maska satyra w wątlým świetle.

— Nie ma go w Londynie — odparł, mrugając. — Ale przypuszczam, że Fox i de Mersch nie mają żadnego sporu, prawda?

Nie odpowiedziałem. Było to obrzydliwie nużące, a to dopiero początek. Jeszcze setki osób za kilka minut zadadzą mi to samo pytanie.

Jego głowa chwiała się na olbrzymich ramionach.

— Wygląda podejrzanie — powiedział.

Uznałem, że przy pomocy szantażu chce mnie skłonić do mówienia. Inny głos zaczął wołać ze szczytu schodów:

— Granger! Granger...

Pchnąłem drzwi i wszedłem powoli do ponurego pokoju. Usłyszałem, jak ktoś znów popycha drzwi i po dywanie rozległ się odgłos kroków. Nie odwróciłem się. Mężczyzna podszedł do mnie i spojrzał mi w twarz. To był Polehampton. W oczach miał łzy.

— Pytam — powiedział — pytam, co to ma znaczyć? Co to znaczy? — Trudno było mi na niego spojrzeć. — Pytam... — zaczął znowu. Miał dyktatorską minę bardzo małego, pozbawionego nadziei człowieka, człowieka zdumionego, że otrzymał cios, który spadł nań znikąd. — Pytam... — zaczął znowu.

— Ale co to ma wspólnego ze mną? — zapytałem chłodno.

— Och, przecież ty... poradziłeś mi kupić. — Jego głos stał się błagalny. — Czyż nie? Czy nie... powiedziałaś, pamiętasz... że...

Nie odpowiedziałem. Co miałbym rzec? Wciąż wpatrywał się we mnie uważnie, jak gdyby był to dla niego najwspanialszy moment, w którym powinienem wyrazić uznanie i wstyd zarazem, jakby to mogło zrzucić ciężar z jego barków. Nie mogłem tego zrobić. Nienawidziłem go.

— Czy ty — zaczął kategoriernie — nie doradziłeś mi kupić tych obligacji od de Merscha?

Nie odpowiedziałem.

— Co to wszystko znaczy? — powtórzył. — Jeśli ta ustawa nie przejdzie, będę zrujnowany. I mówią, że pan Gurnard zamierza go zniszczyć. Wszyscy to mówią, tam na górze, a ty... ty w „Godzinie”... jesteś... odpowiedzialny. — Wyjął chusteczkę i zaczął wydmuchiwać nos. — Ale co należy zrobić? — zaczął od nowa. — Co należy zrobić... pytam... Moja

córka, wiesz, ona jest bardzo odważna, powiedziała mi dziś rano, że może pracować, ale nie może, wiesz, ona nie była wychowana do takich rzeczy... Nawet pisać na maszynie nie umie... No więc... jesteśmy zrujnowani... Wszyscy. Zatrudniam ponad pięćdziesięciu pracowników, licząc pana Leiego, i wszyscy będą musieli odejść. To okropne... Wierzyłem ci, Granger! Ufałem ci, a oni mówią, że ty...

Odwróciłem się od niego. Nie mogłem znieść widoku przytłaczającego strachu w jego oczach.

— Tak wielu z nas — zaczął ponownie — wszyscy, których znam... Powiedziałem im, żeby kupili i... Ale mogłeś nam dać znać, Granger, nie? Pomyśl o mojej biednej córce.

Chciałem coś powiedzieć temu człowiekowi, bardzo chciałem, ale nie było nic do powiedzenia – ani słowa. Było mi przykro. Wziąłem gazetę, która leżała na jednej z purpurowych kanap. Stałem plecami do tego wynędzniałego mężczyzny i udawałem, że czytam.

Zauważyłem z niedowierzaniem, że ślaniem się na nogach. Rozejrzałem się wokół. Dwaj starsi panowie zasnęli w fotelach pod ciemnymi oknami. Jeden miał głowę odrzuconą do tyłu, drugi spuszczoną, a jego krucha biała dłoń po prostu dotykała podłogi. Nieco dalej rozmawiali dwaj młodzi mężczyźni. Sprawiali wrażenie konspiratorów spiskujących nad pustymi filiżankami po kawie.

Byłem świadomy, że Polehampton opuścił mnie, odszedł, ale nie sądzę, bym zdawał sobie sprawę z upływu czasu. Bóg wie, jak długo tam stałem. Od czasu do czasu miałem przed oczyma twarz Polehamptona, z oczami ogarniętymi paniką, zmierzwionymi włosami, strugami łez ciekącymi po policzkach, zdających się patrzeć na mnie z gazety, którą trzymałem. Wiedziałem też, że wszędzie są takie twarze. Twarze małych przerażonych ludzi, którzy znaczą niewiele więcej niż zmarli na cmentarzach, budulce cmentarzy, nic więcej. Mali ludzie, całkowicie bezużyteczni, cierpiący okropnie z powodu ciosu, który nadszedł znikąd. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ich dziedzictwo zstąpiło na mnie... Na nas. A jednak zacząłem się zastanawiać głupio, jaka była różnica między mną dzisiejszym a mną wczorajszym. Nie było żadnej, z wyjątkiem tego, że dziś nie miałem już nic do roboty.

Drzwi na końcu pokoju otworzyły się i rozległy się wrzaski przenikające z zewnątrz, a mężczyzna pojawił się w pokoju – jeden z tych ludzi, którzy wiecznie niosą wiadomości, którzy łapią odległy hałas i niosą go w ciszę ulic. Dlaczego mi przeszkadzał? Czy chcę usłyszeć jego wiadomości? Chciałem myśleć o Churchill, zastanowić się, jak wyjaśnić... Mężczyzna biegał po pokoju.

– Mówię... Mówię, żebracy...

Zaczynałem się zastanawiać, dlaczego czułem tak dojmujące przekonanie o absolutnej samotności, tej samotności, która zstąpiła na moją duszę. Zdawało mi się, że dostrzegam kształt zbliżającej się Nemezis. Nikt nie może zerwać ze swoją przeszłością, przeszłością swego gatunku i odrzucić daru przyszości. Zacząłem podejrzewać, że nic nie zyskałem. Zacząłem rozumieć, że nawet taka katastrofa była możliwa. Usiadłem na najbliższym krześle. Wtedy mój strach przeminął. Pokój wypełniły szumiące od podekscytowania głosy: „Churchill! Nie lepszy niż inni”, słyszałem, jak ktoś mówił. Dwóch mężczyzn przestało rozmawiać. Byli w średnim wieku, trochę siwi i rumiani. Twarz jednego wyrażała złość, a drugiego smutek. „Chciał tylko, by się o nim dowiedziano. Cóż za upadek do rynsztoka”. „Tak czy inaczej” – powiedział drugi – „trochę mi smutno. Reprezentował wszystko to, w co wierzyłem”. Poszli dalej. W oddali ryknął czyjś bezwzględny głos: „Największy upadek ministra w historii”. Wysoki, tęgi dziennikarz w białej kamizelce stał w środku grupy, która powoli kręciła się wokół siebie, rozrastając coraz bardziej. „Skończony, wytrzymał do końca. Widziałem, jak wsiadał do swojego powozu. Policja miała robotę... Na dole są jakieś zamieszki... Błady jak trup. Gurnard? Gurnard wspaniały. Bardzo spokojny i w najlepszej formie. Przewrócił ich bez mrugnięcia okiem. Mowa oburzonego sumienia. Wspaniała. Największa szansa jego życia”. A potem głosy i twarze zdawały się przez jakiś czas cichnąć i zniknąć. Upuściłem gazetę, a gdy schyliłem się, by ją podnieść, głosy wróciły.

– Granger... Etchingham Granger... Jego siostra wychodzi za mąż za Gurnarda.

Zastygłem w pozycji na czworaka, oczywiście po to, by podnieść gazetę. Nie rozumiałem, skąd wzięła się woda. Poza tym wszystko było

całkowicie jasne. „Zemdlał. Nie, nie jest pijany, spójrzcie na jego zęby”. Dlaczego chcieli zobaczyć jego zęby? Czyżby był to koń?

To chyba ja zemdlałem. Wielu ludzi obstało mnie, pierwszy rząd na kolanach, inni mnie podtrzymywali. Mężczyzna w czerwonym żakiecie i aksamitnych spodniach – kelner – trzymał szklankę wody, ktoś inny miał ze sobą małą butelkę. Mówili o mnie pod nosem. Na jednym końcu podkowy ktoś powiedział:

— To ten człowiek, który... — Podchwycił moje spojrzenie. Zniżył głos i obrzydliwy szept krążył między głowami. Łatwo było zgadnąć: „Człowiek, którego przekupiono”. Miałem już nim zostać przez resztę życia. Wreszcie zdobyłem sławę. Pragnąłem się stąd wydostać. Z trudem podniosłem się na nogi.

Ktoś zapytał:

— Lepiej już?

Odpowiedziałem:

— Och, muszę pójść i zobaczyć...

Trudno było mówić wyraźnie, język mi przeszkadzał. Ale starałem się wyrzec wrażenie na tym idiocie, że mam jakieś sprawy do załatwienia, sprawy prywatne.

— Pan się jeszcze źle czuje. Proszę mi pozwolić...

Odepchnąłem go na bok. Co go to obchodzi? Wyszedłem pośpiesznie z pokoju. Reszta została. Wiedziałem, co zrobią – będą omawiali wszystko, plotkując o „człowieku, który...”.

Przejdźcie przez mozaikę chodnika po korytarzu było przedsięwzięciem ryzykownym. Ktoś zawołał: „Halo, Granger”. Nie zareagowałem.

Dokąd chciałem się udać? Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc, cały świat zamienił się w ogromne samotne miasto pełne zamkniętych drzwi. Nie miałem przyjaciela – żadnego. Ale muszę dokąds iść, muszę się gdzieś schować, muszę z kimś porozmawiać. Wymamrotałem dorożkarzowi adres Foxa. Chęć skruchy musiała narodzić się w moim umyśle, związana z potrzebą rozmawiania z kimś, z kimkolwiek.

Bałem się też nie wściekłości Foxa, nawet nie tego, co mógł zrobić, ale widoku jego rozpaczy. Stał się postacią tragiczną.

Dotarłem do jego mieszkania i powtórzyłem kilka razy: „To ja”, ale ani drgnął. Leżał na sofie pod kocem, nieruchomy jak trup. Chodziłem po

pokoju. Pamiętam, że dywan był tak puszysty, że z trudem po nim stapałem. Wszystkie przedmioty zdawały się oznaką niewiarygodnego luksusu, który miał w sobie coś z makabry. Ale dopiero teraz, przedtem były jakby nieczyste. Stało tam wielkie łoże, którego kształty sugerowały niesamowitą miękkość, z jaskrawożółtą satynową narzutą, ogromną jak morze. Ściany pokryto żółtym atlasem, okna udrapowano koronką godną posagu króla, światło było miękkie, a powietrze martwe. Dźwięki dryfowały mi nad głową. A w środku tego nieruchome ciało. Poruszyło się, obróciło pod kocem wokół własnej osi i spojrzało na mnie. W przekrwionych oczach nie było ani śladu ciekawości – patrzyły na mnie tępo, topazowe tęczówki w krwistoczerwonej oprawie. Na czerwonej twarzy nie dostrzegłem żadnego wyrazu.

– Czego chcesz? – spytał bezbarwnym głosem.

– Chcę wyjaśnić... – powiedziałem. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, po co tak właściwie do niego przyszedłem. Odpowiedział tylko: „Ty!”. Miał minę człowieka rozmawiającego z kimś zupełnie nieważnym. Jakbym nie zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

Zacząłem wyjaśniać, że o niczym nie wiedziałem, że kierowałem się własnym najlepiej pojętym interesem. „Własnym interesem”. Powtórzyłem to kilka razy. Chciałem, żeby zrozumiał. Nic nie ukrywałem – ani powodów pojawienia się, ani słów, ani moich uczuć... Zrobiłem to wszystko świadomie.

Po raz pierwszy Fox spojrzał na mnie tak, jakbym był czującą istotą.

– Och, więc wiesz aż tyle – powiedział apatycznie.

– Ulec jej to nie wstyd – powiedziałem. – Musieliśmy.

Jego rozpacz zdawała się wiązać go ze mną, pozwalała na formę „my”. Chciałem pocieszyć go. Nie wiem, dlaczego.

Nie spojrzał na mnie ponownie.

– Och, to – powiedział głucho. – Rozumiem, kogo masz na myśli. Gdybym wiedział wcześniej, coś bym na pewno zrobił. Ale ona przysła z wyższego poziomu. – Zdawał się mówić do siebie.

Wzmógł się na wpół zapomniany horror. Przypomniałem sobie, jak mówiła, że Fox, podobnie jak ona, należał do rasy, która miała nas zastąpić – Wymiarowców. I kiedy teraz na niego patrzyłem, było dla mnie jasne, że pochodził z rasy innej niż moja, zawsze tak bardzo różnił się od

ludzi. Inny był, gdy triumfował, inny był również teraz, trwający w rozpacz.

— Mogłem poradzić sobie z samym Gurnardem, ale nigdy nie myślałem o jej przyjściu. Widzisz, że człowiek robi, co może, ale czasem coś go zaślepia. Powinienem być oczywiście trzymać się Gurnarda. Powinniśmy wszyscy trzymać się razem. Ale ja nie poddawałem się tak długo, jak był sam.

Ciągnął wywód beznamiętnym monotonnym tonem być może do siebie, może do mnie. Słuchałem, jak słucha się nieistotnych dźwięków odległego pociągu w nocy. Patrzył na podłogę, jego usta poruszały się mechanicznie. Siedział całkiem sztywno, z jedną ręką na kolanie, z opuszczonymi plecami i głową opadającą do przodu. Jego ciało wyglądało tak, jakby nie miało mięśni, jakby Fox był jednym z tych prastarych stworzeń, które widzi się na ławkach przy ścianach budynków.

— Ale — powiedziałem ze złością — to nie koniec. Możesz jeszcze walczyć.

— Chyba nie rozumiesz — odpowiedział. — Wszystko skończone. Skończone. Popierałem Churchilla i jego grupkę pocziwców za każdą cenę... Cóż, lubiłem ich, byłem głupcem, że dałem się zwieść litości. Ale stało się. Wśród ludzi takich, jak ty, człowiek staje się słaby. Oczywiście wiedziałem, że ich czasy przeminęły... Wszystko się skończyło — powtórzył po dłuższej przerwie.

— Więc co zrobisz? — zapytałem na wpół histerycznie.

— Nie wiem — odparł. — Nie z nas nie został jeszcze pokonany. Nie było o co walczyć, póki nie zjawiała się ona. — Martwy spokój jego zachowania był przytłaczający. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Oto stałem w obecności człowieka, który nie był taki, jak ja, którego standardy wartości, dla niego niepodważalne, nie mogły być mierzone moją miarą.

— Chyba podetnę sobie gardło — zaczął znowu, a ja z obojętnym zdziwieniem zauważyłem, iż cały mój prawy bok pokryty był kurzem z podłogi.

Chwiejnie podszedł kominka. Wisiało nad nim kilka malutkich, wysadzanych klejnotami ramek, w których znajdowały się zadziwiająco sprośne obrazy. Zagadka dręczyła mnie. Jaka istota mogłaby wyobrażać sobie ten osobliwie barbarzyński pokój, przechowywać te

nieprawdopodobnie ordynarne szkice, a potem złożyć ręce? Odwróciłem się gwałtownie w jego stronę:

— Jesteś wystarczająco bogaty, aby cieszyć się życiem — powiedziałem.

— Słucham? — zapytał znużonym tonem.

— Na miłość Boską! — wykrzyknąłem. — To po co starałeś się, wysilałeś przez wiele lat, jeśli nie po to, by ostatecznie móc cieszyć się życiem?

Niemal niedostrzegalnym ruchem dał mi do zrozumienia, że przedstawiłem problem, którego nie mógł rozwiązać, bo nie warto. Ten ruch potwierdził moje podejrzenia. Ci ludzie, którzy mieli nas zastąpić, nie znali radości. Ich przezorność pozwoliła jedynie szerzyć wśród nas smutek i zająć nasze miejsca. Od początku widziałem to w jej zachowaniu. Była jak Los, jak straszliwe Fatum, które pustoszy całe nasze życie, pozbawia nadziei, zmienia plany, jest ohydną mozaiką szczątków podobnych do posągów rozbijanych młotami. Bezsensowny, nieodgadniony, pozbawiony radości Los, którego nienawidzimy, a który zniszczy nas na wieki wieków. Tym właśnie była dla mnie i... dla ilu jeszcze ludzi?

— Byłem przyzwoitym człowiekiem! — wrzasnąłem na niego. Słyszysz? Mogłem spojrzeć człowiekowi w oczy. A ty nie potrafisz się nawet cieszyć. Po co przybyliście? Po co życie? Czym się to skończy?

— Ach, gdybym tylko wiedział... — odparł niedbale.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Chciałem ją zobaczyć, skończyć ze wszystkim w ten czy inny sposób. W domu ciotki zastałem ją w ogromnym białym pokoju, czekającą na mnie. Wszystko było rozświetlone i ona sama jawiła się jako całkiem bezcielesna, jak tajemniczy biały posąg w galerii.

— Przyszedłem — powiedziałem, chociaż chciałem dodać: „Ponieważ nie ma dla mnie miejsca na Ziemi”. Nie wypowiedziałem jednak tych słów, jedynie na nią patrzyłem.

— Przyszedłeś — powtórzyła. Ani w jej głosie, ani w oczach nie dostrzegłem emocji. Byłem dla niej jak powietrze, jak odbicie człowieka. Cóż, chyba tak. Byłem obiciem, a ona posągiem.

— Zrobiłem to — powiedziałem w końcu.

— I czego chcesz? — zapytała.

— Wiesz — odpowiedziałem. Wiesz, że chcę mojego... — Nie potrafiłem znaleźć właściwego słowa. Chodziło o nagrodę lub sprawiedliwą zapłatę. Spojrzała jakby Wenus z Milo obróciła się w moją stronę. Zaczęła mówić niczym posąg, jak pogrzebowe dzwony, jak automat.

— Nic nie zrobiłeś — oznajmiła. — Nic.

— A jednak znalazłem się w samym jądrze tego wszystkiego.

— Nic — powtórzyła. — Tak, byłeś w samym jądrze, lecz to było jądro maszyny. — Jej słowa niosły ze sobą silne przekonanie. Wydało mi się nagle, że widzę ogromną maszynę – obojętną, bezduszną, a wszystkie jej części składają się z ciał ludzkich: wielki młyn ścierający pył wieków jak prasa do wina. Kontynuowała swoją przemowę:

— Jeśli chodzi o ciebie – jesteś tylko trybikiem, jak wszyscy pozostali. Podstawiono cię w tym miejscu, bo zachowywałeś się tak, a nie inaczej. Taka jest twoja natura. Odziedzyczyliśmy Ziemię, a wy... To wasz koniec. Pamiętasz ten dzień, kiedy cię spotkałam – nasz pierwszy dzień?

Pamiętałem. W dolinie, pod przepastnym niebem, wśród trelis skowronków. Wyjaśniła mi naturę rzeczy. Mówiła beznamiętnie trudnymi słowami, przemawiała. Dziś nie wiedziałem o niej nic więcej, chociaż złożyłem przed nią swą przeszłość i przyszłość.

— Zatem pamiętasz ten dzień. Szukałam kogoś takiego jak ty. I znalazłam ciebie.

— Więc ty... — powiedziałem — ...zrobiłaś to! Pomyśl! Nie mam nikogo, niczego nigdzie na świecie. Nie mogę spojrzeć żadnemu człowiekowi w twarz, nawet Churchillowi. Nigdy już go nie zobaczę. — Przerwałem, oczekując znaku pocieszenia. Nie nastał. — Rozstałem się z moją przeszłością, a teraz mówisz mi, że nie mam przyszłości.

— Nie masz — powtórzyła. Potem, chłodna jak łabędź na wodzie, zaczęła mówić. — No tak! Zraniłam cię. Cierpiałeś i w tym bólu myślałeś, że jestem nikczemna, ale pamiętaj, że od wieków cnotę jutra stanowi niegodziwość dnia dzisiejszego. To, co przewyższa ludzkie zdolności pojmowania, nazywa się nikczemnością. W mojej cnocie jest mój kres. Gdybym się nad tobą ulitowała, popełniłabym wobec ciebie zbrodnię. Cierpiałeś, ale co z tego? Kim jesteś dla mnie? Gdy przyszedłam do ciebie, byłam taka sama jak dziś – triumfująca i cnotliwa. Osiągnęłam sukces. Kiedy przybyłam, weszłam w świat cieni. Czym były dla mnie ludzkie namiętności, radości, lęki, rozpacz, podniecenie? Gdybym nawet miała uszy, moją cnotą była głuchota na krzyki. Nie było innego wyjścia. Był tu jeden z nas, twój przyjaciel Fox. Przyszedł na świat, ale nie miał odwagi, by trzymać się z dala od was. Powiedział ci: „Tu człowiek ślepnie”. Zaczął czuć się trochę jak wszyscy wokół. Przejawiał upodobania i niechęci. Lubił cię... A ty go zdradziłaś. Więc odszedł. Oślepl. Ale ja nie ośleplam. Widzę równie dobrze, jak widziałem. Poruszam się tak, jakbym była w świecie... odbić ludzkich. Oni rozpaczają. Słyszę jęki... Cóż, to jęki umarłych. Dla ciebie to płatanina krętych intryg, podłość w najdrobniejszym szczególe. Ale idźmy dalej. Stań obok mnie i powiedz, jak to wygląda? Oto olbrzymia machina rozpadu. Zniszczyła całą tkaninę, całą strukturę społeczeństwa. To właśnie się stało. Ja nią kierowałam. Musiałam czuwać nad każdym szczegółem, stać zawsze na straży.

A teraz zostałam sama. Wczoraj ta struktura była dla ciebie wszystkim, wydawała się wystarczająco solidna. A dzisiaj? Czy znaczy dla ciebie więcej niż dla mnie? Tu stała Cnota. A tu Uczciwość. To i wszystkie rzeczy, które reprezentowali ludzie. Cóż, dziś ich już nie ma. Sama wiara zniknęła. Kto uwierzy, skoro udowodniono, że narzędziami są ludzie... jak de Mersch? I ja to nauczyłam. To również należy uznać za cnotę.

Cóż, odziedziczyliśmy Ziemię. Jestem czerwem toczącym czerwiałą różę. Myślisz, że wszystko, co osiągnęłam, to małżeństwo z Gurnardem. Ale zyskałam więcej. To wszystko jest szachownicą, a Gurnard jest jedyną figurą, która pozostała. Ja zaś jestem ręką, która nim porusza. Jeśli chodzi o małżeństwo – cóż, to małżeństwo umysłów, związek dla wspólnego celu. Mój umysł jest umysłem mistrza. Tak jak twój. Cóż, rozstałeś się ze swoją przeszłością... i nie ma dla ciebie przyszłości. To prawda. Nie masz dokąd pójść, nie zostało ci nic na świecie. To prawda. Ale co mnie to obchodzi? Oto fakty – zostawiłeś za sobą przeszłość i nie masz przyszłości. Ty musiałeś wykonać pracę, a ja cię do niej zmusić. Wybrałam cię, bo wiedziałam, że to zrobisz. To wszystko... Znałam cię, znałam twoje sekrety, twoje słabości. Na tym polega moja moc. Opowiadałam się za tym, co nieuniknione, za przyszłością, która idzie własną drogą, a ty za przeszłością, która leży przy drodze. Gdybym dla ciebie choćby o jotę zboczyła ze szlaku, zdradziłabym wszystko. Raz, przez jedną chwilę, istniało niebezpieczeństwo... Ale się mu oparłam. Co byś mi zrobił? Odszedłbyś jak Fox? Mówiłabym jak on, wyglądałabym jak on... A ja? Cóż, nie zrobiłam tego.

Byłam narzędziem w rękach przyszłości. Nigdy nie zboczyłam z drogi. Poszłam w swoją stronę. Musiałam osądzać i deprawować ludzi. Ciebie też. Schlebiałam, przekupywałam, mamilałam nadzieją. I z każdym, tak jak z tobą, udało mi się. Właśnie w tej mocy leży sekret cnoty. Musiałam stworzyć dzieło sztuki, obcej dla ciebie i was wszystkich jak sztuka martwych narodów. Teraz jesteś martwy, a moja sztuka dopiero nastanie. Pozostaje wam tylko złożyć ręce i dziwić się, jak robiliście to u bram Niniwy. Musiałam uderzyć w larum starego porządku, waszych cnót, waszych zaszczytów, waszych wyznań... altruizmu, jeśli wolisz. Cóż, tak właśnie było. Stałam zawsze na straży. Przewidywałam, uprzedzałam. Nigdy nie odpoczywałam. A ty...

— A ja tylko cię kochałam.

Zapadła cisza. Przez chwilę zdawało mi się, że jestem wątłą, bezcielesną istotą, niczym duch w bezdennej szczelinie między przeszłością a przyszłością. Miałem tam pozostać na zawsze.

— Ty tylko mnie kochałeś — powtórzyła. — Tak, kochałeś mnie. Ale czy to daje ci do mnie prawa? Kochałeś mnie... Cóż, gdybym i ja cię kochała...

Dałoby ci to prawo do... Cała twoja nędza, twój ból serca pochodzi z... z miłości. Twojej miłości do mnie, twojej miłości do przeszłości, do tego, co było skazane na... Kochałeś też innych... na swój sposób. Ale ich zdradziłeś i jesteś nędzarzem. Gdybyś ich nie kochał, nie byłbyś teraz nieszczęśliwy, gdybyś mnie nie kochał, nie zdradziłbyś siebie samego. Z początku byłeś samotny jak ja. Wszyscy ci ludzie nic dla ciebie nie znaczyli. Ja też nic nie znaczyłam. Ale musiałeś pokochać ich i mnie. Trzeba było pozostać obojętnym do końca. Ale nie zrobiłeś tego. Czym oni dla ciebie byli? Kształty, cienie na kartce. Wyglądali na prawdziwych. Ale czy byli prawdziwi? Ktokolwiek z nich? Nigdy już ich nie zobaczysz, mnie również nie zobaczysz. Wszyscy staniemy się częścią przeszłości cieni. Gdybyś był taki jak ja, mógłbyś na nich spoglądać niewzruszony lub zapomnieć... Ale ty... ty „tylko kochałeś”, więc nie zaznasz nigdy spokoju. Nawet teraz liczysz się tylko ty. To dlatego, że zbankrutowałeś, ponieważ w najważniejszym momencie zdradziłeś swe ideały, ponieważ odkryłeś, że honor ci nie pomoże. To nie myśl o tym, jaką krzywdę wyrządziłeś innym. Kim oni są? Kim jest Churchill, który upadł, albo Fox, który nie żyje? Oplakujesz samego siebie. To właśnie twoja tragedia, że nigdy już nie spojrzysz Churchillowi w oczy jak dawniej w obawie przed pogardą. Och, znam cię, znam.

Znała mnie. To prawda, co powiedziała. Przez cały czas miałem oczy spuszczone, teraz patrzyłem na nią, próbując uświadomić sobie, że już nigdy jej nie zobaczę. To niemożliwe. Biło od niej niesamowite piękno, eteryczna bezcielesność. I był jej głos. Nie mogłem zrozumieć, że teraz już jej nigdy nie zobaczę, już nie usłyszę jej głosu. Przez długi czas milczała i nie wyrzekła słowa. Pomyślałem, że mogła skończyć jak Fox, siedzieć w beznadziei i czekać na śmierć. W końcu powiedziała:

— Nie ma nadziei. Musimy iść własnymi drogami. Osobną ja, osobną ty. A jeśli nie... Jeśli nie możesz zapomnieć, pamiętaj, że zależało mi. Że przez chwilę, pomiędzy jednym oddechem a drugim myślałam o... klęsce. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

Jej słowa skłoniły mnie do milczenia. Nawet gdybym był w stanie mówić, trzymałbym teraz język na wodzy. Nie patrzyłem na nią, ale stałem ze spuszczonego wzrokiem, całkowicie świadomy, że stoi przede mną w swym niewyobrażalnym pięknie i wielkiej chwale.

Po pewnym czasie odszedłem. I nigdy więcej już jej nie ujrzałem. Nigdy nie ujrzałem już żadnego z nich. Fox był martwy, a Churchillowi nie śmiałybym spojrzeć w twarz. Tak nastąpił koniec pewnej epoki w moim życiu. Zniknęła, pozostawiając świadomość słabości i... żal.

Ona pozostała. Widać jej rękę w biegu wydarzeń. Cóż, nie jest to bardzo radosny świat. Gurnard, jak mówią, jest typowym przedstawicielem ducha czasu. Mówią też, że ja, Granger z Etchingham, nie utrzymuję stosunków z własnym szwagrem.

-
- 1 Przystojny młody człowiek (fr.)
 - 2 Targi Zagubionych Spraw (fr.).
 - 3 Uniżony (fr.).
 - 4 Dosyć mam tego farsowego księcia (fr.).
 - 5 Zakulisowy [teatralny] żargon (fr.).
 - 6 Grrrangeur-Eschingan jest dobry. I jak słyszę, ja też. Chcesz się ze mną spotkać w Centrum Elle. Grangeur, phi! Pociesz się nią, staruszku. Nie chcę cię więcej. Dałeś mi nędzną grenlandzką rentę i nie możesz mnie sprzedać. Zobaczysz, co z tym zrobię, stary kpiarzu (fr.).
 - 7 A co do pana, Monsieur Grangeur Eschingan – zaczęła – mam dla pana koncepcję na mnie... (fr.).
 - 8 Koncepcją na nią (fr.).
 - 9 Ludzi dobrej woli (łac.).
 - 10 Precz z Coignetem (fr.).
 - 11 Na litość boską, nie (fr.).
 - 12 To nie jest takie głupie (fr.).
 - 13 Hę? (fr.).
 - 14 Więc to postanowione (fr.).
 - 15 Postanowione (fr.).
 - 16 Ale (fr.).
 - 17 „Co za kobieta!” (fr.).
 - 18 Piękne oczy (fr.).
 - 19 Pani portier (fr.).
 - 20 „Panną siostrą” (fr.).
 - 21 Dla rodziny (fr.).
 - 22 Peniuaru (fr.).
 - 23 Właściwe słowo (fr.).
 - 24 Podpity (fr.).
 - 25 Dawne czasy (fr.).
 - 26 Ostateczność (fr.).
 - 27 Rozumie się (fr.).
 - 28 „Czym się zajmował...?”(fr.).

NASTĘPCY— SEQUEL DO JĄDRA CIEMNOŚCI

Miesiąc po tym, jak w „The Blackwood Magazine” ukazała się ostatnia z trzech części *Jądra ciemności*, Joseph Conrad wraz ze swym przyjacielem rozpoczął pracę nad dziełem, które – mimo niezbyt pochlebnych recenzji – doczekało się statusu transformacji czy też – jakbyśmy powiedzieli dzisiaj – *sequelu* arcydzieła o wyprawie kapitana Marlowa do Konga. Owym przyjacielem był Joseph Leopold Ford Hermann Madox Hueffer, znany lepiej pod pseudonimem Ford Madox Ford. Ten urodzony 17 grudnia 1873 roku pisarz, poeta i krytyk jest autorem powieści *Dobry żołnierz* (1915), trylogii *Piąta królowa* (1906-1908) oraz tetralogii *Koniec rajy* (1924-1928). Z Conradem napisał również *Romans* (1903) oraz *Naturę zbrodni* (1924). Ford działał także na niwie krytyki literackiej, był założycielem dwóch poczytnych magazynów „The English Review” (1908) i „The Transatlantic Review” (1924). W jego gazetach publikowali m.in. Thomas Hardy, H.G. Wells, Henry James, John Galsworthy czy William Butler Yeats, zaś swoje debiuty mieli m.in. Ezra Pound i D.H. Lawrence. Ford przyjaźnił się też z Joycem czy Hemingwayem¹. Jednak to zetknięcie z Conradem, jak we wstępie do pierwszego polskiego tłumaczenia *The Inheritors* (*Spadkobiercy*) zaznacza Henryk Krzeczkowski – stanowiło dla Forda zdarzenie przełomowe: *Ford słynący już wówczas jako świetny stylistą wtajemniczał Conrada w najgłębsze tajniki języka, który nie był jego językiem ojczystym, Conrad zaś odwzajemniał się kładąc podwaliny pod opanowanie techniki powieściowej przez Forda*².

Pierwsze spotkanie pisarzy nastąpiło w 1897 lub 1898 roku w domu Edwarda Garnetta.

Jak podkreśla tłumacz: „*Spadkobiercy*”, co zgodnie przyznają wszyscy, należą głównie do Forda. Dziwna to książka. Pobieżna lektura zaniepokoi czytelnika, nie nosi ona bowiem piętna ani jednego, ani drugiego jej autora³.

Wedle Forda powieść zaplanowano jako książkę polityczną, wyraz poparcia dla Balfoura w ówczesnym rządzie. Czarnymi charakterami

mieli być Chamberlain, który wywołał wojnę, a także król belgijski Leopold II. Ford widział powieść jako alegoryczno-realistyczną, która pokazuje, jak stare pokolenie i zasady ustępują *nieznającej litości młodzieży, zawsze obcej i pozbawionej wszelkich skrupułów*...⁴.

Jak zaznacza współautor, z siedemdziesięciu pięciu tysięcy słów Conrad napisał dwa tysiące, co potwierdzili żona Conrada i Jean-Aubry. *Rola Conrada sprowadzała się głównie do nadania każdej scenie ostatecznego poloru*⁵. Jak pisze Krzeczkowski, iż *zupelnie nieznośnie blado nakreślony bohater (sic!) rozmawia z królewskim finansistą o bohaterce, awanturnicy obdarzonej nadprzyrodzoną siłą*⁶. Scena ta wyglądała bez rzekomego udziału Conrada tak:

— Pan nie rozumie... ona... ona...

— Ach! Ach! — odpowiedział mi z nieznośną wyższością w głosie.

— Pan nie rozumie — powtórzyłem.

Chwiał się lekko na nogach. — Brawo... Bravissimo... Pan ma zamiar mnie zastraszyć...

Patrzyłem na jego olbrzymie cielsko. Zaczęli nas mijać zapatrzeni ludzie, opuszczający bal⁷.

Conrad dokonał w niej jednak pewnych zmian:

— *Jeśli pan tego nie uczyni, zabronią jej widywać się z panem i będę...*

— *Ach, ach — przerwał mi znowu tonem hulaki z farsy — ach, aż do tego doszliśmy, gramy rolę brata doskonałego. — Przerwał, po czym dodał: — Idź pan sobie do diabła, pan i pańskie zakazy. — Bardzo go to śmieszyło.*

— *Mówię panu poważnie, zupełnie poważnie. Sprawy posunęły się za daleko i nawet dla pańskiego dobra...*

— *Och, och — powtórzył tym samym tonem co poprzednio „Ach, ach!”.*

— *Ona panu nie sprzyja — usiłowałem mówić dalej — bawi się panem, bo ma w tym swój cel, będzie pan...*

Chwiał się lekko na nogach. — *Brawo... bravissimo... Nie skutkują zakazy, spróbujemy gróźb. Zostaw pan, mój panie... zostaw pan to.*

Patrzyłem na jego olbrzymie cielsko. Przyszło mi na myśl, że chciałbym, by mnie uderzył, by dał mi jakikolwiek pretekst, byle jaki, do zakończenia tej sceny gwałtownie, skandalem i wściekłym wrzaskiem.

— Pan absolutnie odmawia? — pytałem.

— *Absolutnie*⁸.

W swojej książce poświęconej Conradowi Ford podkreślał wielokrotnie, że powieść uważał za bezwartościową, w przeciwieństwie do Conrada, który uważał ją za arcydzieło. Ukazała się zresztą jedynie z nazwiskiem Conrada na okładce. Krzeszowski przychyliła się do zdania Forda, pisząc, iż: „*Spadkobiercy*” na pewno nie mogą pretendować do tytułu arcydzieła; być może, ze strony Conrada były to jedynie konwencjonalne komplementy pod adresem głównego jej sprawcy⁹. Jednak uważa ją za ciekawą ze względu na odtworzenie atmosfery ówczesnego Londynu.

28 października 1898 roku w liście do Johna Galsworthy’ego Conrad napisał, że zaczął współpracę z Huefferem, który był z tego powodu zadowolony. Obaj spodziewali się owocnej współpracy.

Robert Hampson uważa, że *Następcy* to *rewriting Jądra ciemności* z prostą fabułą związaną z politycznymi i finansowymi intrygami oraz *roman a clef*¹⁰. Linda Dryden z kolei dokładniej opisuje okoliczności współpracy pisarzy. Wedle badaczki Raymond Brebach znaczący udział Forda w tworzeniu, Conrad natomiast miał się tylko pod nią podpisać, a jego rola ograniczała się do poprawek redaktorskich. W liście z 26 marca 1900 roku do Edwarda Garnetta pisze tak o pracy Forda nad *Następcami*: *O Boże. Ale się napracował! Nie ma rozdziału, którego nie kazałbym mu przepasywać dwa razy, a większość nawet trzy. Nazwijmy to współpracą*¹¹. Wells, który nie przepadał za Fordem, w jednym ze swoich listów wspomina:

Podczas naszego pierwszego spotkania poinformował mnie, że przekonał Pana Josepha Conrada do współpracy z nim. Próbowałem mu przekazać, tak jasno, jak to tylko możliwe, jak osobliwa i nietykalna jest proza Conrada i jak bardzo niefrasobliwe rozważał przedsięwzięcie. Ta martwa, bezmyślna książka „*The Inheritors*” potwierdza moje obawy¹².

W roku 1898 Ford miał dopiero przed sobą najlepsze dzieła. Wells uważał, że Conrad skompromituje się tą współpracą. W „*The English Review*” w roku 1920 autor *Jądra ciemności* wyznał, że zmarnował czas i energię na książkę. Jednak K.I. Bakster zauważa, jak bardzo widoczne są w utworze wpływy Wellsa¹³. Istnieją też podejrzenia, że *Nostromo* nie było całkiem tekstem Conrada, lecz to Ford nad nim pracował¹⁴. Robert Green natomiast uznaje utwór za zbyt impresjonistyczny i nierealny, przekombinowany (*over-compressed*). David Seed widzi go jako dzieło

hybrydyczne, zawierające elementy science fiction połączone z powieścią symboliczną i historyczną, Susan Jones zwraca uwagę na to samo: science fiction, romans, thriller powieść sensacyjna czy teoretyczna rozprawa o naturze i znaczeniu tekstualności¹⁵.

Prace nad powieścią zaczęły się w październiku roku 1899, pięć miesięcy po wydaniu odcinków *Jądra ciemności*, podczas gdy Conrad pracował nad poprawkami do wersji książkowej, opublikowano ją zaś w 1901 roku. Afrykę zastąpiono Grenlandią, a Leopolda księciem de Merch.

1. Elementy fantastyczne

W przeciwieństwie do *Jądra ciemności*, w którym widać inspirację różnymi motywami, gatunkami i konwencjami szeroko pojętej fantastyki, w *Następcach* elementy fantastyczne zostały zastosowane oszczędnie, jednak mają ogromne znaczenie fabularne. Cała oś konfliktu politycznego, romansu oraz akcji wiąże się z uwikłaniem protagonisty powieści, Arthura Entchant-Grangera, młodego powieściopisarza pochodzącego ze zubożałej arystokracji, w spisek kliki wpływowych osób czy też istot zwanych Wymiarowcami, którzy doprowadzają do kompromitacji polityków brytyjskich. Ich motywy, postępowanie i skutki „zajęcia Ziemi” wydają się wyjątkowo tajemnicze. Przedmiotem największego zainteresowania okazuje się projekt stworzony przez upadłego monarchę, ogarniętego fanatycznym pragnieniem objęcia władzy absolutnej, księcia de Mersch, który na Grenlandii zakłada kolonię i buduje Kolej Transgrenlandzką.

Pewnego dnia, w bliżej nieznanym okolicznościach, Arthur spotyka piękną i inteligentną, lecz dziwacznie zachowującą się dziewczynę. Zakochawszy się od pierwszego wejrzenia, postanawia dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Jednocześnie przyjaciel z dawnych lat, pan Callan, proponuje mu pracę dla nowopowstałego dziennika swojego kolegi, niejakiego Focha. „Godzina” jednak nie jest zwykłym magazynem literackim, lecz narzędziem propagandowym dla towarzystwa skupionego wokół projektu de Merscha. W spisku uczestniczy także tajemnicza nieznajoma, która wkupuje się w łaski rodziny, przekonując ciotkę

Arthura, iż jest dawno niewidzianą siostrą. To dzięki polityce związanej z machinacjami na Grenlandii rasa istot, do której należy jego „siostra”, Fox i późniejszy mąż panny Granger, Gurnard, ma zamiar objąć Ziemię we władanie, zastępując ludzi przedstawicielami własnego gatunku.

Przez całą powieść Arthur będzie zmagał się ze skutkami własnej decyzji, rozdarty między niechęcią do polityki, osobistą uczciwością, miłością do nieznajomej i zarazem chęcią zgłębienia prawdy na temat charakteru – naturalnego czy też ponadnaturalnego – spisku. Na potwierdzenie pozaludzkiej proweniencji dziewczyny znajdzie zaledwie kilka „dowodów”, sprowadzonych głównie do słów nieznajomej, jednocześnie zaś zmaganiom bohatera towarzyszyć będzie oniryczna, mroczna atmosfera, aż do samego końca niepozwalająca stwierdzić, które ze zdarzeń faktycznie miały miejsce, co zaś pozostaje w sferze wyobrażeń i koszmarów Arthura.

2. Jądro maszyny – znaczenie tytułu

Tytuł *The Inheritors* już w swym brzmieniu stanowi odwołanie do jakiegoś zdarzenia, tradycji. Literalnie oznacza „spadkobierców” (i tak przełożył Henryk Krzeczkowski), a więc dziedziców przejmujących jakieś wartości po przemijającym pokoleniu. Spadek jednak jest czymś, co zostaje przez spadkobiercę dobrowolnie zaakceptowane i w jakichś sposób rozporządzone. W przypadku książki Conrada i Forda bardziej adekwatnym tytułem wydają się *Następcy*. Bowiem rasa istot z Czwartego Wymiaru nie dziedziczy Ziemi, gdyż nie otrzymuje jej w spadku (choć frazą „dziedziczenie” bohaterowie faktycznie się posługują). Wymiarowcy ustami swojej przedstawicielki zapowiadają podbicie planety i zgładzenie ludzi. Jako istoty pozbawione uczuć odrzucają pozamaterialny dorobek ludzkości, są zatem nową rasą ziemską, która zastępuje starą i w tym znaczeniu stają się nie spadkobiercami ziemskiego dziedzictwa, lecz następcami ludzi.

Związki z *Jądrem ciemności* pojawiają się już na poziomie użycia frazy tytułarnej. Główny bohater i zarazem narrator kilkakrotnie podkreśla, że tkwi w „jądrze wydarzeń”. Owo „jądro”, to podobnie jak w noweli Conrada

pewne centrum, oś, wokół której skupiają się i bohaterowie, i działania fabularne. Jest to prawda, której Arthur usiłuje dociec.

Pierwsze zetknięcie z „jądrem” następuje już na początku powieści, gdy protagonista zostaje poproszony przez przyjaciela z dawnych lat o napisanie serii artykułów o wybitnych jednostkach. Arthur ma odmalować „aury” postaci, pewne niedające się uchwycić ani scharakteryzować cechy: – *Nie chodzi o zwykłe rozbudzenie ciekawości, ale próbę dotarcia do istoty rzeczy, aby należycie, że tak powiem, odmalować „aurę” danej osoby. To nie katalog mebli* – mówi Callan¹⁶. Gdy tylko Granger przyjmie zlecenie, szybko zorientuje się jednak, że jego rola nie ogranicza się do pracy dziennikarskiej.

Marlow, znalazłszy się w siedzibie Kompanii, zauważa: *zupełnie jakby mnie wtajemniczono w jakiś spisek*¹⁷. To, co w *Jądrze ciemności* zostaje ledwie zasugerowane, rozwija się z pełną mocą w *Następcach*. Granger faktycznie zostaje bowiem „wtajemniczony w spisek”, którego istotę rzeczy będzie musiał pojąć. Na jego oczach o władzę walczą najrozmaitsze osoby i instytucje, on zaś aż do końca nie będzie wiedział, czy charakter owej walki, jej przyczyny i skutki mają charakter polityczny, związany ze światem groteskowych, dziwacznych, a jednak nadal ludzi, czy jest to może batalia między ludźmi a obcymi najeźdźcami. Najbardziej obrazowo przedstawia to dialog z „siostrą” po tym, gdy fundamenty świata Arthura zaczynają się kruszyć:

– Nic nie zrobiłeś – oznajmiła. – Nic.

– A jednak znalazłem się w samym jądrze tego wszystkiego.

– Nic – powtórzyła. – Tak, byłeś w samym jądrze, lecz to było jądro maszyny¹⁸.

Dziewczyna uświadamia Arthurowi, że istota rzeczy, pewne „jądro”, w którym tkwi, nie wiąże się z tym, co ludzkie, znane, uświadomione. To „jądro maszyny”, mechanizm, który symbolicznie odnosi się do nie-ludzi, pozbawionych uczuć Czwartowymiarowców. Z racji tego, nawet jeśli Arthur poznałby jakąś prawdę, byłaby to prawda narzucona przez istoty obce, związana z pozaludzkimi sensami i logiką. Dopiero jednak, gdy przedsięwzięcia najbliższych przyjaciół i współpracowników upadają w wyniku krachu na giełdzie, bohater zaczyna rozumieć, że „nie można dostać się do istoty rzeczy”¹⁹.

3. Dziewczyna

Podstawowym elementem fantastycznym w powieści jest istnienie istot pochodzących z czwartego wymiaru, zwanych Wymiarowcami. Ich główną przedstawicielką, i – jak się wydaje – przywódczynią, jest dziewczyna, której imienia ani czytelnik, ani główny bohater nie poznają. Zjawia się pewnego dnia w życiu Arthura w miejsce zmarłej przed wieloma laty siostry, a przez wzgląd na swój intelekt, pomysłowość, wielkie zdolności adaptacyjne oraz bogactwo, z łatwością zostaje zaakceptowana jako bratanica przez panią Granger, starą, samotną ciotkę oplakującą upadek wielkiego niegdyś arystokratycznego rodu. I choć wygląd dziewczyny nie odbiega w żaden sposób od standardów, jej zdolności są zdecydowanie pozaludzkie. W sposobie bycia, doborze słów widać odmienność, którą Arthur natychmiast dostrzega:

Bujne włosy, ładne oczy i sporo uroku. Owszem. Ale i coś jeszcze. Coś takiego... co nie stanowi atrybutu fizycznego piękna. Rysy twarzy miała tak doskonale i delikatne, że zdawała się przezroczysta. A mimo to nie sposób było podejrzewać ją o jakąkolwiek kruchość. Jej spojrzenie odznaczało się niezwykłą siłą wyrazu. Włosy jasne i lśniące, a policzki zaróżowione, jakby padał na nie ciepły blask. Zdawało mi się, że skądś ją znam, dopóki nie uświadomiłem sobie, że obcość wprost od niej bije²⁰.

Obcość bohaterki jest zatem wpisana w jej wygląd, stanowi jednak walor nieuchwytny. Dziewczyna wygląda jak piękna, kusząca kobieta, lecz jawi się także jako istota eteryczna, tajemnicza, przezroczysta. Co więcej, chociaż protagonistka nie jest Angielką, perfekcyjnie posługuje się językiem angielskim. Arthur zastanawia się, z jakiego narodu pochodzi:

– Nie jesteś przypadkiem Amerykanką?

Potrząsnęła głową. Nie. Nie była również Australijką ani nie pochodziła z żadnej z brytyjskich kolonii.

– Nie jesteś też Angielką. Za dobrze mówisz po angielsku.

(...)

Musisz należeć do jednego z tych nowych narodów. Jesteś cudzoziemką, dam sobie rękę uciąć. Żywisz dla nas taką pogardę. Drażnisz mnie tak, że z powodzeniem mogłabyś być Prusaczką. Ale to

oczywiste, że pochodzisz z jakiegoś młodego narodu, który dopiero zaczyna kształtować swą tożsamość.

– Och, mamy odziedziczyć Ziemię, jeśli o to ci chodzi – odparła nonszalancko²¹.

Pogarda to jedna z pierwszych cech pozafizycznych, którą zauważa bohater. I chociaż nie umie zdefiniować, na czym opiera się przeświadczenie odnośnie obcości interlokutorki, jest pewien, że:

była obcą w obcym kraju. Kraju, który obnażył jej cechy narodowe (...). To, co było w niej odpychające, wynikało z odmienności perspektywy. Człowiek nie różni się zbyt od konia. Jak czegoś nie rozumie, to się tego boi i postrzega jako złowrogą siłę. I taką właśnie jawiła mi się dziewczyna²².

Nie dopuszczając do siebie myśli, że przybyszka faktycznie jest bytem pozaludzkim, protagonista jednocześnie zdaje sobie sprawę, że nie jest potrafi zrozumieć istoty dziwności w jej zachowaniu. Kwestie, które wygłasza, brzmią fonetycznie poprawnie, lecz przypominają odtwarzanie płyty gramofonowej: *Była w niej jakaś nowość, dziwność. Czasami robiła wrażenie szalonej, innym znów razem porażało mnie, jak bardzo pozostawała przy zdrowych zmysłach*²³. I dalej:

Dziewczyna była zagadką, a zagadka rozwiązana staje się trywialną. I ona również taką by się okazała, gdybym tylko znalazł do niej klucz. Przyszło mi do głowy, że chciała, bym uważał ją za symbol przyszłości – przedstawicielkę pokolenia, które odziedziczy Ziemię. Bawiła się ze mną w ciuciu babkę w tej swojej natarczywej nowoczesności. Pragnęła uświadomić mi, jaki jestem niedzisiejszy – że sposób myślenia zarówno mój, jak i moich rówieśników nieodwołalnie przeminął. Musimy zostać zepchnięci na margines, odsunąć od siebie staroświeckie zwyczaje. Oczywiście było, że to ona lepiej przystosowała się do tempa współczesnego życia. Miała w sobie coś takiego – nie tylko spryt, nie tylko bezlitosną determinację, ale coś zupełnie innego. Coś, czym mogła zaimponować znacznie bardziej. Może była to jedynie pewność spadkobierczyni, ta szczególna cecha, którą wyznają przedstawiciele imperium Zachodu. Ale ja nie byłem Murzynem ani nawet Hindusem. Do diabła, przecież byłem kimś! Kimś przecież byłem...²⁴.

Rzekoma siostra staje się zatem przyczynkiem do rozważań nad kondycją ówczesnego świata. Być może dziewczyna jest obca, ponieważ reprezentuje nowoczesność, zapowiada nadejście zmian. Do Arthura od pierwszego spotkania zwraca się bardzo bezpośrednio, jeździ na rowerze, zachowuje się nonszalancko. Jednocześnie aluzje do narodów i imperium Zachodu sprawiają, że czytelnik zostaje wytracony na chwilę ze scenki miastowej, powraca motyw z *Jądra ciemności*, który będzie towarzyszył nam już stale w tekście. Czy jednak, jak przedstawia to Granger, dziewczyna faktycznie jest przedstawicielką Zachodu? Finalnie skompromituje spółkę, która jawnie nawiązuje do idei Kompanii z *Jądra ciemności*, właściwie można by ją uznać za tę samą firmę, zakładającą jedną ze swych filii w innym zakątku Ziemi (tym razem na Grenlandii). To Arthur, zapewniając, że nie jest „Murzynem czy Hindusem”, ale „kims”, obnaża własny rasizm, imperializm i uprzedzenia.

Co więcej, dziewczyna wchodzi w świat pełen mężczyzn, od których okazuje się sprytniejsza. *Jądro ciemności* stanowiło opowieść o brutalnym świecie mężczyzn, którego istnienie jest konieczne, gdyż:

To ciekawe, jak dalece kobiety nie mają poczucia rzeczywistości. Żyją we własnym świecie, który właściwie nigdy nie istniał i istnieć nie może. Jest na to o wiele za piękny, a gdyby można taki świat zbudować, rozleciałby się przed zachodem słońca. Pierwszy lepszy nieznośny fakt, z którym my mężczyźni współżyjemy zgodnie od chwili stworzenia, wyrwałyby się i dałby w łeb całej historii²⁵.

Jednak to Marlow, mężczyzna, straci poczucie rzeczywistości w zetknięciu ze światem innych mężczyzn, którzy – jak sam się przekonuje – wcale nie żyją ze sobą zgodnie, podczas gdy nieliczne występujące w opowiadaniu kobiety zachowują własną tożsamość. To świat mężczyzn, nie kobiet, rozpada się do tego stopnia, że czytelnik wraz z protagonistą zaczyna powątpiewać w strukturę rzeczywistości, nie wiedząc, czy to, co się dzieje, jest subiektywną wizją kapitana czy też szeregiem zjawisk fizycznych, zachodzących naprawdę. Mimo to kobiety w *Jądrze ciemności* stanowiły zwierciadła mężczyzn, odbijające ich naturę, a także rodzaj wieszczek wydarzeń, reprezentantek losu. I chociaż rasa z Czwartego Wymiaru nic nie mówi na temat feminizmu, jasnym jest, iż świat *Następców* to świat rewolucji, w której to kobiety zajmują się sprawami

politycznymi („siostra”, panna Churchill, pani Granger). Ciotka Arthura nie jest troskliwą ciotką Marlowa, lecz kobietą, której Salon zagraża fundamentom politycznej rzeczywistości ówczesnej Anglii. Co więcej, dziewczyna zdaje sobie sprawę z przewagi intelektualnej nad „pseudo-bratem”. W rozmowie z nim, wiedząc, że ten nie przyjmuje argumentów na temat faktycznego pochodzenia, żartuje i ironizuje: *Jesteśmy bardzo zajęte. My, to znaczy moja ciotka, bo ja jestem na to o wiele za młoda i stateczna, mamy mały salonik, w którym knujemy spiski przeciwko europejskim rządóm. Pojęcia nie masz, jakie z nas legitymistki*²⁶. Lecz podczas tego samego dialogu z tonacji żartobliwej przechodzi zaraz do tonacji serio: – *Bo jeśli chcesz zrozumieć, musisz dosłownie brać to, co mówię. Ale tego nie zrobisz. Odpowiadają mi jedynie niespokojne państwa, które tym bardziej pogrążam w chaosie, sam zresztą zobaczysz*²⁷. Okazuje się bowiem, że misją dziewczyny jest pogrążanie państw w chaosie.

Z czasem wychodzą jednak na jaw niepokojące, wręcz psychopatyczne cechy siostry. *Przykręciłam śrubę Halderschrodtowi... Przepuszczam, że popełni samobójstwo za dzień lub dwa. A potem... rozpocznie się zabawa – mówi beztrósko*²⁸. Jednocześnie, mimo zapewnień, że Wymiarowcy pozbawieni są uczuć, wyraźnie przywiązuje się do Arthura. Poślubia jednak Gurnarda, aktywistę politycznego, który staje się marionetką w jej rękach. Powodzenie misji „odziedziczenia Ziemi” zależne jest bowiem od układów... z ludźmi: *Nie wyjdę za mąż za Gurnarda przez wzgląd na to, kim jest w tym świecie, ale na to, kim jest w tamtym. To nie jest małżeństwo w twoim rozumieniu*²⁹. Dlatego przedstawicielka obcej rasy nie może poślubić przypadkowego człowieka: – *Jesteś... dla mnie... tylko portretem mężczyzny, człowieka, który był martwy przez... och, długi czas. A ja jestem dla ciebie tylko potencjałem... koncepcją... Starasz się mnie usidlić, uczynić realną*³⁰.

Stosunek do Wymiarowców do ludzi musi być więc siłą rzeczy oziębły, nastawieni są bowiem nie na współpracę, lecz eksplorację ludzkiej spuścizny.

4. Wymiarowcy

Jedną z najciekawszych kwestii pojawiających się w powieści stanowią opisy Wymiarowców. Wymiarowcy są istotami z pozoru przypominającymi ludzi, lecz chociaż wyglądają jak przedstawiciele tego gatunku, ich motywacje, działania, a nawet pewne cechy wymskające się z klasyfikacji znacznie odróżniają ich od Ziemiaków. Tajemnicza dziewczyna, która przyjmuje na siebie rolę rzeczniczki, wybrawszy na swą ofiarę sojusznika, który pomoże osiągnąć plan, podczas pierwszego spotkania wyjawia nie tylko pochodzenie i naturę Czwartego Wymiaru, lecz także plany zniszczenia Ziemi, prezentując przy tym nadnaturalne moce. Dlaczego zachowuje się tak lekkomyślnie, moglibyśmy zapytać? Ponieważ posiadając umiejętność wnikania w ludzkie umysły (zdolność ta nie jest opisana, lecz można wywnioskować z rozmów i rozmyślań protagonisty, który zauważa, że dziewczyna zna najbardziej tajone sekrety zarówno jego samego, jak i innych), zdaje sobie sprawę z niewiarygodności własnej opowieści. Wie, że Arthur jej nie uwierzy, co więcej – nawet jeśli by uwierzył i próbował przekonać do tego innych, nie znalazłby poklasku, gdyż pomysł najazdu na Ziemię istot z obcego wymiaru w XIX-wiecznym Londynie wydaje się absurdalny. Młody pisarz zresztą sam się o tym przekonuje. Gdy pewnego wieczoru udaje się do przyjaciela, słynnego krytyka literackiego, pyta go o tajemnicze zgrupowanie:

– Nawiasem mówiąc, nie znasz czasem pewnej kliki zwanej Wymiarowcami? Ścisłej mówiąc – Czwartowymiarowcami?

– Nigdy o nich nie słyszałem – zapewnił. – A w czym się specjalizują?

– Mają odziedziczyć Ziemię.

– Och, w takim razie życzę im powodzenia i udanej zabawy – uciął temat.

– Czyli nie jesteś jednym z nich? To chyba rodzaj jakiegoś tajnego stowarzyszenia – kontynuowałem, lecz on już nie słuchał³¹.

Wszelkie informacje siłą rzeczy musi czerpać zatem od swojej rzekomej siostry. Nie są to jednak tylko opowieści. Dziewczyna fizycznie pokazuje mu Czwarty Wymiar:

Jest to zamieszkała przestrzeń, niewidzialna dla naszych oczu, lecz wszechobecna. Ujrzałem ją, gdy wieża katedry zakołysała się przede mną. Poznałem charakter Czwartowymiarowców – istot prostych, nadzwyczaj praktycznych, niesamowitych: bez ideałów, uprzedzeń i wyrzutów

sumienia, bez rozumienia sztuki i szacunku dla życia, wolnych od tradycji etycznych, nieczułych na ból, słabość, cierpienie i śmierć, jak gdyby były nietykalne i nieśmiertelne. Nieznajoma nie powiedziała jednak, że jej rasa jest nieśmiertelna³².

W gruncie na przestrzeni całej książki nie pada szczegółowy opis krainy, w której Wymiarowcy żyją. Z powyższego fragmentu wiadomo tylko, że są śmiertelni, fizyczni, pozbawieni emocji, w tym zmysłu estetycznego (nie rozumieją więc sztuki i kultury). Nieznajoma zasłania się wymówką, że wyjaśnienie istoty zjawiska nie jest możliwe. *To tak, jakby próbować wyjaśnić cuda przyszłego wieku osobie żyjącej w poprzedniej epoce. – Przerwała, szukając dosadnej analogii, która by do mnie przemówiła. – Jakbym wyjaśniała doktorowi Johnsonowi warsztat i cechy poezji w dialekcie cockney*³³.

Koresponduje to z tezą Marlowa na temat niepoznawalności cudzego życia: *niepodobna dać komuś żywego pojęcia o jakiegokolwiek epoce swego życia – o tym, co stanowi jej prawdę, jej znaczenie, jej subtelność i przejmującą treść. To niemożliwe. Żyjemy tak, jak śnimy – samotni...*³⁴.

Jednak ludzie i Czwartowymiarowcy posiadają wspólne korzenie. Przybysze jawią się jako upadłe anioły, które z doskonałej rzeczywistości – nieba – zostały zepchnięte na Ziemię. Ceną za upadek okazują się zarówno pozytywne, jak i negatywne emocje:

...wasi przodkowie byli moimi, ale dawno temu zostaliście wypchnięci z Czwartego Wymiaru i rozpleniliście się po Ziemi, tak jak i my uczynimy to niebawem. Zapadliście jednak na pewne choroby, które i nas zaczynają nękać – wierzenia, tradycje, lęki, idee współczucia i... miłości. Znaleźliście szczęście w kulcie własnych ideałów oraz smutku. Uśmierzyliście tęsknotę wiarą i sztuką. Zapomnieliście!³⁵

Poczucie absurdu u Arthura jest tak wielkie, iż odnosi wrażenie, że stanął twarzą w twarz z najwyższą prawdą. Podobny zwrot zostaje pada pod koniec powieści, gdy Churchill zostaje uprowadzony do upadku: *Wiesz, co to jest – swoista prawda, cały stary porządek rzeczy. Gdy zaś następuje przebudzenie: Widziałem to wszystko z intensywnością i jasnością objawienia; widziałem to tak, jakbym przespał cały rok pracy i marzeń, budząc się do prawdy*³⁶. W *Jądrze ciemności* również pojawia się ta fraza: „prawda

bez maski czasu”. Paradoks polega na tym, iż prawda w noweli Conrada zasadza się na posiadaniu przymiotów, które odrzucają Wymiarowcy:

Dusza ludzka jest zdolna do wszystkiego – ponieważ zawiera w sobie wszystko, zarówno przeszłość, jak przyszłość. Cóż tam było właściwie? Radość, przestach, smutek, ofiarność, męstwo czy wściekłość – któż to mógł powiedzieć? – ale była tam prawda – prawda bez maski czasu³⁷.

Prawda istot z Czwartego Wymiaru nie może być prawdą ludzi. Nie zostanie przez nich ani przyjęta, ani zrozumiana, gdyż ludzie żyją w czasie, a Czwarty Wymiar, sam będąc czasem, znajduje się poza jego zasięgiem. Dla ludzi przyszłość i przeszłość oznaczają porządek trwania gatunku, dla Wymiarowców pojęcia te nie istnieją. Prawdopodobnie trwanie w bezustannym „teraz” sprawia, że nie znając koncepcji logiki przyczynowo-skutkowej, nie odczuwają emocji.

Dziewczyna nie ogranicza się do opisu cech, ale również wieszczy apokalipsę, jaką sprowadzają na siebie ludzie, traktując w analogiczny sposób inne rasy:

Czwartowymiarowcy przylecieć mieli w rojach, zmaterializować się i pożerać wszystko niczym szarańcza. Nie można było z nimi walczyć, ponieważ nie dało się ich rozpoznać. Mieli spaść niczym śnieg w nocy: gdy rano podziwiamy, że nagle świat zrobił się biały. Mieli przybyć niespostrzeżenie jak siwizna na głowie, by wyssać z nas siłę ducha, tak jak czas pozbawia siłę mięśni. Jeśli chodzi o metody, powinniśmy zostać potraktowani tak, jak sami traktujemy niższe rasy. Nie będzie walki, zabijania. My, cały nasz system społeczny, złamiemy się niczym gałązka, ponieważ jesteśmy toczeni przez robaki zwane altruizmem i etyką. W najgorszym razie przeslibyśmy przez pewną granicę, pewien etap, w którym wykrzykiwalibyśmy: „Nie, to zbyt okrutne” – ponieważ mieliśmy skrupuły, które ciążyły niczym kamienie. (...) „Będziemy was ścigać, ale my nie będziemy niczym obciążeni” oraz „My po prostu przygnieciemy was naszym ciężarem”. Przepowiedziała panowanie terroru. Gdy ktoś będzie mijał na ulicy sąsiada, obrzuci go nienawistnym, podejrzliwym spojrzeniem³⁸.

Słowa dziewczyny uzupełnia nastrój zachodzącego słońca: *Milczałem. Ptaki śpiewały pod zachodzącym słońcem. Między gałęziami było bardzo ciemno, kolory świata gasły z minuty na minutę. Ogarnęło mnie uczucie*

*niepokoju*³⁹. Scena ta jest niemal identyczna jak w *Jądrze ciemności*. Gdy Marlow zaczyna swą opowieść, narrator zauważa, że wraz z kolejnymi słowami o podbojach i ciemności Ziemi słońce symbolicznie znika, pogrążając świat w mroku: *Tylko ku zachodowi mrok tkwił posepnie nad górnym biegiem rzeki i ściemniał się z każdą minutą, jakby rozgniewany zbliżaniem się słońca*⁴⁰.

Z jakiegoś powodu bohaterce zależy na tym, by Granger świadomie zdecydował się na współpracę z Wymiarowcami. Zapytana, skąd pomysł, że do nich przystanie, odpowiada:

W końcu będziesz musiał, a ja nie chcę tracić sił. Gdybyś musiał współpracować z nami nieświadomie, stawiałbyś opór i się buntował. Powinnam wykorzystać mą władzę nad tobą. Będziesz opierał się tylko na początku, a potem zaczniesz rozumieć. (...) Zobaczysz, jak sieci płaczą się coraz bardziej i zaczniesz rozumieć. Wtedy przestaniesz się opierać. To wszystko⁴¹.

I faktycznie, w pewnym momencie Arthur zaczyna podawać w wątpliwość rzeczywistość, którą zna: *poczułem, jak straciliśmy królestwo farsowej alegorii*⁴². Bohater nie godzi się na taki obraz świata. Nie wierzy w rewolucję, która przynosi zło i zniszczenie. Jednak ludzie i Wymiarowcy to gatunki, które nie mogą ze sobą współegzystować. Jak mówi dziewczyna: *Nasze języki są różne i nie ma między nami mostu, żadnego mostu. Nie możemy się spotykać...*⁴³.

Kolejna analogia nasuwa się w związku z pojęciem Losu, Fatum. W *Jądrze ciemności* u „wrót ciemności” siedzą dwie Parki, które przepowiadają Marlowowi miejsce, do którego się uda. Tutaj nie następuje zmiana na poziomie przestrzennym, lecz struktury społecznej. Otoczenie pozostaje takie samo, bohater podejmuje jedynie podróż wewnętrzną. W *Jądrze ciemności* protagonista udawał się do granic świata i dopiero tam widział, jak zmienia się rzeczywistość, a jej prawa ulegają zawieszeniu. Znajdował się na obcym gruncie. Tu, choć jest u siebie, dochodzi do wtargnięcia obcych bytów, innych istot, które zaburzają logikę świata. Sama ich obecność, bycie obok ludzi, zaburza już postrzeganie. W tym sensie powieść ta podobna jest do *Wojny światów*. W *Jądrze ciemności* bytami obcymi, które zakłócają harmonię świata, są

Europejczycy w Afryce. Tutaj sytuacja jest odwrotna, pojawia się pytanie: „A co by było, gdyby i nas najechali?”. Jak opisuje Arthur:

Była jak Los, jak straszliwe Fatum, które pustoszy całe nasze życie, pozbawia nadziei, zmienia plany, jest ohydną mozaiką szczątków podobnych do posągów, rozbijanych młotami. Bezsensowny, nieodgadniony, pozbawiony radości Los, którego nienawidzimy, a który zniszczy nas na wieki wieków. Tym właśnie była dla mnie i... dla ilu jeszcze ludzi?⁴⁴.

Dziewczyna staje się więc symbolicznym Losem, pełniąc funkcję podobną do „jądra ciemności” jako nienazywalnej, wyżej od człowieka siły, która organizuje świat zarówno przyrody, jak i ludzi. Dziewczyna zdaje się żywiołem napadającym zniemacka na rodzaj ludzki. Jednocześnie w powyższym opisie uderza bezosobowość tego, czym się jawi. „Mozaika szczątków” świadczy o tym, że nie reprezentuje samej siebie, lecz jakąś wieloaspektową moc.

Co ciekawe, Wymiarowcy nie potrafią wyjaśnić motywacji własnych decyzji. Zdają się jakby kierowani prawami gatunku, pewnym instynktem destrukcji. W rozmowie z Foxem bohater pyta go:

Po co przybyliście? Po co żyjecie? Czym się to skończy?

— Ach, gdybym tylko wiedział... — odparł niedbale⁴⁵.

Jednak, wbrew własnym oczekiwaniom, bohaterka ulega emocjom: *Kiedy przybyłam, weszłam w świat cieni. Czym były dla mnie ludzkie namiętności, radości, lęki, rozpacz, podniecenie?*⁴⁶.

Jest to istotna koncepcja, którą posłużył się także Conrad w *Jądrze ciemności*. Niemal wszystkie postaci jawiły się jako duchy, cienie, widma, świat zaś przywodził na myśl piekło. Ale koncepcję ludzi jak cieni możemy wiązać także chociażby z jaskinią platońską, gdzie byty żyją w jaskini, widząc odbicie prawdziwego świata jako cień. Korespondowałyby to z ogólną wymową utworu, z której wynika, że pewne prawdy są niepoznawalne. Podobnie jest i w *Następcach*. W takim znaczeniu świat ludzi jest dla Wymiarowców jedynie odbiciem ich własnego świata, zniekształconym przez czas oraz emocje. Jesteśmy więc cieniami istot wyższych, żyjących na innym poziomie świadomości.

Dziewczyna jednak uczy się życia i doświadcza pewnych emocji, podobnie zresztą jak Fox. To jednak bohaterka dokończy dzieła

zniszczenia. Dla Wymiarowców ludzie są płacy, gdyż brakuje im perspektywy. To niezwykle ciekawe odwrócenie motywu z *Jądra ciemności*, gdy Marlow widzi, że niektórzy urzędnicy pozbawieni są wnętrza, puści, wydrażeni. Przeciwwstawieni zostają im ludzie, którzy mają wartości. Tu odwrotnie – wydrażeni okazują się ci, którzy odczuwają emocje. Przydarza się to jednemu z Wymiarowców, Foxowi.

Był tu jeden z nas, twój przyjaciel Fox. Przyszedł na świat, ale nie miał odwagi, by trzymać się z dala od was. Powiedział ci: „Tu człowiek ślepnie”. Zaczął czuć się trochę jak wszyscy wokół. Przejawiał upodobania i niechęci. Lubił cię... A ty go zdradziłaś. Więc odszedł. Oślepnął. Ale ja nie oślepnęłam. Widzę równie dobrze, jak widziałem. Poruszam się tak, jakbym była w świecie... odbić ludzkich. Oni rozpaczają. Słyszę jęki... Cóż, to jęki umarłych. Dla ciebie to platanina krętych intryg, podłość w najdrobniejszym szczególe. Ale idźmy dalej. Stań obok mnie i powiedz, jak to wygląda? Oto olbrzymia machina rozpadu. Zniszczyła całą tkaninę, całą strukturę społeczeństwa. To właśnie się stało. Ja nią kierowałam. Musiałam czuwać nad każdym szczegółem, być zawsze na straży. (...) A teraz zostałam sama. Wczoraj ta struktura była dla ciebie wszystkim, wydawała się wystarczająco solidna. A dzisiaj? Czy znaczy dla ciebie więcej niż dla mnie? Tu stała Cnota. A tu Uczciwość. To i wszystkie rzeczy, które reprezentowali ludzie. Cóż, dziś ich już nie ma. Sama wiara zniknęła⁴⁷.

Dziewczyna wyśmiewa istotę struktury społecznej, która rozpada się wskutek skomplikowanych układów. Co więcej, inaczej niż Kurtz, od samego początku zdaje sobie sprawę, kim jest, jaki rezultat przyniesie jej działanie. Jest także świadoma własnych przymiotów intelektualnych: *Mój umysł jest umysłem mistrza*⁴⁸. Dziewczyna stanowi odpowiedź na to, kim był Kurtz i jak wyglądały jego metody:

Byłam narzędziem w rękach przeszłości. Nigdy nie zboczyłam z drogi. Poszłam w swoją stronę. Musiałam osądzać i deprawować ludzi. Ciebie też. Schlebiałam, przekupywałam, mamiałam nadzieję. I z każdym, tak jak z tobą, udało mi się. Właśnie w tej mocy leży sekret cnoty. Musiałam stworzyć dzieło sztuki, obcej dla ciebie i was wszystkich jak sztuka martwych narodów. Teraz jesteś martwy, a moja sztuka dopiero nastanie. Pozostaje wam tylko złożyć ręce i dziwić się, jak robiliście to u bram

Niniwy. Musiałam uderzyć w larum starego porządku, waszych cnót, waszych zaszczytów, waszych wyznań... altruizmu, jeśli wolisz. Cóż, tak właśnie było. Stałam zawsze na straży. Przewidywałam, uprzedzałam. Nigdy nie odpoczywałam⁴⁹.

Cały fantastyczny pomysł Wymiarowców zasadza się na niemożliwości obalenia ani potwierdzenia ich istnienia. Reprezentują obcość podobną do „jądra ciemności” jako konceptu. Zostali nazwani i w jakiś sposób opisani, lecz wiedza na ich temat jest enigmatyczna. Są „jądrem ciemności”, gdyż przynoszą zarówno śmierć, upadek, zgubę, jak i nieznanne. Podobnie jak afrykańska dzicz, ciemność Konga, istota pana Kurtza – wchłaniają w siebie różne zjawiska, pozostawiając pustkę i mrok.

5. Zdarzenia nadnaturalne

W *Następcach* zdarzeń, zjawisk czy też istot kojarzących się nadnaturalnie, w jakiś sposób nacechowanych fantastycznie lub quasi-fantastycznie, jest znacznie mniej niż w *Jądrze ciemności*, lecz funkcjonują one na zupełnie innym poziomie. Przystają być sugestią, stanem granicznym, przywidzeniem, czymś nieuchwytnym, a stają się podstawowym elementem fabuły. To opowieść o kontakcie z nieprzyjaznym obcym, który wydaje się... nami samymi i radykalnej inwazji tej obcości, prowadzącej do destrukcji dotychczas znanego świata.

Wtargnięcie „fantastycznego” nie zmienia struktury świata w sposób fizyczny. Prawa rządzące czasem i przestrzenią nie ulegają zawieszeniu lub przemianowaniu, świat z pozoru wygląda tak samo. Pojawiają się jednak sceny, w których elementy fantastyczne zostają wyeksponowane. Dotarłszy na wzgórze, nieznajoma pozwala Arthurowi na wgląd w zamieszkiwany przez nią świat. Wypowiada we własnym języku zdanie: *Mieszkam w czwartym wymiarze*⁵⁰. Pokazuje mu także obcą krainę:

Wszystko straciło znaczenie. Zdawało mi się, że widzę coś jeszcze. Coś większego od samej katedry, a nawet wyobrażeń bogów, dla których wzniesiono świątynię. Wieża zakolysała się. Poza prostopadłościennym gmachem nie można było dostrzec dachów, dymu, wzgórza, ale fantastyczny, nierealny, nieskończenie rozległy krajobraz⁵¹.

Wizja trwa na tyle krótko, że Arthur nie dowierza, iż faktycznie ujrzał Czwarty Wymiar. Co więcej, czytelnik z opisu nie dowiaduje się praktycznie niczego. Znika widok miasta, pojawia się „fantastyczny”, „nierealny”, „nieskończenie rozległy” krajobraz, lecz nie wiadomo, czym się charakteryzuje.

Po raz trzeci do wkroczenia fantastyki dochodzi w mijanej po drodze tawernie. Dziewczyna zdaje się wypowiadać zaklęcie, które sprawia, że klient rozlewa piwo.

Zbliżaliśmy się do małego przydrożnego zajazdu. Na ławce przed drzwiami, z głową spoczywającą na stole, spał ubrany w łachmany wieśniak.

– Zatkaj sobie uszy! – rozkazała moja towarzyszka, a ja posłuchałem.

Widziałem, jak poruszają się jej wargi. Mężczyzna ocknął się, wzdrygnął i niezdarnym, konwulsyjnym ruchem strącił kufel. Przetarł oczy. Zanim zdążył wyrazić wściekłość, poszliśmy już dalej⁵².

Wszystko, czego Arthur doświadcza, zrzuca na karb zmęczenia wywołanego szybkim marszem oraz zauroczeniem ekscentryczną kobietą.

6. Jasność i mrok

Z *Jądrem ciemności* *Następcy* dzielą też zamiłowanie do gry pomiędzy światłem a ciemnością. Krajobraz w obu dziełach bywa również zamglony.

Jedna z pierwszych scen *Następców*, gdy bohaterowie udają się na wycieczkę, zaczyna się tak: *W otaczających nas lasach kryło się widmo minionego świata, małe zasłony nieruchomej mgły, jakby w bruzdach nieskalanych przez wielki świat czas w ogóle nie istniał. Wszystko mogło się zdarzyć*⁵³. Jest to kontaminacja kilku opisów z *Jadra ciemności*, z którego najbliższy zdaje się ten ustęp: *Za płotem stał las, widmowy w blasku księżyca, mętny ruch, skroś słabe odgłosy tego nędznego dziedzińca, cisza kraju przenikała do duszy – jego tajemnica, jego wielkość, zdumiewająca rzeczywistość jego ukrytego życia*⁵⁴.

W obu przypadkach istnieje jakaś ograniczona, względnie znana i przyjazna przestrzeń (dla Marlowa jest to jego statek i stacja w dżungli, dla Arthura miasto Londyn), jednak „za płotem” (w *Następcach* pojawia się z kolei żywopłot) pod osłoną nocy, skąpana w blasku księżyca i mgłę rozciąga się obca kraina, niedostępna i tajemnicza zarówno z powodu warunków atmosferycznych, jak i specyfiki przestrzeni. Oba lasy kryją w sobie „jądro ciemności” – Arthurowi towarzyszy przedstawicielka przybyszów z innego wymiaru, która wkrótce doprowadzi do poważnych przemian na świecie, Marlow wie, że w dżungli kryją się potwory, realne i symboliczne, wyobrażone i wyśnione, a także sam Kurtz, personifikacja nieznanego. Owo „wszystko mogło się zdarzyć”, pomyślane przez Arthura, pozwala, by najróżniejsze hipotezy zaczęły się urzeczywistniać.

Ciemność to zjawisko, które podobnie jak w bohaterach *Jądra ciemności* wzbudza grozę, nie pozwala również na jasny osąd sytuacji, miesza zmysły: *Od początku uderzyła mnie jakaś groza, ale teraz, w ciemnościach, jej milczenie i chłód zdawały się stanowić niemą zapowiedź dziwnego splątania*⁵⁵.

W czasie rozstania mgła i poświata księżyca sprawiają, że dziewczyna i sytuacja, którą protagonista przeżył, jawią się jako nierealne, fantasmagoryczne, ze snu. W momencie, gdy bohater przez dziurę w żywopłocie widzi blask białej ściany domu rodzinnego, uświadamia sobie, że doszło do spotkania ze sobą dwóch światów. *Nie wiedziałem, czy jestem zadowolony czy przerażony. Przez szczelinę w żywopłocie dostrzegłem błysk białej ściany domu. Zdawało się, że należy do innego świata, innej rzeczywistości*⁵⁶.

I faktycznie, w momencie, gdy bohaterka znika, zdaje się, że rozplywa się w ciemnościach niczym mara, a jej absencja przywraca spokój ducha i równowagę protagoniście. Zetknięcie dwóch światów sprawia, że Arthur zaczyna kwestionować rzeczywistość. Który świat jest tym prawdziwym? *Zastanawiałem się, co jest prawdziwe: pospolity krajobraz ze skąpanymi w mgłę żywopłotami i widmowym księżycem czy może ten pokój z szeregami równo ułożonych książek i popiersiem wielkiego człowieka (...)*⁵⁷.

Również miasto Londyn w obu książkach zostaje opisane jako „kolebka mroku”. W *Następcach* pojawia się niemal dosłowny cytat z noweli o wyprawie do Konga. Marlow opisuje dawne wieki, lecz tym

razem nie odnosi się on jednak do przeszłości, lecz do terażniejszości. Oto bowiem bohater wyrusza na poszukiwanie swojego przyjaciela, mijając po drodze ludzki tłum. Sytuacja zdaje się paranoiczna, przypomina koszmar. Ludzie są nieprzyjaźni, mijają w pośpiechu i nawet elementy martwe – drzwi, okna domostw zdają się mieć złowrogie intencje:

Wokół mnie rozciągało się ogromne miasto – kolebka straszliwego mroku. Ludzie, tysiące ludzi, mijali mnie w pośpiechu, załatwiali jakieś sprawy, wyznaczali sobie cele, mieli z kim porozmawiać, pożartować. A ja nie miałem nikogo. Wielkie miasto, ta przerażająca czerni, nie przyjęło mnie do swych trzewi. Fasady domów, wpatrzone we mnie okna, zamknięte drzwi, ale w środku pusto – żadnych pokoi, żadnych miejsc⁵⁸.

Poczucie nierzeczywistości towarzyszy bohaterowi nieustannie, zwłaszcza w zetknięciu z „wymiarową panną”, jak nazywa nieznajomą. Jawi mu się, podobnie jak Narzeczona Kurtza: w bieli, mimo że roztacza mrok:

Po niedzielnej kolacji spacerowaliśmy po jego ogrodzie w półmroku. Białe światło jaśniało na lśniących liściach laurowych i osiadało na miękkich chmurkach kwiatów owocowych. Zamieszkało także na srebrnych pasmach jego ciemnych włosów, czyniąc twarz starszą i bledszą. Miałem wrażenie, że doświadczam jakiejś szczególnej ironii, jak umierający człowiek snujący plany na przyszły rok, którego nie doczeka. Towarzyszyło mi poczucie nierzeczywistości⁵⁹.

Pojawia się też aluzja do umierającego słońca. W trakcie jednej z wizyt u Jenkisa Arthur, obserwując je, zauważa, iż przypomina słońce, które podobnie jak w *Jądrze ciemności* gaśnie, zwiastując nadejście końca świata.

Wychodził z pokoju, aby przynieść jakieś dokumenty czy przyspieszyć podanie herbaty. Pozbawione jego obecności miejsce nagle stało się widmowe. To było tak, jakby słońce umarło na niebie i opuściło nas w tym podziemnym świecie, w którym martwe, pogrzebane echa przeszłości żyją w szarym, bezcieniowym świetle. Paleta Jenkinsa świeciła kolorami nad kłębowiskiem poplamionych szmat leżących na biurku. Trzciniowe krzesło przypominało smaganą wiatrem strzechę⁶⁰.

W scenie tej zostaje zresztą przywołanych kilka tematów przewijających się w noweli o wyprawie w mrok. Dochodzi do

pomieszania porządku czasu i przestrzeni, przesunięciu fabuły. Jakby Arthur stał się nagle Marlowem, przenosząc z gabinetu w środku miasta do chatki na skraju dżungli. Świat wokół staje się widmowy, przypomina krajinę umarłych (jak Inferno, któremu przygląda się Marlow), wszystko wokół jest równie martwe jak słońce. Paleta Jenkinsa staje się kolorową mapą czy też barwnym strojem Arlekina, a trzcinowe krzesło strzechą.

Takich „przebłysków” z *Jądra ciemności* wiążących się z motywem mroku i jasności jest więcej. Pojawia się chociażby motyw mauzoleum. Arthur nie odwiedza przygodnie miasta grobów, by załatwić w nim pośpiesznie sprawy wyjazdu do dżungli. Idzie o krok dalej za Marlowem, a właściwie staje się Marlowem, który zamieszkał nie w Brukseli, lecz w Londynie: *W klubie dziennikarzy politycznych – ogromnym mauzoleum białych cegieł – miałem swój pokój*⁶¹. Historia zatoczyła koło: Marlow wyruszał do Afryki z miasta grobów, Arthur mieszka w nim przez cały czas.

Ciekawym nawiązaniem jest też scena rozwarcia czeluści, która symbolizuje wciągnięcie bohatera w mrok, pochłonięcie przez obcy wymiar. W pewnym momencie Marlow usiłuje dostać się na „wyższy poziom”, lecz konieczność reparacji statku mu to uniemożliwia. W trakcie przymusowego, trzymiesięcznego pobytu w tropikach przydarzają mu się dziwaczne sytuacje. Podczas jednej z nich ziemia zdaje się otwierać swoje czeluści, zapraszając zapewne do piekła. Podobna sytuacja przytrafia się i Arthurowi: *Bardzo tego chciałem, chciałem się stąd wydostać, pojechać gdzieś, gdzie istniały stabilność i rzeczy, które można zrozumieć. Wszystko tutaj wydawało się spowite we mgle, a ziemia drżała mi pod stopami*⁶².

7. Depersonalizacja

Oprócz zjawisk fizycznych (blask słońca, księżyc, mgła, noc), które wpływają na percepcję zdarzeń Arthura i Marlowa, bohaterowie dzielą też wewnętrzne poczucie zamętu, które w psychologii określamy mianem depersonalizacji, a które mogą wskazywać na zaburzenia osobowości. Pojawiają się zaburzenia czasu. Marlowowi zdaje się, że znalazł się w

prehistorii, zaś Arthur, mimo czerwcowego dnia, dostrzega otaczający go mrok. Wszystko wydaje się przytłaczające i nierealne:

Tak długo byłem w cieniu tego wielkiego domu, zamknięty w mroku, że całe światło, ten płonący świat – a było to czerwcowego dnia w Londynie – wydawały się nierealne i nie do zniesienia. Ponad nim płynęły powolne, zanikające minuty; przeszłość i przyszłość zaczęły istnieć. Czułem się tak, jakbym stał między nimi w szczelinie kruszących się skał⁶³.

Jego postrzeganie ludzi również ulega zniekształceniu. Podobnie jak kapitan „Nellie” widzi postaci na podobieństwo duchów:

Churchill i jego *Cromwell* zjawili się w moim umyśle niczym absurdalne zjawy. Jeden równie nierealny, jak i drugi – niczym obce istoty. Wydawało mi się, że mijały mnie eony im podobnych... Należeli do przeszłości, jak miniony rok⁶⁴.

Zdaje mu się również, że otaczający go ludzie nie są prawdziwi. Odczucie to powstaje przez analogię do Wymiarowców. Paradoksalnie osoby, które nie doświadczają emocji, jawią się jako pełne, zaś miotani namiętnościami ludzie stają się cieniami, gdyż wkrótce przeminą. *Kształty, cienie na kartce. Wyglądali na prawdziwych. Ale czy byli prawdziwi? Ktokolwiek z nich? (...). Wszyscy staniemy się częścią przeszłości cieni*⁶⁵.

Bohater doświadcza też omamów słuchowych: *Ich głosy przenikały się, nierozróżnialne, co było nawet kojące. Wydawało mi się, że słucham brzęczenia młocarki – monotonnie powtarzających się dwóch dźwięków – wyższego i niższego. To, co widzialne, stało się zamglone, zespolone*⁶⁶. Te zaburzenia akustyczne i wizualne wiążą się z faktem, że nie jest pewien, które postaci są ludźmi, kto zaś należy do Wymiarowców, którzy posługują się dźwiękami nieprzypominającymi ludzkiego języka.

Arthur potrafi przechodzić też do stanów euforii. Jednak wówczas szczęście równa się odcięciu od rzeczywistości. Postaci są widmowe. Bohater wydaje się doświadczać mistycznego stanu, poczucia derealizacji, unoszenia się nad własnym ciałem, wkroczenia w wymiar astralny:

Unosiłem się nad nimi, a myśli poruszały się spokojnie jakby w nowym świetle, podobnie jak ludzie poruszają się w promieniach słońca nad grobami zapomnianych zmarłych. Czułem się jak człowiek u progu długiego urlopu – nieskończonego pola beczynności, przepełniony

wielkim szczęściem – szczęściem zbyt wielkim dla słów, zbyt wielkim dla radości. Wszystko było rozkoszne i mgliste, bez kształtów, bez osób. Przez myśl przelatywały mi nazwiska: Fox, Churchill, moja ciotka, lecz byli ledwie żyjącymi ludźmi widzianymi z góry, przemykającymi w mroku, bez indywidualnych cech. Poruszali się w dolinie, z której ja się wynurzyłem. Musiałem o nich śnić⁶⁷.

Sny odgrywają istotną rolę. W jednym z nich protagonista śni o apokalipsie, tej, którą zapowiada gasnące słońce najpierw w *Jądrze ciemności*, potem zaś w *Następcach*: *Wydaje mi się, że pamiętam zaskoczenie. Nie wiem, dlaczego. Być może to efekt długotrwałej katastrofy, która we śnie zgasiła również słońce*⁶⁸.

Wiąże się to z zaburzeniami psychicznymi bohatera, podobnymi do tych, które mógł także doświadczać Marlow. Słyszy głos, budynki zmieniają swoje położenie, a wtedy jakby spogląda w „jądro prawdy”. Następuje załamanie świata, który nie wraca już do pierwotnego kształtu.

Nagle zerwałem się na równe nogi – uczucie, które przedtem mnie wypełniało, wcale nienowe wspomnienie strachu sprawiło, że byłem szybki. Głos zdawał się mówić wyraźnie niezrozumiałe słowa, które wcześniej mnie poruszyły. Strome ściany ogromnych budynków w pobliżu zdawały się przewracać, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi i przez chwilę ujrzałem za nimi nieznaną głębię, które wcześniej nie dostrzegałem. Zupełnie jakby cień unicestwienia przemknął po nich wraz z promieniem słońca. Potem wszystko wróciło do normy, domy znieruchomiały, ale ich wygląd był już odmienny⁶⁹.

Co więcej, sam sobie wydaje się duchem zawieszonym w czasie: *zapadła cisza. Przez chwilę zdawało mi się, że jestem wątłą, bezcielesną istotą, niczym duch w bezdennej szczelinie między przeszłością a przyszłością*⁷⁰.

8. Kurtzowie

W *Jądrze ciemności* Kurtz stanowił oś, wokół której skupiały się wszystkie wysiłki bohaterów, łącznie z samym Marlowem, przyczynę wędrówki, upadku, klucz do wtajemniczenia w „jądro ciemności”. W *Następcach* takich Kurtzów jest kilku. Jako podstawowa siła niszcząca, kumulująca

ciemność, występuje pseudo-siostra Arthura, lecz nie tylko ona przypomina agenta ze Stacji Centralnej.

9. Callan

Callan to stary przyjaciel rodziny Grangerów, pisarz megaloman przekonany o własnej wyjątkowości. Przejawia niezdrowe zamiłowanie do bycia w centrum uwagi, pisze książki kiepskie, lecz z Wielkim Celem Moralnym. To za jego sprawą Arthur zostaje uwikłany w spisek, gdyż pewnego dnia, sądząc, iż wyświadcza mu przysługę, z właściwą sobie nonszalancją oznajmia młodszemu koledze, że wskutek nagłej śmierci redaktora zaprzyjaźnionej gazety zwolnił się wakat przy pisaniu serii artykułów o wybitnych ludziach.

Pan Fox jest szefem propagandowej „Godziny”, który wkrótce zaprzyjaźnia się z Arthurem. Jest też... Wymiarowcem. Chociaż jawi się jako część maszyny, potrafi stanąć z boku. Przypomina dyrektora stacji płynącego po Kurtza, który rozumie, że Kurtz szkodzi interesom Kompanii. To Fox zdradza Grangerowi prawdziwy charakter dziennika. O księciu de Mersch wyraża się tak:

— Wie pan — szepnął Fox — myślę sobie, że szkoda, że wspiera ten grenlandzki biznes. To dość szemrana sprawa, ale przyniesie diabelny zysk, a w pierwszej kolejności należy wziąć pod uwagę interes narodowy. Jeśli ten rząd nie podjąłby się tego, zrobiliby to kolejni, a to stworzyłoby Gurnardowi i jemu podobnym okazję do pognębienia Churchilla i jego ludzi. Nie możemy sobie pozwolić na utratę jakichkolwiek portów węglowych na Grenlandii ani gdziekolwiek indziej. Proszę pamiętać, że pan C. jest w stanie lepiej zadbać o interesy Murzynów. Rozumie pan, prawda?⁷¹.

10. Księżę de Mersch

Jak charakteryzuje go sam Arthur:

Zagraniczny finansista, zwany księciem de Mersch, był kimś na kształt filantropa-megalomana. Międzynarodowe powikłania sprawiły, że został właścicielem miłego kraju o nazwie Grenlandia, który obfitował w złoto, tran i inne bogactwa, ale de Mersch o nich nie myślał. Został przede wszystkim Założycielem Państwa, stając się tytularnym władcą niewielkiego zakątka o statusie księstwa. Żadne z wielkich mocarstw nie chciało się zgodzić na posiadanie wyspy, więc przekazano ją księciu de Mersch, który, jak powiedział Call, w głębi serca żywił wspaniałą wizję stworzenia modelu wzorcowego państwa, w którym wymyć i ubrani na modłę europejską Eskimosi będą wiedli wolne, wspaniałe życie, nie ustępując najlepszym potomkom zachodnich ras. Tak to mniej więcej miało wyglądać⁷².

Pragnienia Kurtza urzeczywistniają się w de Merschu w pełnej krasie. Jest to wcielenie Kurtza, który urodził się jako osoba majątna i z tytułem monarchicznym, a dzięki licznym znajomościom nie musiał wcale udawać się na krańce świata, by szerzyć cywilizację europejską i zyskać status Boga. Afrykanami z Konga stają się tu mieszkańcy Grenlandii, Eskimosi, którym – wedle księcia – należy przynieść „światło cywilizacji do ciemnego zakątka ziemi”⁷³, by uczynić z nich Europejczyków. Jego kością słoniową okazują się cenne kruszce. Duński monarcha posunął się właściwie jeszcze dalej: Kurtz bowiem akceptuje do pewnego stopnia inną kulturę swych podwładnych, de Mersch pragnie ich ujednoczyć „na modłę europejską”.

De Mersch jest więcej osobą najbliższą Kurtzowi, wcieleniem Kurtza zdrowego, w pełni sił, działającego w Europie. To człowiek, który nie waha się przed niczym. O ile Kurtz w Afryce jest mimo wszystko częścią maszyny szerszej pojętego imperializmu, pracownikiem agencji, o którego inni wkrótce się upominają, a swoje królestwo buduje przy pomocy terroru i w okolicznościach izolacji, gdyż opiera się na dziwnym autorytecie i charyzmie, nie zaś układach i pieniądzach, o tyle de Mersch działa całkiem jawnie w środku Europy. To on stoi na czele towarzystwa i wykorzystuje do celów propagandowych założony przez siebie dziennik.

W *Następcach* ni stąd, ni zowąd pojawiają się Murzyni, którzy przecież Grenlandii nie zamieszkują. Jest to oczywiście metafora odmiennej, zdaniem osób takich jak Fox czy de Mersch, gorszej, barbarzyńskiej

kultury. Wydaje się, że książę to tak naprawdę twórca kompanii, do której należy Kurtz, i choć ukierunkowany na Europę, w dalszych planach ma zawłaszczenie Afryki. Wszystko to jednak czyni przy aprobacie organów państwa i prasy. Na zasadzie podobnej do Kurtza wierzy on w fakt, że ludzie żyjący w stanie natury do szczęścia potrzebują „światła cywilizacji”.

Arthur w przeciwieństwie do Marlowa tak bardzo traci kontakt z rzeczywistością, iż zdaje się nie dostrzegać zagrożenia, jakie płyną z kolonialnego przedsięwzięcia de Merscha. Mimo pewnych braków intelektualnych widzi liczne talenty, na które – podobnie jak u Kurtza – złożyła się cała Europa: *W końcu praca, którą podjął, była wspaniała. Chociaż zwykłem zbyt wiele uwagi przywiązywać do walorów intelektualnych, a wyglądało na to, że tych właśnie księciu brakowało. Ceniłem go jednak za to, że pozwolił połączyć się talentom w jedną szlachetną ideę*⁷⁴.

De Mersch i Kurtz są sobie podobni również w kwestii braków. Księciu brakuje walorów intelektualnych, a dusza Kurtza naznaczona jest pustką, jest on Eliotowskim wydrążonym człowiekiem.

Po pewnym czasie bohater, tak jak Marlow drwiący chociażby z wyprawy łupieżczej Eldorado, zauważa, że postępowanie monarchy nie jest zgodne z normami moralnymi: *Jeśli ludzie muszą zabijać na uboczu ogromnego świata, to znaczy, że są mordercami i powinni za to zapłacić*⁷⁵.

W pewnym momencie książę de Mersch odnosi się bezpośrednio do działalności słów pana Kurtza, właściwie je powtarza. Podobnie jak Kurtz, który o kilkaset procent zwiększył podaż na kość słoniową, tak de Mersch mówi:

– Znacznie zwiększyliśmy eksport i import. Chroniliśmy tubylców, mieliśmy na uwadze ich interesy. Nigdy nie zapomnieliśmy o misji powierzonej nam przez Europę – usunąć zło ciemności tej ziemi, wykorzenić barbarzyństwo z jego niezliczonymi okropnościami, których istnienie było zmorą naszych sumień. Ludzie pełni dobrej woli i miłosierdzia to właśnie czynią – kładą na szali swe bezcenne życie, by wykorzenić... By nas wykorzenić...⁷⁶.

Problem zasadza się jednak na tym, że wtłaczając tubylców w europejskie ramy i „wykorzeniając barbarzyństwo”, wykorzeniają lokalne tradycje i tożsamość. Uważają, że wartości europejskie nie tyle są wyższe, lecz uniwersalne, a pewne zachowania uważają za „zło ciemności”. Arthur

jednak zauważa obłudę i zaczyna w stylu Marlowa ironizować: *Można przypuszczać, że tubylcy istnieją właśnie po to, by zostać wykorzeni przez ludzi dobrej woli, z perspektywami. Problem w tym, że ci ludzie właśnie to robili, wykorzeniając barbarzyńców i barbarzyństwo, udowadniając, że są godnymi swych stanowisk*⁷⁷.

Książę de Mersch okazuje się również głosem. Podobnie jak Marlow do Kurtza Arthur żywi do niego mieszane uczucia:

Pełne wargi nabrały bladości i zaczęły mrużyć niewypowiedziane słowa. Jego wzrok wędrował, poczynając od kobiety stojącej obok mnie. Nie chciałem patrzeć mu w twarz. Ten człowiek był handlarzem ludzkiej krwi, złoczyńcą i go nienawidziłem go. Musiał zapłacić swoją cenę. Powinien był zapłacić, ale nie chciałem, żeby zapłacił. Istniała jakaś granica⁷⁸.

Kurtz w *Jądrze ciemności* zdawał się być całym światem, który połyka innych swymi gigantycznymi ustami. Był pierwszym spośród kanibali, zagarniając i ludzi, i zwierzęta, i bogactwa naturalne, podczas gdy to kanibale okazywali się godni zaufania, honorowi. De Mersch z kolei mający na horyzoncie niczym Kurtz, do którego cały czas płynie Marlow. Wysiłki Grangera również mają docelowo związać się z księciem.

Niezwykłym zdawało się, że wielki de Mersch mający na horyzoncie. Zupełnie jakby cały świat skupiał się na nim, jakby reprezentował ducha terażniejszości, który musi zostać oczyszczony przez spalenie, zanim wszystko wróci do normy. Wiedziałem, co reprezentuje... Ale tak to właśnie wyglądało⁷⁹.

Ostatecznie następuje upadek de Merscha, lecz nim to się stanie, okazuje się, że: *gazety donoszą, albo i nie, lecz – co jest jeszcze gorsze – on wcale nie dementuje tego. Mówi się, że ten człowiek jest nikczemnikiem i w Grenlandii kazał mordować czarnych*⁸⁰. Co zastanawiające, wielokrotnie w odniesieniu do mieszkańców Grenlandii pojawiają się słowa: Murzyn czy też czarny. Zupełnie jakby Conrad i Ford przenieśli tubylców z *Jądra ciemności* w realia mroźnej Europy.

11. Arthur – Marlow

Arthur pełni podobną rolę strukturalną w opowieści, co i Marlow. Jest narratorem, przedstawia historię z czasów młodości, opowiada o spisku, w który został wtajemniczony, rzeczywistości, która zaczęła przypominać sen, a także ludziach, dla których praca sprawiła, iż wkroczył w „jądro ciemności”, poznając niewygodną prawdę o świecie. Jednak protagonista *Następców*, w przeciwieństwie do kapitana „Nellie”, jest mniej pewny siebie, bardziej zagubiony, przestraszony, wielokrotnie też próbuje się z przedsięwzięcia wycofać. Marlowa popycha do działania fascynacja Kurtzem i Afryką, zaś Grangera miłość do dziewczyny z Czwartego Wymiaru i perspektywa obracania się we wpływowym towarzystwie artystów i polityków. Jego stosunek do sytuacji, świata, dziewczyny, de Merscha zmienia się z czasem. Na początku tak jak Marlow racjonalizuje to, co się mu przytrafia:

Jako autor cieszyłem się tak przytłaczającym niepowodzeniem, byłem tak absolutnie nierozpoznawalny, że uznałem, iż wyprzedzam swe czasy, uważając się za wojownika jutra. Ta dziewczyna wprawiła mnie w zakłopotanie prostą konkluzją: oświadczyła, że jest potomkinią, mieszką w przyszłości, o którą walczyłem. Prawdopodobnie należała do jakiejś kliki, która nazywała siebie Czwartowymiarowcami, tak jak niegdyś istnieli prerafaelici. Oczywiście w sensie metaforycznym. Zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że nigdy o nich nie słyszałem. I jakim cudem oni usłyszeli akurat o mnie?⁸¹

Stosując wyparcie, wyśmiewa ideę Czwartego Wymiaru, nazywa ją matematycznymi okropieństwami. Sam przyznaje, że jest chory, a jego nerwy znajdują się w ruinie: *Tłumaczyłem sobie, że jestem zmęczony i rozstrojony, a w takim stanie łatwo doświadczyć koszmarnych rojeń*⁸². Ostatecznie jednak uświadamia sobie, że znajduje się w „jądrze prawdy”: *Tkwiałem w samym jądrze tego. W końcu los mnie tam zawiódł, ślepy los, zbieg wszystkich drobnych okoliczności, które prowadzą w nieuniknioną przyszłość*⁸³. Podobnie jak Marlow przestaje odczuwać strach, chociaż przewiduje konsekwencje własnych działań: *Skończyłem ze strachem. Ten biedny diabeł przede mną jawił się nieskończenie oddalony. Zagubił się, ale był tylko jednym z zagubionych; jednym z tych, których widziałem przysięgających przez falę powodzi, którą wzniciłem*⁸⁴.

12. Fox

Fox to – wedle relacji pseudo-siostry – Czwartowymiarowiec, a przy tym założyciel magazynu „Godzina”. Mężczyzna wchodzi z Arthurem w podobną relację, jak Marlow z Kurtzem. W pewnym momencie protagonista uświadamia sobie odmienność człowieka, z którym w ciągu ostatnich miesięcy się zżył: *Przypomniałem sobie, jak już kiedyś wspominałem, że Fox jest osobowością – potęgą. Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak całkowicie różni się od każdego człowieka, jakiego znałem. Był na tyle zaskakujący, że należał do innej rasy*⁸⁵.

Gdy wypadki zaczynają się komplikować, przez chwilę odślania się podobnie jak Kurtz przed Marlowem. Jak agent popada w tajemniczą chorobę psychofizyczną, być może spowodowaną nadmiernym spożyciem alkoholu, coś na kształt delirium, podczas którego gorączkuje, zachowuje się nieracjonalnie:

Jęczał, chichotał i mówił najbardziej zdumiewające rzeczy, bełkocząc i szarpiąc mi nerwy. U szczytu ataku śpiewał hymny, a potem, gdy minął, jego niesamowita jasność umysłu powróciła. Dało mi to, jak wspominałem, nowy wgląd w Foxa. To było tak, jakby przez cały czas, gdy go znałem, odgrywał rolę i to tylko teraz, w delirium bólu, w szaleństwie, w obłędzie pijaństwa, pojawiły się fragmenty prawdziwego człowieka, które wyszły na wierzch⁸⁶.

Obserwując scenę ataku Foxa-Kurtza, Arthur uzmysławia sobie, że widzi horror (dokładnie używa tego słowa). Dopiero widok w takim stanie pozwala bohaterowi uwierzyć, że wydawca faktycznie należy do innej rasy.

13. Gurnard

Pewne cechy Kurtza posiada także Gurnard, przyszły mąż przybyszki z Czwartego Wymiaru. Jest tajemniczy, nie wiadomo zbyt wiele na jego temat, lecz sprawia wrażenie, jakby potrafił przenikać duszę człowieka. Arthur wypowiada się o nim tak:

Lecz jego twarz sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie ujrzała światła dziennego, nie znając słońca. (...) Wydawało mi się, że jego spojrzenie przeniknęło przez tęczówkę oczu w tył czaszki. Uczucie było niemal fizyczne, jakby zwrócono się do mnie niewiarygodnie skupiony reflektor⁸⁷.

Zachodzi pewien paradoks. Z jednej strony twarz Gurnarda jest blada, lecz posłużenie się metaforą braku słońca nadaje mu apokaliptyczne i zarazem wampiryczne konotacje. Przywodzi na myśl także Kurtza w jamie, czekającego na śmierć. Czy jednak stanowi ucieleśnienie ciemności? Niekoniecznie. Nie będąc dotknięty światłem z zewnątrz, sam je emituje. To pewna nowa jakość w stosunku do agenta, który był ciemnością i emitował ją na swoje otoczenie. Tymczasem Gurnard niczym przy pomocy promieni Roentgena prześwietla umysł Arthura. Jego wzrok nie wsacza światła, wykorzystuje je jedynie, aby przybliżyć się do prawdy. Jednocześnie Arthur, podobnie jak Marlow, cały czas zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Co więcej – Gurnard jawi się Arthurowi jako głos: *pozostaje dla mnie głosem*⁸⁸.

14. Kolej Transgrenladzka

Kolej Transgrenladzka funkcjonuje jako derywat czy też filia Kompanii w Europie. Książę De Mersch przenosi jej aktywność w egzotyczną scenę podbiegunową, której czytelnik nigdy nie odwiedza. Wygląda jak rozszerzanie pola działania, dopracowanie tego wszystkiego, co zawiodło w *Jądrze ciemności*. Schemat i motywacja działania są jednak takie same. Bogaci, wpływowi, uwikłani w politykę i rozmaite koligacje ludzie ze środka Europy zarządzają terenem geograficznym zamieszkiwanym przez – ich zdaniem – dzikusów, których należy zanieść „światło cywilizacji”. Z ironią typową wypowiedziom Marlowa Arthur wyjaśnia, czym są tego typu organizacje:

Powstało towarzystwo Z Kablem Dookoła Świata, które jednoczyło serca i portfele, Paneuropejska Firma Kolejowa do Spraw Eksploracji i Cywilizacji, która niosła światło w ciemne zakątki ziemi oraz

Międzynarodowe Towarzystwo Budowy Domów dla Ubogich, a także wiele innych. Gdzieś na samym dole tych pozornie bezdennych spraw książę de Mersch miał się poruszać, a w „Godzinie” okresowo pojawiały się przychylnie wzmianki o tych wzniosłych filantropijnych celach i perspektywy zarobkowania dywidend. Nic poza tym nie wiedziałem. Ci sami ludzie – spotkani w palarniach – mówili, że kolej Transgrenlandzka była ostatnią kartą przetargową de Merscha⁸⁹.

Książę De Mersch okazuje się więc niemal kolekcjonerem działań cywilizacyjnych, z których czerpie duże zyski polityczne i finansowe. W związku z tym pojawiają się głosy sprzeciwu, które natychmiast bywają wygaszane: *Niektóre osoby błędnie insynuowały, że Système było ni mniej, ni więcej jak zbiorowym wyzyskiem nieszczęsnych Eskimosów. De Mersch stanowczo zapewniał, że się mylą. Eskimosi nie byli nieszczęśliwi*⁹⁰. Aspektem moralnym ucina de Mersch wszelkie dyskusje związane z bilansem zysków i strat finansowych, które w wielu ludziach budzą niepokój: *Postęp, poprawa, cywilizacja, trochę mniej zła na świecie – więcej światła! Naszym obowiązkiem było nie liczyć kosztów humanizowania niższej rasy*⁹¹. Rozszerzanie cywilizacji europejskiej staje się więc tym samym światłem w ciemności, z którym nie do końca poradził sobie Kurtz. Tym razem, w warunkach kontrolowanych, a więc przy dużych nakładach finansowych, w otoczeniu cywilizacji europejskiej sytuacja wydaje się o wiele „korzystniejsza”. Callan, przedstawiając pomysł de Merscha, używa tych samych ogólników, którymi posługiwali się ludzie przedstawiający Kurtza:

— Ach, tak — Callan nadal rozpływał się w peanach — ma wielką przyszłość, wspaniałą przyszłość. Książę jest prawdziwym filantropem. Podjął niesamowity trud, niesamowity trud! Pragnął zbudować modelowy stan, wzorowy protektorat świata, miejsce, w którym doskonała równość złączy wszystkie rasy, wszystkie wyznania i wszystkie kolory. Niemal trudno uwierzyć, jak starał się, by zapewnić szczęście rodzimym rasom. Założył wielkie stowarzyszenie, by chronić Eskimosów, Towarzystwo Regeneracji Regionów Arktycznych – TRRA – jak to nazwałeś, a teraz czeka tylko na zrealizowanie swojego największego projektu – Kolei Transgerlandzkiej. Kiedy to się stanie, przekaże Système własnym ludziom. Oto wielki człowiek⁹².

Takie opinie o postaci de Merscha rozsiane po całej książce sprawiają wrażenie groteskowe. O ile Kurtz stanowił parodię systemu imperialnego, de Mersch stanowi parodię zarówno imperializmu, jak i Kurtza. O ile zachwyty i opętania Kurtzem można było doszukać się zarówno w jego osobowości, jak i innych czynnikach, być może nadnaturalnych, zachłyśnięcie świata de Merschem ma sobie coś z wynaturzenia. Jest to możliwe dzięki niemal kopiowaniu pewnych fraz i opisów wprost z *Jądra ciemności*, dzięki czemu jesteśmy w stanie pełniej zrozumieć skalę groteskowości zarówno takiej jednostki, kultu narosłego wokół niej, jak i całego systemu.

Czytałem o śródlądowej dolinie – szerokiej, cienistej, szarej, niezmiernie rozległej i niewyobrażalnie mrocznej, zawijającej między bezkresnymi połaciami skrytymi w niewidzialnych górach nieznanego kraju. Mała grupka ludzi, mikroskopijne postacie w bezruchu, w tych mgłach powoli pięły się w górę. Wśród nich przemawiał człowiek. Zdawało mi się, że słyszę jego głos, niski, monotony, przytłoczony słabym światłem, ciszą i bezmiarem⁹³.

Powtarza się więc sytuacja z początku *Jądra ciemności*, opowieść o mokradłach Essex, do których dociera cywilizacja rzymska, staje się uniwersalną historią o sile, reprezentowanej przy pomocy głosu (biblijne Logos?), który sprawia, że mroczna, nieujarzmiona kraina, znajdująca się symbolicznie poza miejscem i czasem, dzięki grupce wytrwałych ludzi przemienia się w miejsce zdadne do życia.

Jednak de Mersch ma też przeciwników, którzy pragną obnażyć zbrodniczość systemu. W jednym z aktów oskarżenia Arthur dopatruje się uniwersalnych problemów związanych nie tyle z księstwem na Grenlandii, ale w ogóle stosunkami ogólnoludzkimi.

Były tam zdumiewające szczegóły okrucieństwa wobec nieszczęśliwych, bezradnych i bezbronnych; obnażono chciwość i samolubstwo. Ale bardziej odrażające zdawało się ujrzeć bez maski te kłamstwa, które skrywały się pod słowami, które od wieków zachęcały ludzi do szlachetnych czynów, ofiary z samych siebie, heroizmu. Przeraziło mnie to nagłe przekonanie, że wszystkie tradycyjne ideały: honoru, chwały, sumienia, zostały zaprzęgnięte do podtrzymania gigantycznego i okropnego oszustwa. Kłamstwo rozpleniło się ukradkiem,

wżarło się w jądro wierzeń i przekonań, które opieramy na naszym pomoście między przeszłością a przyszłością. Stary porządek rzeczy musiał żyć lub ginąć z kłamstwem. Widziałem to wszystko z intensywnością i jasnością objawienia; widziałem to tak, jakbym przespał cały rok pracy i marzeń, budząc się do prawdy. Widziałem to wszystko, widziałem jej zamiary. Co mogłem jednak zrobić?⁹⁴.

Chwila iluminacji Arthura, tak podobna objawieniu, którego doświadcza Marlow w chwili śmierci Kurtza, to nie tylko moment grozy związany z uświadomieniem sobie, jak funkcjonuje świat w ujęciu holistycznym – to także zrozumienie, wykraczające poza możliwości kapitana „Nellie”, o całkowicie literalnym upadku ludzkiej cywilizacji i oddanie władzy istotom wolnym od wad człowieczeństwa. W kongijskiej noweli do Europy wraz z Marlowem przybył mrok, w powieści Conrada i Madoxa Forda siłą organizującą rzeczywistość są tytułowi „Następcy”.

15. Podsumowanie

Łączność pomiędzy *Jądrem ciemności* a *Następcami* jawi się zupełnie inaczej niż w przypadku zapożyczenia przez Conrada pewnych elementów od Wellsa. Przede wszystkim to rodzaj *sequelu*, pokazanie jak może wyglądać przyszłość pod rządami pana Kurtza i dalszej ekspansji Imperium Brytyjskiego. To także rozbudowanie cech bohaterów, wyjaśnienie i dopowiedzenia do scen z dzieła Conrada, uporczywe powtarzanie słów i fraz użytych w *Jądrze ciemności*, a także niemal wszystkich najważniejszych motywów.

Zarazem jednak fantastyka w *Jądrze ciemności* znacznie różni się od tej prezentowanej w *Następcach*. W noweli z roku 1899 występuje niezliczona wręcz ilość elementów fantastycznych, w strukturze dzieła, narracji, bohaterach, wątkach itp., lecz gdyby każdy z nich potraktować oddzielnie, można je wpisać w nurt realizmu. Opowiadanie ma też podwójny status – dzieła symbolicznego, onirycznego, fantastycznego, a zarazem realistycznego, zatem można odczytywać je na wiele sposobów. W *Następcach* fantastyka pełni zupełnie odmienną rolę. Jest jej znacznie mniej, lecz zarazem cały koncept opiera się na teorii istnienia innego

wymiaru, z którego następuje inwazja. Odpowiedzialność zostaje zatem zdjęta z ludzi, zaś przerzucona na istoty pochodzące z zewnątrz. Jednak poza samym faktem istnienia takich bohaterów (zresztą do końca nie jesteśmy pewni, czy to nie żart, złudzenie, wpływ manipulacji bądź spisku) fantastyka przejawia się rzadziej.

1 Ford Madox Ford (1873-1939): Biography [w:] <http://www.fordmadoxfordsociety.org/fords-biography.html> [ostatni dostęp: 25.04.2021].

2 H. Krzeczkowski, *Wstęp*, s. 5 [w:] J. Conrad, F.M. Hueffer, *Spadkobiercy*, przeł. H. Krzeczkowski, Warszawa 1959.

3 Tamże, s. 8.

4 Tamże, s. 10.

5 Tamże.

6 Tamże.

7 Tamże.

8 Tamże, s. 11.

9 Tamże, s. 12.

10 R. Hapson, *Conrad's Secrets*, London 2012, s. 67.

11 *O Lord. How he worked! There is not a chapter I haven't made him write twice - most of them three times over. This is collaboration if you like!* [w:] *Collected Letters*, t. 2., dz. cyt., s. 257 za: L. Dryden, dz. cyt., s. 39.

12 *At our first meeting, he informed me that he had persuaded Mr. Joseph Conrad to collaborate with him. I tried to convey to him, as considerately as possible, what a very peculiar and untouchable thing was the Conrad prose fabric, and what a very mischievous enterprise he contemplated. That dead, witless book, 'The Inheritors', justifies my warnings* [w:] *Correspondence*, t. 3, dz. cyt., s. 38 za: L. Dryden, dz. cyt., s. 49.

13 K. I. Baxter, *Chronology of Composition and Publication*, s. 13 [w:] *Joseph Conrad in Context*, red. A.H. Simmons, Cambridge 2009.

14 Zob. X. Brice, Ford Madox Ford and the Composition of "Nostromo", „The Conradian”, t. 29, nr 2 (jesień 2004), s. 75-95.

15 R. Hawkes, *Ford Madox Ford and the Misfit Moderns: Edwardian Fiction and the First World War*, London 2012, s. 74.

16 Wszystkie cytaty wedle wydania J. Conrad, F.M. Ford, *Następcy*, przeł. K. Koćma, Kraków 2023, s. 13.

17 J. Conrad, *Jądro ciemności*, przeł. A. Zagórska, ebook w serwisie Wolne Lektury, s. 5.

18 J. Conrad, F.M. Ford, dz. cyt., s. 139.

19 Tamże, s. 126.

20 Tamże, s. 2.

21 Tamże.

22 Tamże.

- 23 Tamże, s. 7.
- 24 Tamże, s. 10.
- 25 J. Conrad, dz. cyt., s. 10.
- 26 J. Conrad, F.M. Ford, dz. cyt., s. 43.
- 27 Tamże.
- 28 Tamże, s. 96.
- 29 Tamże, s. 104.
- 30 Tamże.
- 31 Tamże, s. 35.
- 32 Tamże, s. 6.
- 33 Tamże, s. 5.
- 34 J. Conrad, dz. cyt., s. 19.
- 35 J. Conrad, F.M. Ford, dz. cyt., s. 6.
- 36 Tamże, s. 125.
- 37 J. Conrad, dz. cyt., s. 25.
- 38 J. Conrad, F.M. Ford, dz. cyt., s. 8.
- 39 Tamże.
- 40 J. Conrad, dz. cyt. s. 2.
- 41 J. Conrad, F.M. Ford, dz. cyt., s. 8.
- 42 Tamże, s. 85.
- 43 Tamże, s. 87.
- 44 Tamże, s. 138.
- 45 Tamże.
- 46 Tamże, s. 140.
- 47 Tamże, s. 114.
- 48 Tamże, s. 72.
- 49 Tamże, s. 141.
- 50 Tamże, s. 3.
- 51 Tamże, s. 4.
- 52 Tamże, s. 6.
- 53 Tamże, s. 7.
- 54 J. Conrad, dz. cyt., s. 18.

55 J. Conrad, F.M. Ford, dz. cyt., s. 9.

56 Tamże.

57 Tamże, s. 11.

58 Tamże, s. 31.

59 Tamże, s. 48.

60 Tamże, s. 49.

61 Tamże, s. 63.

62 Tamże, s. 98.

63 Tamże, s. 100.

64 Tamże, s. 106.

65 Tamże, s. 124.

66 Tamże, s. 114.

67 Tamże, s. 130.

68 Tamże.

69 Tamże, s. 131.

70 Tamże, s. 141.

71 Tamże, s. 28.

72 Tamże, s. 21.

73 Tamże.

74 Tamże, s. 68.

75 Tamże, s. 75.

76 Tamże.

77 Tamże, s. 76.

78 Tamże, s. 82.

79 Tamże, s. 107.

80 Tamże, s. 110.

81 Tamże, s. 10.

82 Tamże, s. 36.

83 Tamże, s. 126.

84 Tamże, s. 128.

85 Tamże, s. 120.

86 Tamże, s. 120.

87 Tamže, s. 56.

88 Tamže, s. 65.

89 Tamže, s. 54.

90 Tamže, s. 55.

91 Tamže, s. 56.

92 Tamže, s. 64.

93 Tamže, s. 75.

94 Tamže, s. 120.

Następcy to opowieść o grupie osób będących przedstawicielami obcej rasy pochodzącej z Czwartego Wymiaru. Jedną z nich jest tajemnicza i fascynująca kobieta, którą przypadkowo poznaje Artur, niedoceniony angielski pisarz. To ona powoli odsłania przed nim kulisy skomplikowanej operacji mającej na celu przejęcie władzy nad Ziemią. Artur, otrzymując przy okazji coraz większe korzyści finansowe i społeczne, daje wplątać się w skomplikowaną, makiaweliczną intrygę, nie zdając sobie sprawy, że jest jedynie drobnym narzędziem w dążeniu do globalnego celu.

Autorzy w swojej historii wykorzystali wiele elementów literatury gatunkowej – science fiction oraz grozy – dzięki którym poczucie zagrożenia i niestabilności świata potęguje jej złowrogą wymowę.